Czemu dziś w poezyi nie mamy słowików?

STUDYUM LITERACKIE

PRZEZ

Ks. Karola Niedziałkowskiego

BISKUPA SAMOSKIEGO.

WILNO

Nakładem Józefa Zawadzkiego.

1901.

Дозволено Цензурою 30 Мая 1900 г. Варшава.

Тип. Iосифа Завадзкаго. Вильна, Замк. пер. соб. домъ.

ROZDZIAŁ I.

Stan poezyi u nas niegdyś i teraz. — Jak stan jej dzisiejszy określa P. Piotr Chmielowski i jakie tego podaje przyczyny. — Krótka ich ocena. — Autor zamierza dokładniej odpowiedzieć na zadane przez p. Chmielowskiego pytanie: czemu obecnie mamy w poezyi dużo kanarków, a niemamy wcale słowików?

Gwiazdy wokoło twojej głowy—pod twojemi nogi fale morza—na falach morza tęcza przed tobą pędzi i i rozdziela mgły—co ujrzysz jest twojem—brzegi, miasta, ludzie tobie się przynależą—niebo jest twojem—chwale twojej niby nic nie zrówna.—Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze—splatasz serca i rozwiązujesz, niby wianek, igraszką palców twoich.—Łzy wyciskasz—suszysz je uśmiechem... Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś (Poezyo, matko piękności), jako Bóg zamieszkał w świecie niewidziany, niesłyszany, w każdej cząstce jego okazały, wielki... Tak pojmował i sławił poezyę ów poetyczny geniusz, którego po śmierci Wincenty Pol słusznie nazwał «wielkim, natchnionym, samotnym». Podobnie pojmowali ją i inni równi lub mniejsi towarzysze po lutni Zygmunta Krasińskiego; i dla nich poezya rozrzucała swe blaski złociste po niebie i ziemi, przenikała fale oceanu i maiła kwieciem smutne ścieżki

ludzkie; i zwykli także śmiertelnicy, choć bardonu poetyckiego w ręku nie trzymali, umieli i lubili zbierać wdzięczne kwiaty cudzemi rękami rzucone, lubili zachwycać się obrazami obcym malowanymi pędzlem. To też w biedzie i pomyślności, w smutku i radości, utwory poetów naszych bywały czytane i deklamowane z pamięci, ludzie poważni i zapracowani, niby w orzeźwiającej kąpieli, nurzali się w poezyi; rozkoszowali się nią starzy, a młodzież—o, młodzież, ta żyła nią, a jeśli nie mogła dostać drukowanych (trudniej o nie było wówczas, niż dzisiaj), nie leniła się przepisywać całych książek, urywając czasu odpoczynkowi i nocom.

Tak było niezbyt jeszcze dawno, przed trzydziestu laty, a dzisiaj? Dzisiaj zapytujemy wszyscy: «Poezyo; gdzie cudny pędzel twojej ręki?... Poezyo, gdzie twoje melodyjne dźwięki?» Utworów «cudnego» pędzla nie widać, nie słychać też «melodyjnych dźwięków» — w takiej przynajmniej mierze, jak dawniej bywało, a i o te, jakie są, mało kto, albo nikt się nie troszczy. To też współczesny poeta pyta:

Gdzie się podziała, pieśni, dawna twa potęga
I twoja moc i władza nad sercami ludzi?
W odmęt walk tytanicznych głos twój już nie sięga,
Do czynu nie zagrzewa, zapału nie budzi.
Gdzie są podwładni twoi, gdzie twoi czciciele?
Z dniem każdym ich nieliczny zastęp się przerzedza,
Piewców, sterników prądu, stojących na czele,
Tłum unosi ze sobą, albo ich wyprzedza. (1)

Do niedawna nawet rzeczy tak źle stały, że poeci puszczając w świat swe utwory, uważali za potrzebne uzbrajać je w przedmowy i tłomaczenie się z tego zakłócenia publicznego spokoju, przypuszczając, jak p.

---

(1) Czesław. «Poezye». IV. Warszawa 1884.

Konopnicka, że je powita pełny zgorszenia okrzyk: Jakto? wielcy bogowie! Czyż znowu poeta?» Dziś jest o tyle lepiej, że tłómaczyć się nie trzeba; ludzie stali się pobłażliwszymi i powiadają: rymują? A niech tam sobie rymują — co to komu szkodzi? Więc też drukują się rymy bodaj w każdem piśmie peryodycznem i pojawiają się coraz nowe zbiory «Poezyj», czy jednak można to zjawisko z p. Piotrem Chmielowskim uważać za dowód, że «doba zobojętnienia minęła i że się poczyna nowy okres odświeżonej wrażliwości w dziedzinie natchnienia twórczego» — bardzo wątpię, a nawet mówiąc otwarcie, byłbym zupełnie przeciwnego zdania Poezya współczesna zajmuje w życiu naszego społeczeństwa tak małe miejsce, że go prawie niewidać. Niektóre krótkie utwory Asnyka lub Konopnickiej bywają wprawdzie dość często powtarzane przez młodzież, innych poetów mało kto czyta, czasami ktoś dla rozrywki upieści ucho zręcznym wierszykiem, czasami ktoś zacytuje dowcipny rymowany żarcik; zresztą, zbiory nowoczesnych poezyi, chociaż kupowane nierzadko, zwykle stoją spokojnie w bibliotece, nie budząc entuzyazmu, ani cienia nawet tej miłości, jaką dawniejsze budziły. To też jeśli kto chce pokrzepić serce prawdziwą poezyą, sięga po dawniejsze jej zbiory i zanurza się w tych jej wodach, które z wczorajszych źródeł wypłynęły.

Poeci o tem doskonale wiedzą i gorzko sarkają na publiczność. Tak np. w imieniu ich przemawia Asnyk:

Z pokorą nasze pochylamy głowy
Przed twoim sądem, o publiko gniewna!
Bo chociaż wyrok bezwzględnie surowy,
Jednak jest słusznym w gruncie, to rzecz pewna.
I przyznać musim, że nasz chór harfowy,

Z całym przyborem schorzałej fantazyi
Jest dziś najgorszym rodzajem inwazyi.

Po tak pokornem wyznaniu, następuje również pokorne tłomaczenie się, którego sens moralny jest, że tacy poeci, jaka jest publiczność — a publiczność dzisiejsza podług zdania pokornych wieszczów—niucha tabaki nie warta.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,
Obojętnego na widok piękności,
A więdnącego z nudy i przesytu,

Świat, w którym wzrośli poeci, gdyby było prawdą to co o nim w ich imieniu opowiada Asnyk, byłby zgoła bez czci i wiary; kto nie wierzy, niech przeczyta: «Poeci do Publiczności». Nic go nie obchodzi, tylko prywata, rozpusta, plotki i t. p. brzydkie sprawy, gdzież dla takich ludzi śpiewać o czem pięknem i poczciwem? Publiczność znowu z góry na poetów woła:

Lecz wy, księżyca kochankowie smutni,
Nie macie na to w piersiach dosyć siły!
Każdy z was wsparty na złocistej lutni,
Wpół schylony do ciemnej mogiły,
Słucha z przestrachem dzikiej wichrów kłotni,
Nucąc o widmach co mu się przyśniły,
A że ma głosik łagodny i cienki,
Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Nietylko jednak, jak u Asnyka, publiczność zarzuca poetom zajmowanie drugich wyłącznie sobą, swojemi miłostkami i wymarzonemi cierpieniami; ma ona im do wyrzucenia daleko cięższe grzechy: brak wszelkiej treści w utworach, brak prawdy i rzeczywistej miłości, często bardzo brak myśli i sensu, czczą grę wyrazów i frazeologię, kończąc swe zarzuty zwykle tem,

że niema co czytać w teraźniejszych poezyach i dla tego nie obchodzą one nikogo, albo mało tylko kogo.

Żeby rozstrzygnąć, która strona w tym sporze jest winną, czy też może obydwie, trzeba obydwie poznać; pracę zapoznania wzajemnego wziął na siebie niedawno p. Piotr Chmielowski, który w książce p. t. «Współcześni poeci polscy» [1]) przedstawił nam pieśniarzy naszych z ostatniej doby «nietylko z estetycznej strony, ale i ze społecznego stanowiska». Wprawdzie pod pierwszym względem spotykały p. Chmielowskiego ze strony interesowanej ostre zarzuty niekompentencyi; na razie jednak mniejsza o to, dość że opowiedział on bardzo sumiennie dzieje poetyckie lat ostatnich i, jak mi się zdaje, na ogół wartość ich i naturę, czy też rodzaj, dobrze zcharakteryzował. «W poezyi naszej najnowszej, powiada on na końcu swej książki, wszelkie niemal usposobienia, nastroje, zamiłowania i przekonania znaleźć mogą karm dla siebie i to jaknajróżnorodniej przyrządzony. Czy kto tęskni za urokami wybujałych marzeń romantycznych i całą wartość życia we wspomnieniu tylko widzi; czy kto wzdycha do czynu i pragnie zmiany istniejących stosunków; czy kto szuka zadowolenia w prostych, choćby najzwyczajniejszych scenach życia powszedniego... w uczcie owej, którą nam zostawili poeci, znajdzie wszystkiego podostatkiem, w lepszym lub gorszym gatunku, w zręcznie lub mniej zręcznie wykonane formach, przeważnie dobrych. Poezya lubi dziś miniatury i kameje, zauważył trafnie i ładnie p. Adam Bełcikowski, a jak ten rodzaj plastycznej sztuki, aby nabył artystycznej wartości, tak i ona w tych drobniejszych swoich formach starannem, misternem, a do drobiazgowości nieraz posuniętem wykończeniem odzna-

1). K. Grendyszyński, Petersburg, 1895 r.

czać się musi. W istocie technika poetyczna doprowadzona dzisiaj do bardzo wysokiego stopnia, a poeci są prawdziwymi w niej wirtuozami. Bogactwo i niezwyczajność rymów stały się już dzisiaj obowiązującem prawem i żaden z piszących dzisiaj nie chciałby i nieodważyłby się takimi prostymi rymami wiązać z sobą wiersze, jak Mickiewicz albo Krasiński. Rozmaitość strof jest u nich również nieporównanie większą. Dziś zdaje się, że dla każdego uczucia i nastroju swej duszy poeci szukają innego składu wierszy, aby, i dla oka je uzmysłowić i dla ucha samą melodyą słów je zaakcentować».

Każdy, kto czytywał współczesne poezye, przyzna słuszność powyższej charakterystyce; rzeczywiście mamy mnóstwo odcieni, nastrojów, urywków, wielką rozmaitość formy, a p. Cz. Jankowski w przedmowie do wydanego w r. p. zbioru poezyj nowszych poetów, z wielkim optymizmem uważa to wszystko za objawy bardzo dodatnie, podnosząc także «niebywały wykwit formy poetyckiej». [1])

Może tak jest naprawdę, mnie jednak nieraz nasuwały się poważne wątpliwości co do tego «wykwitu» i muzykalne moje ucho było nieraz nieprzyjemnie rażonem rozmaitymi wybrykami formy poetyckiej, które jeśli wkraczały w dziedzinę muzyki, jak powiada p. Cz. Jankowski, to chyba tylko jako dyssonanse. Tak mi się zdawało, ale że z anapestami, amphibrachyami i chorejami już dawno bardzo wziąłem rozbrat, więc myślałem: widocznie tak trzeba, a kiedy znawcy mówią, że w y k w i t — to w y k w i t. Przeczytana jednak rozprawa p. Włodzimierza Zagórskiego o formie poetyckiej, (drukowana w «Wędrowcu», której obecnie

---

1) „Młoda Polska" Warszawa 1898.

nie mam pod ręką i tytułu nie pamiętam) potwierdziła moje wątpliwości, wykazując «czarno na białem», że dowolność i nieszanowanie ucha bliźniego swego zdarzają się u teraźniejszych poetów, jak się zdarzały u wybujałych i nieuznających żadnych prawideł romantyków ostatniej doby.

Jakkolwiekbądź zresztą jest, co do formy doskonałej, czy też kompetencyi sądzenia o niej p. Chmielowskiego, przechodzę do charakterystyki współczesnej poezyi, jaką on, mojem zdaniem, bardzo słusznie i trafnie podaje. Powiada tedy p. Chm:. „Nie można powiedzieć, żeby doba dzisiejsza była tą porą, w krórej tylko szare wróble ćwierkają lub mityczne zimorodki (halcyony) zawodzą; owszem, imiona śpiewaków, jak widzeliśmy, są liczne, talenta ich różnorodne, tylko – w metodzie ich śpiewania nietyle znać słowików lób choćby skowronków, ile pięknymi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę. Wprawdzie kanarków nie brakowało w poezyi nigdy; chwila jednak obecna tem się odznacza, że przeważnie takich tylko ma pieśniarzy“. (str. 491).

Ustęp ten, gdyby tylko zmienić „w metodzie ich śpiewu“ na: „w ich śpiewie“, lub „w ich głosie“,—wydałby mi się bez zarzutu. Najpierwej wydaje mi się bardzo słusznem, że autor nie wspomniał o orłach; orłami bowiem zwykliśmy nazywać geniuszów lub pierwszorzędne talenty, a ponieważ geniuszem może tylko Pan Bóg kogoś stworzyć, więc o żadnych przyczynach ich nieobecności mowy być nie może – Pan Bóg nie daje, i koniec. Co innego kanarki, słowiki lub skowronki. Ostatnie dwa rodzaje ptaków uchodzą za śpiewające pięknie – inaturalnie. Mniej piękny śpiew skowronka, piękniejszy i głośniejszy słowika, pochodzą z serca, brzmią wśród natury, więc i poetów śpiewających pię-

knie, serdecznie, prawdziwie, nazywami słowikami, lub jeśli mniejszych są zdolności, skowronkami. Kanarek jest przeciwstawieniem pierwszych; uczą go bardzo często śpiewać sztucznie, nadto słyszymy go zawsze w pokoju, stał się więc synonimem poety sztucznego, salonowego. Otoż prawdziwie bardzo, jakkolwiek niebardzo pochlebnie, p. Chmielowski stwierdza znany fakt, że w poezyi—nie mamy słowików, tylko prawie zawsze kanarki „ślicznie odtwarzające wyuczoną nutę".

Nie dość jednak stwierdzić pewne zjawisko, trzeba jeszcze je wytłomaczyć i wskazać przyczynę jego, a to tłomaczenie bywa nieraz, jak i w obecnym razie, daleko ciekawszem, niż samo zjawisko nawet. Przytaczany autor zdaje się tłomaczyć ten brak „słowików" najpierwej tem, że „w dziedzinie twórczości coraz to trudniej o prawdziwą oryginalność"; że w tylowiekowym rozwoju poezyi tak dużo było pomysłów i taka rozmaitość, tak dużo i tak różnorodnych użyto form, iż dzisiejszy artysta słowa może zaledwie zbierać pokłosie po wielkiem żniwie. Ztąd jakoby wypływa wielkie staranie o formę, gonitwa za nadzwyczajnymi kształtami, ztąd wreszcie owo hasło, ładnie jako frazes brzmiące (czyż naprawdę ładnie?) ale beztreściwe, iż dążyć należy w poezyi do zrzucenia supremacyi myśli nad słowem, hasło, które i u nas odgłos znalazło". Wreszcie na samym już końcu książki p. Chm, jeszcze raz zaznaczywszy wielką kunsztowność i rozmaitość form nowej poezyi naszej, stwierdza, że „brak jej atoli rozległych pomysłów, brak wielkich kompozycyi, brak orlich lotów. A przyczyna? Najprzód życie gorączkowe, pełne niepokojów i wahań, a potem.. ta okoliczność, że nam wszystkim nie dostaje możności szerszego oddechu".

Tak więc, podług p. Chmielowskiego, byłyby trzy przyczyny braku „słowików“ w naszej dobie. Pierwszą z nich nazwałbym tylko pozorną, bo jak rzeczywiste słowiki co wiosny śpiewają i nikogo nie nudzą, tak samo, a nawet tembardziej, nie znudziliby poeci, gdyby naprawdę byli słowikami; każdy oryginalny a rzeczywisty talent zawsze i wszędzie znajdzie dla siebie pole i formę własną; zresztą o tym przedmiocie obszerniej pomówimy jeszcze. Natomiast dwie drugie przyczyny wydają mi się zupełnie powierzchownemi i niewystarczającemi. Jeśli bowiem przypominam sobie dzieje poetów, od Homera począwszy, to wszędzie widzę, że właśnie życie gorączkowe, pełne wrażeń, niepokojów, nawet bied i utrapień, ani trochę prawdziwym poetom nie przeszkadzało być wielkimi; takich, którzyby jak nasz Jan z Czarnolesia prowadzili spokojny żywot ziemiański, albo jak Goethe byli „Geheimrathami“ i ministrami, stosunkowo możnaby znaleźć bardzo niewielu, ale zato przez co to nie przechodzili tacy poeci jak Dawid, Homer, Dante, Torquatto Tasso, jakie życie gorączkowe prowadził Byron, jak rozerwane Szekspir! Możnaby powiedzieć, że właśnie życie spokojne, ciche, dostatnie, działa usypiająco tak samo na poetów jak i na innych artystów; zdałoby się raczej, że właśnie takie życie gorączkowe, pełne przygód, cierpień i przykrości, potrzebnem jest do wykrzesania z ich dusz owego ognia, który potem zachwyca i grzeje miliony, jak uderzenia krzesiwa potrzebne są do wydobycia iskier z zimnego i ciemnego krzemienia. Albo ów brak szerszego oddechu—a czy go mieli: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Zaleski? Ktoż niewie kiedy, gdzie i jak oni tworzyli —pisali na obcej ziemi, wśród obcych ludzi, w biedzie, ubóstwie, wśród troski o chleb powszedni, właśnie wśród gorączkowego nerwowego życia.

A gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga.

Prawda, że Mickiewicz pytał:

O czem tu dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów?

Pytał — a jednak w tym stuku, wśród tych przekleństw i kłamstw i zapóźnych żalów, urodził się „pan Tadeusz“. Poetom jakoby brak „szerszego oddechu“ powiada p. Chm.; a przecież w tych samych okolicznościach Matejko mógł zostać malarzem „najszerszego oddechu“—i Brant i Kossakowie i Chełmoński i wielu innych malarzy, pomimo trudnych czasów i „gorączkowego życia“, oddychali szeroko i zdołali przeszkody zwyciężyć. W tych samych warunkach mógł powstać Sienkiewicz i Prus i Junosza i Orzeszkowa. Stanowczo, przyczyny podane przez p. Chmielowskiego są nie wystarczającemi i nic nie tłómaczą. Odpowiedź jednak na pytanie przez autora pomienionego zrobiona, wytłómaczenie zauważonego przezeń zjawiska wydaje mi się i ciekawem i ważnem. Ciekawem, jeśli tylko z literackiego punktu widzenia patrzeć na nie zechcemy, ważnem, jeśli zaglądniemi nieco głębiej. Ludzie żyjący ciągle z naturą, przywykli zwracać baczną na wszystko uwagę, umieją dostrzegać znaki dla mieszkańców miasta zgoła niedostrzegalne, jak ów myśliwy

Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,
Czyli jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepcze mu do ucha;

mogą, jak indyanie z powieści Coopera, poznawać, kto

przeszedł, kto zbliża się — swój, czy nieprrzyjaciel. Podobnie, przyzwyczaiwszy się oddawna nie poprzestawać na frazesach ani słowach przez najgłośniejsze nawet powagi wyrzeczonych, dostrzegam nieraz wielką głębokość tam, gdzieby inni może nic nie dojrzeli, i przeciwnie, nie widzę nic tam, gdzie ktoś drugi dopatrzyłby głębi bezdennej.

Tak też i tutaj się stało; tłómaczenie p. Chm. wydało mi się — nic nie tłumaczącem, zjawisko zaś samo uważam za tak poważne, że prawdziwie dziwnem mi się wydaje, jak można je było zbyć trzema, nic nie mówiącymi wierszami. Dlatego też ten objaw uważam za bardzo ważny symptom, i to bynajmniej nie ze względów literackich, lecz daleko poważniejszych, zamierzyłem ze swej strony dać nieco obszerniejszą odpowiedź na pytanie p. Chmielowskiego: czemu dziś w poezyi nie mamy słowików? Żeby jednak nie popełnić grzechu, który drugim wyrzucam i nie wydać sądu powierzchownego, będę musiał czytelników moich poprowadzić za sobą trochę dłuższą drogą i przypomnieć im najpierwiej, czem właściwie z natury swojej jest poezya i jakich dla rozkwitu wymaga warunków: potem zobaczymy, w jakich okolicznościach rozwijała się ona u nas w pierwszej bieżącego wieku połowie; przypatrzymy się bliżej jaką jest obecnie; a zatem pójdą owe wnioski, z których odpowiedź na umieszczone w tytule pytanie, jak się spodziewam, sama się już wyłoni.

ROZDZIAŁ II.

Poezya, jak wszystkie sztuki piękne, działa na wyobraźnię człowieka. — Konieczność dla poezyi pięknej formy. — Przeważną treścią poezyi jest duchowe piękno człowieka.—Czem jest piękno? Zastosowanie odpowiedzi na to pytanie do treści poezyi.—Zarzuty współczesnemu społeczeństwu robione przez poetów. — Ideał. — Gdzie go poeci mają szukać i gdzie znaleźć mogą?—Jak pogodzić poetyczność i wady ludzkie.—Para przykładów.—Na co potrzebne idealizowanie? — Czy poezyę uważać należy jako prawdę, czy też jako marzenie, sen lub zabawkę?

Wiemy wszyscy, że poezya jest jedną ze sztuk pięknych, domyślamy się więc z łatwością, że podobnie jak one działać musi na człowieka, i że z drugiej strony będąc sztuką samodzielną, ma też pomimo podobieństwa pewne swoje właściwości i pewne sobie właściwe pole działania. Wspólnym przymiotem poezyi z innemi sztukami pięknemi jest to, że jak one, działa bezpośrednio i najpierwej na władzę duszy, zwaną fantazyą albo wyobraźnią. Nie od rzeczy będzie przypatrzeć się sposobowi, w jaki się to odbywa. Każda sztuka piękna, niby człowiek z duszy i ciała, składa się z formy i treści, w jednej i drugiej są pewne stopnie, prowadzące coraz wyżej i wyżej. U podnóża tej drabiny estetycznej stoją rzeczy prawie zupełnie materyalne, np. pewne formy i kształty w rzeźbie, odpowiednio dobrane kolory w malarstwie, harmonijnie złączone dźwięki w muzyce. Działanie tych najniższych form estetycznych nazwałbym też prawie wyłącznie zmysłowem; ucho oderzonem bywa przyjemnie zgodnym akordem, na oko mile wpływają dwa dobrze dobrane kolory, jakkolwiek nic się jeszcze z tych miłych wrażeń nie wyiązało i fantazya zostaje pomimo tego w spokoju.

Przypuszczałbym, że podobnych wrażeń, lubo w znacznie mniejszym stopniu niż ludzie, doznawać muszą zwierzęta, wielbląd lub koń np., kiedy na odgłos marszu dobywają sił ostatnich, nabierają ognia i fantazyi; pająk gdy spuszcza się nad fortepian na którym grają; pies lubiący patrzeć na ogień i t. p. Jednak nawet te pierwsze elementy sztuki powinny być pięknymi, żeby do człowieka przemówić mogły, żeby się wkraść zdołały do jego duszy. Może być bardzo głęboką kompozycya obrazu; jeśli koloryt, tembardziej rysunek jej będzie wadliwy, zastanowi rozum, ale nieoddziała na wyobraźnię. Tak samo bardzo umiejętnie dobrane dyssonanse, a choćby tylko pozbawione harmonii interwalle muzyczne, mogą być przedmiotem podziwu dla uczących się kontrapunktu, fantazya profana pozostanie jednak zupełnie spokojną.

Z pierwiastków tych powstają formy i obrazy coraz wyraźniejsze, więcej skomplikowane — widz czy słuchacz zaczyna doznawać czegoś więcej niż fizycznej przyjemności, zaczyna pojmować, rozumieć.

Powiedziałem, że sztuka piękna działa na wyobraźnię, a teraz wspominam o rozumie — niema tu jednak żadnej sprzeczności. Jak przez czysty kryształ w oknie dostaje się do człowieka w pokoju siedzącego światło i ciepło, działające na niego ożywczo i zbawiennie, podobnie rozum jest koniecznym pośrednikiem wszelkich władz duszy naszej Jeśli ktoś nie zrozumie języka albo treści np. Glosy Ś-tej Teresy, pozostanie tak zimnym i obojętnym, jak człowiek siedzący za ścianą przegradzającą go od świata, będzie nieczułym na błękit nieba, zapach kwiatów i t. p. Tu więc zaczyna się działalność sztuk pięknych prawdziwie ludzka; formy, tembardziej zaś obrazy piękne, zrozumiane i pojęte, przemawiają do wyobraźni i porusza-

ją ją mniej lub więcej silnie. Na tem jednak nie poprzestają, bo ponieważ wszystkie władze duszy ludzkiej, podobnie jak członki ciała, są z sobą ściśle powiązane, prawie niepodobną jest rzeczą oddziaływać na jednę z nich, żeby drugie w mniejszym lub większym stopniu tego nie odczuły. Zwykle się zdarza tak, że rozum działa na wolę, ta na uczucia, one zaś na wyobraźnię, ale może być odwrotnie, jak się też w sztukach pięknych dzieje—rozegrzana czy pobudzona wyobraźnia, rozgrzewa uczucia; te wpływają na wolę, która znowu bardzo często pociąga i rozum za sobą. Doskonały przykład tego, jak się to odbywa, znajdujemy w „*Latarniku*“ Sienkiewicza.

Do starca umieszczonego spokojnie, i, jak zdawało się, do śmierci, w Aspinvallskiej latarni morskiej, dostała się niewielka książeczka. „Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozpływając się łagodnie po piaskach... Naprawdę było jakoś uroczyście, a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej zrozumieć:

. . . .

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu, w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze; opanował się i czytał dalej:

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie! Ty co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem.

. . . .

. . . .

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmięszały się z piaskiem nadmorskim... We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bolu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... Chwile mijały jedna za drugą; on wciąż leżał.. Wypłakawszy się miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę... więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych pól zielonych...

. . . .

. . . .

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki jak mgnienie oka. Stary oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta co Jasnej broni Częstochowy“ zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem.“ Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabelkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko jak było. Wszystko go pyta: „pamiętasz?“. On pamięta, a zresztą widzi pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski... Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widecie—oto znowu jest ułanem i stoi na widecie, zdala karczma pogląda płoną-

cemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!“ To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu!“ Kiedy się potem ocknął, kiedy stracił posadę i na nową puścił się tułaczkę, miał na piersiach swą książkę, którą czasami przyciskał ręką, jakby się obawiał, by nie zginęła.

Poezya więc, jak każda sztuka piękna składa się z formy i treści; formą czyli szatą, w jaką się poetyczny pomysł odziewa i ludziom ukazuje, jest słowo, albo raczej mowa. Żeby mogła ona być tłumaczką poety, oczywiście powinna być piękną, dla tego zaś musi unikać wielu wad i wiele posiadać przymiotów. Więc mowa np. pozioma, gburowata będzie dla poezyi nieodpowiednią, równie jak napuszona, ckliwa, przesadna; powinna być naturalną i zrozumiałą.

Słusznie uważa Lemcke w estetyce, że wyraz choćby zrozumiały dla wielu lecz cudzoziemski, nie nada się tak dobrze w poezyi, jak wyraz własny, utarty, przez wszystkich zrozumiały, np wojska fraternizowały z ludem i wojska bratały się z ludem Poeci muszą z jednej strony unikać zbiegu dźwięków nieprzyjemnych nieodpowiednich, z drugiej znowu baczyć na dobór wyrazów najlepiej odpowiadających opowiadanej treści, słowem obowiązani są zwracać uwagę na mnóstwo warunków potrzebnych dla nadania mowie piękności; trudność wzrasta przez to, że całą tę piękną mowę, trzeba jeszcze wyrazić w formie sztucznej, podległej rytmowi i rymowi—prawda, że przez to znakomicie podnosi się jej piękno i siła działania na czytelnika. W rymie zaś i rytmie jest ogromna rozmaitość form i prawideł, które ponieważ w zakres mojej rozprawy nie wchodzą, więc je milczeniem pominę; dodam tylko, o czem zresztą wszyscy wiedzą, że i to nawet nie wy-

czerpuje całego zasobu form w jakie się odziewać może poetyczne słowo, jest tam bowiem rozmaitość strof, rozmaitość formy nadawanej całości utworu i t. d.

Nie idzie nam wcale o poznanie ich, owszem, ani o wyliczenie nawet lecz tylko o zaznaczenie, że mowa, chcąc być formą w którą mogłaby się wcielić poezya, przedewszystkiem powinna być piękną Spotykałem zarzuty czynione przez współczesnych poetów i literatów poetom epoki romantycznej, [1]) że zaniedbali formę dla treści, możnaby powiedzieć, że zdarza się to i terazć możnaby zastanawiać się nad tem, czy gorszą jest treś, bez formy, czy forma bez treści, najlepiej jednak będzie, dla uniknięcia rozwlekłości, przyznać, że jedno i drugie jest niedobrem, a dobrze będzie wówczas, gdy obydwa warunki zostaną zachowane. Bo jużci trzeba bardzo powierzchownego człowieka, albo zapalczywego zwolennika „muzyki słowa“, żeby na niej tylko poprzestał; pięknie dobrane wyrazy przy zachowaniu nawet wszelkich prawideł poetyckich, bez treści jednak, będą robiły takież samo wrażenie, jak piękne ciało bez duszy. Wątpię, czy znajdzie się wielu zwolenników takich np. wierszy:

Niech zębów zgrzyt wilczy do nieba zawoła,
Na kwiatach niech zwiędła lśni skroń,
Niech płyną trytony na smyczy anioła,
Niech zgaśnie błękitnych fal woń!
Nim gwiazdy wydzwonią, niech w oko mej głowy
Księżyca ulata mdły cień;
Nim drgania eteru pies połknie tęczowy
I rzuci przekleństwo na dzień.

Jest to dobór wyrazów bez myśli i bez sensu i dla tego śmieszyć tylko może; w każdem bowiem dzie-

---

1.) Np. Włodzimierz Zagórski we wspomnianej rozprawie.

le ludzkiem powinna być myśl rozumna, musi być sens jakiś, a właśnie myśl, sens, stanowi treść i duszę poezyi, o tej więc treści teraz pomówimy nieco.

Skoro poezya jest jedną ze sztuk pięknych, powinna przeto mieć pod pewnym względem podobną do innych naturę; w rzeczy samej tak jest. „Poezya jak wszelka sztuka,—powiada Lemcke,—jest czynnością wyobraźni; z niej wypływa i na nią działa Wszystko co jej nie zatrudnia, nie może być osnową poezyi. Musi ona nam przedstawić w słowach poruszający fantazyę przedmiot, a w dalszym jego rozwoju pobudzić ją do twórczego i współczującego działania. Wszystko, co z pominięciem fantazyi zwraca się do rozumu i woli, przyoblekając odpowiednią im formę, nie należy do zakresu poezyi". To wspólnem jest poezyi i wszystkim sztukom pięknym, ma ona jednak i własne swoje pole, które wskazuje sam materyał, jakim posługiwać się musi. Jest nim słowo t. j. forma zewnętrzna myśli ludzkiej, już więc to samo wskazuje, że treścią poezyi będzie takie piękno, które przemawia nie do zmysłów, ale do władz duchowych człowieka, będzie nią nie piękno form, barw, dźwięków, ale przeważnie piękno natury duchowej; a ponieważ na ziemi jedynie ono się w człowieku objawia, więc on też—jego myśli, uczucia, uczynki, dzieje, będą *przeważnym* przedmiotem poezyi.

Zapewne może ona mówić o wszystkiem, opisywać wszystko—„wszystko co ujrzysz, jest twojem— brzegi, miasta i ludzie się tobie przynależą" ale musimy się zgodzić na to, że najpiękniejszy opis przedmiotu nie przedstawi go tak dokładnie, jak nawet bardzo mierny obraz, ani najpoetyczniejsze opowiadanie o koncercie, nie uprzytomni go tak, jak samo odegranie; to też przedmioty świata zewnętrznego, będące własnością wszystkich innych sztuk, w poezyi odgrywają rolę pod-

rzędną. Jest ona pod tym względem skrępowaną materyałem swoim—słowem. Za to wszelkie piękno wewnętrzne człowieka, jest jej wyłączną własnością; gdy sztuki plastyczne za pomocą kształtów i linij pozwalają się tylko domyślać tego, co dzieje się w głowie lub w sercu naszem, gdy muzyka tonami wyśpiewuje w sposób ogólnikowy ludzkie zachwyty lub smutki, poezya opowiada je wyraźnie, złoci je słońcem lub zaciemnia czarną nocą, cofa się w przyszłość, wzlata ku niebu, zapada w piekło,—stoją jej otworem te wszystkie ogromne przestrzenie, jakie myśl ludzka tylko przelatywać może.

Wszędzie tam poezya szuka potrzebnego jej piękna, a znalazłszy w wiązankach kwiatów rzuca przed słuchaczem „stopy mu w miękkie obwiązując wstęgi", by potem, jak powiada poeta: „przenieść go dalej na tej dziwnej drodze, z głębin grobowych do jasnego nieba" [1]).

Tutaj muszę łaskawego czytelnika przeprosić, że go może trochę znudzę i znużę, ale muszę z nim razem zagłębić się na chwilę w dociekania filozoficzne; to jest dla tego, że stanowi bodaj węzeł całej rzeczy. Powiedzieliśmy, że przedmiotem poezyi i każdej zresztą sztuki jest piękno, ale czem właściwie jest ono? W czasach naszych przyjętem jest określanie go, jako tego co sprawia człowiekowi pewne zadowolenie, pewne przyjemne wrażenie, zwane estetycznem. Jest to określenie rzeczy nie przez jej istotę, ale ze skutków, a było znanem oddawna, bo już Ś-ty Tomasz z Akwinu tak samo określa piękno: *pulchra dicuntur, quae visa placent*—nazywamy pięknemi takie rzeczy, które

---

1.) Pozwoliłem sobie zmienić tutaj osobę drugą na trzecią, co dostrzeże każdy znający ten wiersz Krasińskiego.

widziane (albo słyszane) podobają się. My jednak na tem nie poprzestaniemy i zapytamy dalej: a jakież to są rzeczy, które widziane, podobają się? Takie, które posiadają następujące warunki: a) doskonałość t. j. przedmioty, które są w swoim rodzaju doskonałymi; dla tego nie podoba się np. kwiat zwiędły, zwierzę skaleczone, garbate, człowiek nieproporcyonalnie zbudowany lub zeszpecony chorobą i t. p.

Nie podobają się, bo są niedoskonałe. Powtóre przedmiot doskonały, jeśli ma się podobać odtworzony w sztuce, powinien posiadać prawdę, t. j. obraz jego powinien się zgadzać z rzeczywistością, dla tego najpiękniejszymi kolorami odtworzona twarz ludzka nieprawdziwie t. j. nieproporcyonalnie, źle wymodelowana, fałszywie wycieniona —nie podoba się, tak samo jak nieprawdziwie, choć w doskonałych wierszach opowiedziane jakieś uczucie, temperament, wypadek.

Te więc dwa warunki: doskonałość w swoim rodzaju odtwarzanego przedmiotu i prawda w jego odtworzeniu, są koniecznymi warunkami każdego dzieła pięknego. Nie dość jednak tego, pięknem nadto wydaje się to tylko człowiekowi, co mu jest pożądanem (*appetibile*, jak mówią starzy filozofowie), pożąda zaś on tylko tego, co jest dobrem albo co mu się takiem wydaje, do tego zaś nie zawsze wystarcza naturalny sąd, wrodzone upodobanie lub pociąg, trzeba nieraz badania, śledzenia, nauki. Więc też bardzo często bywa, że człowiek czegoś nie ceni, nie kocha, bo nie zna jego wartości, znaczenia, zastosowania; gdy z czasem pozna, kocha i pożąda tego, czem się pierwiej brzydził może, co zwalczał. Dla tego i w świecie widzialnym mnóstwo rzeczy, uważanych pojedyńczo, wiele stworzeń wydaje się nam nietylko nie pięknemi, ale nawet obrzydliwemi, gdy jednak poznamy je wszech-

stronnie w związku z całością, gdy zobaczymy jak są w swym rodzaju doskonałe, jak odpowiadają swemu celowi, nieraz tracimy wstręt ku nim, uznajemy je za dobre i pożądamy ich nawet.

Tak więc pięknem nazwiemy to, co w sobie jest doskonałem i dobrem, dla nas zaś pożądanem, a co odtworzonem jest w sztuce prawdziwie; nie wspominam już o doskonałej i pięknej formie, bo o tem mówiliśmy pierwiej. Zastosujemy teraz te prawidła do poezyi, a dojdziemy do przekonania, że może ona w doskonałej o ile możności formie poetycznej przedstawiać fantazyi naszej wszystko, co w świecie widzialnym jest w swoim rodzaju doskonałem, dobrem, pożądanem. Może opisywać uroki wiosny, wspaniałość oceanu, światło gwiazd i słońca, może opiewać siłę męzkiej ręki, wdzięk niewiasty lub dziecka, szelest liści w dąbrowie, cichy powiew zefiru po łące kwiecistej, ale przedewszystkiem zadaniem jej jako sztuki pięknej będzie piękno duszy człowieka i jego czynności. Przedmiotem więc poezyi pierwszorzędnym i najwłaściwszym, będzie człowiek „doskonały w swym rodzaju i dobry". Jakiego jednak człowieka takim nazwać można? Myślę, iż niewielu chyba nie zgodzi się ze mną, że takiego, który zna prawdę, kocha ją i za nią idzie, zna dobro, kocha je i wypełnia. Do tych dwóch kategoryj da się chyba sprowadzić wszystko, co stanowi człowieka pięknego w duchu i czynie.

Dlatego wszystko, co w człowieku i w naturze całej zresztą, jest niepospolitego, doskonalszego, wyższego nad powszedniość, nie mówiąc już o podłości i nikczemności, wszystko zacne, dobre, poczciwe, wszystko mądre, roztropne, celowe, wszystko to jest przedmiotem poezyi, bo jest poetycznem. Poetycznym jest człowiek walczący za to, co kocha, i poświęcający sie-

bie samego — prozaicznym, bo nikczemnym, tchórz, liczykrupa, egoista; poetycznym jest mąż uczciwy i wierny — prozaicznym, bo nikczemnym, birbant, rozpustnik, spekulant na posagi; poetycznym jest człowiek wierzący i cnotliwy, gdy walczy o prawdę, zwycięża sam siebie, sieje dobre dokoła uczynki - prozaicznym i suchym zarozumiały niedowiarek, deklamator — wstrętnym i obrzydliwym materyalista, cynik, sybaryta.

Wszystko to może być bardzo dobrem i prawdziwem, co piszesz, powie mi kto może, dobrze było takich malować i opiewać ludzi, kiedy rzeczywiście byli i chodzili po ziemi, ale teraz? Minęły te czasy, kiedy można było śpiewać:

> Chociaż to życie idzie po grudzie,
> Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie.

Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Proszę przeczytać Asnyka „Poeci do publiczności", żeby się przekonać jak świat się zepsuł i ludzi znikczemnieli, przynajmniej w przekonaniu poetów. Czasy nasze to „wiek bez miłości, bez marzeń, złudzeń i zachwytu — wiek obojętny na widok piękności, a więdnący z nudy i przesytu".

> Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
> Który ożywiał niegdyś mężów dawnych,
> Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,
> Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych.

Niema więc w społeczeństwie nietylko miejsca na wielkie epopeje, ale nawet ani na „pieśni erotyczne" bo „pogasły w piersiach ognie romantyczne, pełne świetności i pięknych kolorów, a miłość cierpi suchoty chroniczne i potrzebuje pomocy doktorów". Kobiety nasze lubią wprawdzie poezyę „na wety", lecz brakuje im jednej „drobnostki — prawdy w uczuciu. A Ro-

meowie nasi nowocześni są jak z żurnalu wycięte figurki, tacy bezduszni, tacy bezcieleśni, że z nich zaledwie zostały tużurki". Dla pieśni niema w nich oparcia, „bo tyle tam treści, co w pustym orzechu", więc konkludują synowie Apollina i muz dziewięciu czciciele:

Trudno wymagać, by na takiej roli
Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość;
Trudno geniuszu żądać aureoli
Tu, gdzie się tuczy sama pospolitość.

Takiego zdania o współczesnym „wieku" był przed laty Asnyk; poglądy poetów pod tym względem nietylko się dotąd nie zmieniły, ale podaj, że się nawet pogorszyły. Oto np. co mówi o tem jeden z najmłodszych, p K. Tetmajer:

Nadmiar wstrętu do życia codziennej podłości
Jest mi chlebem i wodą, co trują i duszą,
Nie mam już w sercu żadnej. łaski i miłości,
Gardzę i nienawidzę całą moją duszą.
Gardzę i nienawidzę, gdybym dziś z tej ziemi
Odchodził, w świat posępny patrząc zagrobowy,
Odchodziłbym z oczyma jako stal zimnemi,
Nie odwracając nawet raz ostatni głowy. 1)

Tak straszna pogarda byłaby dla ziemi bez wątpienia karą nadzwyczaj do zniesienia trudną, więc choć poeta „truje się i dusi"—jednak szczęściem jest dla niej, że nie odchodzi - a nawet dla tej „podłej i głupiej" śpiewać i śpiewy swe w ozdobnem wydaniu drukować raczy. Ta niesłychana dobroć serca i poświęcenie bezprzykładne tembardziej godne są podziwu, że ludzie ich ocenić nie potrafią, są bowiem niemądrzy. Posłuchajcie jeszcze p. Tetmajera, jeśli nie wierzycie:

---

1) Kazimierz Tetmajer. Wybór poezyj, XVII. Warszawa 1897 r.

Bezduszna, ciemna, bezmyślna ludzkości,
Czembyś ty była, gdyby nie geniusze,
Co blaskiem swojej świecą ci jasności,
Myśl ci swą dają i dają ci duszę?
Jak oceany, tyś jest nieprzejrzane
Martwe pustkowie wodne, we wszechbycie. 2)

. . . .

Nie potrzeba dodawać, że poeta z geniuszami tylko trzyma, ich czci, a reszty niech czytelnik sam się domyśli, pomnąc na przysłowie: *Similis simili gaudet.* Wśród tego morza czy nawet oceanu pospolitości, głupoty, podłości, ciemności oczywiście unoszą się jak arka Noego nad wód potopem poeci, sami tylko szlachetni, mądrzy, pełni porywów—i bezradności i rozpaczy bezdennej. I nic dziwnego; jak bo żyć wśród takiego otoczenia z piersią rozdartą, wysuszonem sercem i wnętrznościami, które przeżarły trucizny i sępy podziobały?

Zostawmy jednak posiadaczy niebiańskiego ognia w zapasach z sępami—niech już sobie radzą jak mogą i umieją, jak radził sobie ich pierwowzór przykuty do skalistego Kaukazu, my natomiast zastanówmy się nad kwestyą naprawdę poważną;—cóż tedy robić i dokąd się udać w dzisiejszej „opresyi"? Czy rzeczywiście niema sposobu być teraz poetą? Zamiast odpowiedzi własnej, pozwolę sobie przytoczyć dawny i znany obrazek z „Listów" Kremera; ustęp ten znany—sam go bodaj gdzieś przytoczyłem—ale to nic nie szkodzi. Znacie? —więc słuchajcie, powiem z panem Jowialskim. Obrazek swoją drogą jest ładny i bardzo mi tu się przyda. Opowiada tedy zacny, choć trochę za rozwlekły, estetyk, jak to raz nad wieczorem w pochmurny dzień wy-

---

2) Wybór poezyj.—Geniusze.

brał się na spacer za Kraków w stronę Bielan. „Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo jakieś nierade, rozwlekło po sobie jednostajną siwą płachtę. Wisła dziś płynęła od niechcenia, a ziemia, w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała ją w kłęby, w potworne straszydła... Cała natura, ziemia i niebo zasępione... Cały ten obraz, tak cudny, oślepł. Widok zwyczajnie tak szeroki, rozłożysty, podzielił się mgłą na drobne części... Dwie osiki podemną, potrząsając obwisłem liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gaworzyły z sobą, niby dwie kwaśne kumy o kłopotach domowych a tam ku biskupiemu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczarowane, stoi jednostajnie sprzykrzone i ckliwe. Niekiedy, gdy skądciś powiew cwałem przyleciał i szepnął coś pierwszej, ta szumiąc, obruszyła się i pochyliła ku drugiej i szepnęła, a ta następnej, a tak dalej i dalej w oka mgnieniu cały ich szereg, jakby podziwieniem zadygotał, zaszumiał, pochylił się szepnął i zamruczał i znów umilkł i znów wyprostowany nudził się i ziewał; byłyby się pewnie wszystkie te topole zabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie. Niedaleko odemnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewierany, zmiętoszony; ogonami zwrócone do siebie, dąsając się, milczały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wierzy zamkowej srebrnym głosem zadrżał w sobie, tęsknie, przeciągło, wywołał konającą godzinę... Gdy wszystko tak wokoło mnie było zaspane, dąsające się, osowiałe i krzywe, nie dziw, że i mnie samemu ciężko coś a ckliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry. . gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spojrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościołów i domy miejskie oblane rumianą łuną. Coś o-

sobliwego się święciło, spojrzałem nad siebie, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione... Słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i pacierza się miała, spojrzało na ziemię i, odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna, z nieba zstępując jakby jaki świat w płomieniach. Opłynęły je wielkim półkolem obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiej stolicy dworzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta napowietrzne, zajęte ponurym ogniem i palące się wszystkiemi tęczy barwami .. Gdy tak niebo całym przepychem swoim strojne obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia, wtórując mu chórem, zaświeciła weselem swych błoń, lasów, gór i wodnych zwierciadeł W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech; przebudzone jej barwy roztuliły oczy, patrząc się jasnem, czystem spojrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonej opony, rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jedną wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiem stopniowaniem rozprysła się po przestrzeni bezmiernej... Cała natura zadrgała życiem, odetchnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny. Stanąłem zadumany, porównywając czarodziejstwo tej natury z tem, czem ona była przed kilku chwilami Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie jak doczesność do wieczności, jak biedny nasz żywot do rajskich rozkoszy, jak uboga mowa ludzi do śpiewów anielskich – jak chłodna proza do poezyi cudów, «*jak rzeczywistość do sztuki*». (¹).

Nie idąc dalej za rozwlekłym profesorem, w kró-

---

(1) Listy Kremera. IX. O ideale.

tkości dopowiem myśl jego, że każda sztuka piękna ma dar i moc zamiany szarej a posępnej rzeczywistości na jasny i gorący obraz za pomocą słońca czy światła, które się zwie *idealem;*—rzeczywistość w sztuce idealizuje się i dlatego dzieła sztuki są piękne. Lecz czem właściwie jest owo uidealizowanie przedmiotu rzeczywistego? Oto artysta rzuca nań cudowne światło dobra, prawdy i piękna, nikną wskutek tego wady, ułomności, plamy, niezupełnie wprawdzie, lecz o tyle przynajmniej, by przedmiot, nie przestając być w gruncie rzeczy prawdziwym i rzeczywistym, był jednak niejako podniesionym nad rzeczywistość, był lepszym, piękniejszym, wyższym nad poziom zwyczajny. Takie właśnie uszlachetnianie czy też podnoszenie danego przedmiotu, przedstawianie go w świetle i postaci jaką mieć powinienby, lub mógłby, gdyby był doskonałym, takie tworzenie obrazów ze świata wyższego nad zwykły, codzienny tryb rzeczy, nazywamy podnoszeniem do ideału, idealizowaniem, a ludzi, mających dar umiejętnie, prawdziwie, pięknie tworzyć takie obrazy nazywamy na ogół artystami, a w danym razie poetami. Zadziwiającą naprawdę jest rzeczą, jak prawdziwy artysta, rzeczywisty poeta potrafi pięknie uidealizować choćby najbardziej nieznaczący przedmiot, nie mówiąc już o ludziach. Co np. bardziej w naszych stronach pospolitego nad brzozę, a jednak patrzmy, jak ona poetycznie wygląda w opisie Pana Tadeusza, gdy znudzony pochwałami Hrabiego i Telimeny dla drzew obcych, chce swoje własne podnieść:

> Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina,
> Która, jako wieśniaczka, kiedy traci syna,
> Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
> Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
> Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!

Jak gdyby dla stwierdzenia tego com wyżej powiedział, mamy przed tym ustępem inny, w którym Tadeusz chce obcokrajowe drzewa poniżyć wobec własnych, dlatego nietylko nie rzuca na nie światła ideału, lecz przeciwnie odziera nawet z tego piękna jakie rzeczywiście mają—i stają one przed oczyma czytelnika pospolite, prozaiczne—niepoetyczne.

Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes, z długiemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna, karlica z złocistemi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jakby kobieta mała, brzydka, lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutnie wygląda na grobie;
Jest to jak lokaj niemiec we dworskiej żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić.

A oto znowu drugi przykład. Będąc w podróży, codziennie pomijamy mnóstwo rzek, rzeczółek i strumieni, nie zwracając na nie szczególnej uwagi. Płyną one sobie wśród brzegów czasami pięknych, daleko częściej bardzo zwyczajnych; latem nęcą nas chłodem wody i zielenią swych błoni, zimą niczem zupełnie nie nęcą. Ale oto przychodzi poeta i opowiada że:

Nad błękitną moją Narwią
Najpiękniej się łąki barwią,
Najmiłośniej szumią drzewa
I najmilej słowik śpiewa.

Nad tą rzeką, nad tą moją,
Poświęcone chaty stoją,
A w nich zbożność i prostota,
I pogoda mieszka złota.

. . . . .

. . . . .

Nad brzegami mojej rzeki
Są na smutek dzielne leki,
Co ratują od rozbicia
I wracają chęć do życia.

Dziwne kryją w sobie moce,
Tamte rzeki, tamte noce,
Łąk nadbrzeżnych wonne kwiaty
I ziół leśnych aromaty. (1).

Tak śpiewa poeta i w mgnieniu oka staje się taka przemiana, jak w przytoczonym wyżej opowiadaniu Kremera. Każdy z nas odrazu znajdzie się nad swoją rzeką—mniejsza oto jak się ona zwać będzie, Narew czy Ikwa - i zobaczy, że naprawdę nad nią daleko piękniejsze niż wszędzie indziej niebo, bezporównania jaśniejsze słońce, na jej dnie i brzegach piasek bielszy i droższy od srebra, koło niej rosną drzewa, jakich nigdzie więcej niema na świecie całym, a na ich gałęziach śpiewają ptaszęta ach, jak śpiewają! Szczebiocą i nucą o dziecinnych jasnych główkach i pyzatych, rumianych buziakach, śpiewają o swobodzie i szczęściu dziecinnego serca, o tych dniach rajskich, kiedy to zasypiało się na matki ręku, „kiedy kolano ojca było konikiem... Kiedy świat dla nas taki był mały—ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki" (2) I słucha się tego śpiewu długo, bardzo długo—by potem, wetstchnąwszy zapytać wraz z wieszczem:

Niemnie, domowa rzeko moja, gdzie są wody,
Które czerpałem niegdyś w niemowlęce dłonie?

. . . .

. . . .

Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte zdroje,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

---

1) Gomulicki. «Moja rzeka». 2) L. Siemieński.

Dzieje się zaś to wszystko dlatego, że poeta swoją zekę uidealizował; bagniste brzegi, wylewy, topiele, mętna woda i t. p. rzeczywiste przymioty znikły w blasku dziecinnego szczęścia i wspomnień z lat dawnych.

Czuję jednak, że kiedy mowa o ideale, czytelnikowi mojemu może się przdstawić cały szereg wątpliwości i pytań, na które, przeczuwając je, odpowiedzieć tutaj muszę; więc najpierwej na możliwe zapytanie skąd wziąć, gdzie szukać tego ideału? Poeci współcześni zdają się tego nie wiedzieć — jeden pyta „gdzie piękno“, drugi utrzymuje, że tak treść wszelka wyczerpana lub wzbroniona, że trzeba śpiewać „o niczem“ inny wreszcie, że „trudno geniuszu żądać aureoli — tu gdzie się tuczy sama pospolitość“ — więc gdzież jest owo cudne światło ideału, skąd go zaczerpnąć? Odpowiedź wydaje mi się niesłychanie prostą; słońce, gwiazdy nawet najzwyczajniejsza świeca, jeśli płoną i świecą, powinny mieć i mają źródło światła w sobie, tak samo poeta czy artysta, jeśli ma być prawdziwym poetą, musi mieć ognisko ideału w sobie samym, w swem sercu i głowie

Ponieważ ideał to prawda, piękno i dobro więc żeby być poetą, trzeba mieć przedewszystkiem duszę idealną t. j. znać prawdę, wierzyć w nią i kochać; znać dobro, kochać je i pełnić; czuć piękno i umieć je oddać. I tu właśnie dotykamy drugiego koniecznego warunku, bo kto niema zdolności potrzebnych do oddania w pięknej formie tego, co czuje i wie, może być poetą w duszy, nie będzie jednak poetą-artystą. Takie ognisko idealne posiadali wielcy i mniejsi poeci romantyczni, to też chociaż za ich czasów nie brakło poziomych i podłych ludzi, choć np. Krasiński mnóstwo

niesłychanie gorzkich rzeczy swemu społeczeństwu wypowiedział i choć pisał.

Dla ciebie byłem gwiazdą, piesnią, wszystkiem!
Dla ludzi niczem —bom ja gardził nimi!
Nigdym nie zasiadł do biesiad ich stołów,
Co świat ten cieszy, mnie tylko hydziło,
Żyłem w twych oczach —i oczach aniołów!

to jednak do głowy mu chyba nie przyszło, że nie będzie miał o czem pisać i pozbędzie się geniuszu, bo dokoła „tuczy się sama pospolitość“. Może się mylę, ale zdaje mi się, że nietylko które z trzech słońc poetycznych naszych, ale choćby skromny Syrokomla, mianujący siebie prostym wiejskim lirnikiem, kręciłby głową i uśmiechał się pobłażliwie, czytając jak to p. Chmielowski stara się wytłomaczyć obfitość „kanarków., a brak „słowików“ w naszej dobie, tem, że „w dziedzinie twórczości coraz trudniej o oryginalność“. „W tylowiekowym rozwoju poezyi, twierdzi on, tak dużo było pomysłów i taka ich rozmaitość, tak dużo i tak różnorodnych użyto form, że dzisiejszy artysta słowa może zaledwie pokłosie zbierać po wielkim żniwie. Jemu już niepodobna śpiewać, jak ptak śpiewa — t. j. z natchnienia tylko i bez specyalnej nauki, gdyż wchłonąć on musi wszystko, co było wielkiem i pięknym przed nim, ażeby nie powtarzać mniej dobrze tego, co już poprzednio o wielu doskonalej wypowiedziano“. Podług mego zdania, nauka nietylko nie przeszkadza, lecz owszem pomaga i ułatwia tworzenie, rozszerza horyzont, daje dobre wzory, czego starzy nie mieli w takiej obfitości- A czy to romantycy „śpiewali, jak ptak śpiewa—z natchnienia tylko?“... Mickiewicz był prawdziwym uczonym, Krasiński niezmiernie oczytanym i filozofem, nawet Kondratowicz, biedując na piaskach swoich

—albo raczej nie swoich — znał doskonale łacinę, literaturę, dzieje, i niewiele chyba ustępował w nauce dzisiejszym poetom.

Owszem, gdybym się nie bał kogo obrazić, tobym powiedział, że w utworach dzisiejszych naszych pieśniarzy jakoś nie mogłem dostrzedz nadzwyczajnej głębokości studyów (chyba nad formą poetycką—czego nie „neguję“) a dostrzegłem i omyłek i błędów i płytkości dosyć; ale że, jak rzekłem, nie chcę się nikomu narażać, więc wolę o tem nie mówić.

Co może szkodzić, że trudno o nową formę poetyczną i nowy przedmiot? Już przed 3000 lat Salomon powiedział, że nic nowego pod słońcem, a przecie prawdziwy oryginalny talent poetyczny lub artystyczny, znalazł, co mu było potrzeba i nikogo nie nudził; może z tego powodu być w kłopotach chyba kopista albo drobniutki talencik, który smarzy i muska swe wierszyki, zagląda do wszystkich antologij, czy gdzie czego podobnego niema. Smutny to już poeta i nie ciekawy artysta, który chce „brać“ czytelnika lub widza, nie wartością lecz nowością swego dzieła i niezwyczajnym tematem. Pokąd nowe, ludzie patrzą, gdy się otrzaskają wrzucą do kosza, a potem — za drzwi. Prawdziwie oryginalny i samodzielny talent, jeśli się będzie czem kłopotał, to tem jednem chyba, że mu życia nie wystarczy do ulania w formy widzialne tego, co ma w głowie i w sercu. Lemcke kończy rozdział o poezyi lirycznej złotemi słowy: „Nie troszczmy się o zasoby uczuć; źródło ich nie wyschnie. Bądźmy dzielnymi życiem i patrzmy w górę duchem, a pięknej liryki nam nie zabraknie“. Jabym to zastosował do całej poezyi. Niech kto będzie prawdziwym, samodzielnym poetą, ze zdolnością prawdziwą i poczciwymi, szlache-

tnymi ideałami w duszy, a nie zabraknie mu ani formy, ani treści. Daleko lepiej niż ów ustęp p. Chmielowskiego, tłómaczą brak «słowików» słowa Mickiewicza, powtórzone przez Klaczkę p. Hösickowi: „mój drogi, po co pisać poezye, kiedy w sercu wyschło źródło poezyi". U nas pogasły ogniska ideałów, więc i poeci skarżą się, że tylko „zostało im po kłosie po wielkiem żniwie".

Takie jednak idealizowanie wydać się może ludziom nieobeznanym z warunkami artystycznej twórczości jednostronnem i ckliwem; mogą oni zarzucić, że jak nie sposób namalować obrazu bez cieni, samem tylko światłem, tak też nie można przedstawić ludzi w świetle idealnem, bez wad i błędów, bo będą nudnymi, nieprawdziwymi, bez interesu.

Ten właśnie kierunek, ta troskliwość o prawdę owładnęła dziś umysłami prawie wszystkich tak dalece, że zasadę prawdziwą i konieczną doprowadzono do przesady i do *absurdum*. W pogoni bowiem za prawdą zapomniano o pięknie, ideale, poetyczności; to też nic bardziej zwyczajnego jak spotykać całe tomy poezyi może prawdziwych, lecz niepoetycznych; nic zwyklejszego jak przepatrzyć kilka salonów wystawy sztuk pięknych, nie doznawszy jednego poetycznego wrażenia, nie poczuwszy działania najmniejszej iskry elektrycznej. Powód bardzo prosty: mnóstwo w tych posągach i obrazach studyów, pracy, poprawności i prawdy, brakuje im tylko—poetyczności, więc nie grzeją, choć podobają się na chwilę i bawią.

Wiemy też, że nie na tem koniec, bo pod pretekstem prawdy raczą publiczność europejską opisami i obrazkami takich obrzydliwości i takich brudów, że gdyby w tym samym stopniu były utrzymane jatki

albo stajnie dla bydła, niechybnie właściciele zostaliby przez policyę pociągnięci do odpowiedzialności. Nie wdając się w ocenę takich kierunków, bo to do rzeczy nie należy, rozjaśnię tylko wspomnianą wyżej wątpliwość. Rzeczywiście, jak nie można namalować obrazu bez cieni, tak samo w poezyi nie można przedstawiać ludzi zupełnie doskonałych, a przynajmniej tak rzadko, jak rzadko to zdarza się w rzeczywistości. To też wprowadzanie stron czy nawet całych postaci ujemnych nietylko nie szkodzi, lecz owszem dopomaga do poetycznego efektu, byle poeta umiał tych cieni używać i nie pozwalał, by obraz był samą sadzą malowany — bo nie będzie pięknym ani poetycznym. Tak np. w Makbecie, lady Makbet jest czarnym charakterem, jej mąż nie o wiele lepszy od niej, a jednak tragedya jest wysoce poetyczną, bo wszędzie przez ciemności przebija się światło i zwycięża w końcu. Kiedy np. lady, śpiąc, chce zetrzeć z rąk plamy krwiste, scena jest wstrząsająca i piękna zarazem, bo to głos sumienia w niej się odzywa. Równie wspaniałą i potężną jest chwila, gdy król Makbet widzi cień Banka; — widz drży, ale czuje że sprawiedliwości jednak podeptać bezkarnie nie wolno; a gdy reszcie «las Birnam» wtargnął na mury, gdy owoc tylu zbrodni poszedł na marne, całe słońce ukazało się z za chmury i światło zwyciężyło, bo zwyciężyła sprawiedliwość.

Albo drugi przykład w tak okrzyczanym niedawno jako «poemat zdrady» Konradzie Wallenrodzie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że jego zdrada była grzechem i jak każda zdrada postępkiem szkaradnym sama w sobie; nie ulega także wątpliwości, że człowiek idealny, chrześcijanin doskonały, wróciwszy jak Konrad do swoich z kulturą Zachodu, uczyłby ich i ćwiczył, a

pomnąc na to, że Bóg rządzi losami jednostek i narodów, robiłby coby mógł, zachowując jedną z podstawowych zasad chrześcijańskiej etyki: nie godzi się robić złego, żeby stąd wyszło dobro — i, gdyby trzeba było, zginąłby na wyłomie, resztę zostawując Bogu. Tak robili rycerze hiszpańscy w walce z maurami, tak robił Zriny, tak walczył Kordecki, Staremberg w Wiedniu i t. p.

Nie ulega również wątpliwości, że gdyby Konrad zdradzał dla pieniędzy, dla wyniesienia, dla celów osobistych, byłby nikczemnym i bez ratunku dla poezyi straconym. Ratuje go jednak najpierwej, że w gruncie rzeczy był poganinem, a chrześcijaństwo poznał i czerpał u praojców dzisiejszych kulturtragärów, obywateli państwa „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów.“ W takiej szkole niewiele się mógł poczciwego nauczyć, więc żyjąc w klasycznej ziemi zdrady i przewrotności, popełnianych dla zysku i wygody, mógł naprawdę być przekonanym, że tembardziej godzi się zdrajców zdradzać dla obrony swojego kraju. A jak on kochał tę krainę swoją! Dla niej to on poświęcił Aldonę, dla niej znosił iście piekielne męki duszy, i ta miłość właśnie, to straszne poświęcenie, ten ogrom nieszczęścia i cierpienia podnoszą go i rehabilitują, rzucając na jego postać całe snopy światła, tak że kiedy wsparty na oknie:

> Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
> Depce nogami z uśmiechem pogardy:

kiedy pełen radości z klęski zaklętego wroga, ciska mu w oczy przechwałkę:

> Ja to sprawiłem! Jakem wielki, dumny,
> Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
> Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny
> Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!

wtenczas serca wszystkich czytelników stają po stronie tego mężnego i nieszczęśliwego, który poświęcił siebie i wszystko swoje dla swoich. I kiedy jeszcze na końcu czytelnik posłyszy jak:

. . . . w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany

i domyśli się

Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu,

składa książkę, unosząc w sercu pieśń „anioła harmonii,“ pieśń poetyczną pomiędzy wszystkiemi, bo wielkość charakteru, męstwo, poświęcenie, miłość bez granic i nieszczęście bez miary, ulepiły postać idealną, pomimo wad jej i cieniów.

I po co jednak to wszystko, zawoła kto ze zwolenników trzeźwości i bezwarunkowej prawdziwości, na co przyda się idealizowanie w poezyi, kiedy w rzeczywistości nic podobnego nie spotykamy? A na co przyda się słuchać koncertu, kiedy w naturze słyszymy tylko niezharmonizowane najczęściej dźwięki, kiedy muzyka jest rzeczą sztuczną? Po co patrzeć na piękne obrazy i rzeźby, kiedy takich ludzi jak tam chyba nigdy nie spotykamy? Dlaczego szukamy obcowania z mądrymi, wielkimi, świętymi, kiedyśmy sami maluczcy, prości i grzeszni? Szukamy tego wszystkiego dla tego samego, dla czego lubimy świeżość wiosny, ciepło kominka w zimie, cień drzewa w skwarne lato; —dlatego, że jak pierś rozszerza się, wdychając świeże wonne powietrze, jak ciało odpoczywa w cieniu i nowych sił nabiera, tak na widok lub przypomnienie wszystkiego co lepsze, szlachetniejsze, wyższe, niejedno biedne zmęczone serce rozszerza się i nabiera otuchy,

dusza wchłania z lubością promienie dobra i piękna, tryskające z idealnych dzieł sztuki, i dobrze jej, wygnance na „łez padole“, choćby w odbiciu, w słabym refleksie ujrzeć światło dolatujące z dalekiej ojczyzny światłości, posłyszeć słabe echo harmonii z dziedziny doskonałej harmonii, dokąd wszyscy dążymy—a w chwilach lepszych tęsknimy i pragniemy.

Mrzonki i marzenia — zawyrokuje umysł „mocny i trzeźwy“—wszystko się tutaj kończy i dlatego niema sensu ani potrzeby roztkliwiać się rojeniami bez podstawy. Zapewne z równą racyą, mógłby ktoś widzący, że rzeka kończy się w pewnem miejscu, po za które jego wzrok i świadomość nie sięgają, twierdzić, że dalej niema nic i tutaj koniec, tylko takiego trudno nazwać umysłem „mocnym i trzeźwym“—ale mniejsza o to na teraz. W polemikę wdawać się tutaj nie czas i nie miejsce, natomiast, zdaje mi się, wypada na zakończenie tego zadługiego już rozdziału, zastanowić się nad pytaniem: jak właściwie należy zapatrywać się na poezyę, pojętą w znaczeniu wyżej określonem? Jest-li ona rzeczywistością, czy też „marzeniem, złudzeniem, piękną marą“—i oczywiście zabawką tylko? Przyda się nam potem rozwiązanie tej wątpliwości. Odpowiedź twierdząca lub przecząca zależeć będzie od stanowiska czytelników. My wierzący, my chrześcijanie stanowczo twierdzimy, że poezya, ogólnie mówiąc, w swem rzeczywistem a szlachetnem określeniu jest rzeczywistością i do tego jasną, promienną, wspaniałą—twierdzimy tak, bo wierzymy w ideały. Wierzymy więc, a nawet wiemy, że nad nami i pomiędzy nami jest najwyższy-absolutny Ideał—na Nim, jak na opoce niewstrząśnionej opierają się wszystkie ideały, od Niego, jak od słonca blask swój i światło otrzymują; wierzymy i naj-

pewniejsi jesteśmy, że ten Ideał — Bóg, wszystko stworzył dla siebie, więc wszystko w pewnym stopniu i mierze posiada cechy i piękno Jego idealności, wszystko dąży do uczestnictwa w Jego idealnem szczęściu — o ile, ma się rozumieć, do tego jest, czy będzie zdolnem. Wiemy, że lubo świat fizyczny lub zwierzęcy mógłby być jeszcze doskonalszym niż jest, to jednak i teraz jest bardzo dobrym: «i widział Bóg wszystkie rzeczy które był uczynił, i były bardzo dobre» (Genes. 1. 31), a co najważniejsza i o co przedewszystkiem idzie, wierzymy i pewni jesteśmy, że cały rodzaj ludzki dla ideału jest stworzony; że więc powinien się ciągle w ideał przetwarzać, by potem, po śmierci, ideał ten osiągnąć i stać się idealnym.

Ten koniec idealny człowieka, wiara w możność, owszem w konieczność osiągnięcia go, jest dla nas pewnikiem, jest naszą pociechą, skarbem naszym i zarazem pieczęcią wybrania, którą ze szlachetną dumą na czołach naszych nosimy. Tak, choć słabi i ułomni, jesteśmy z łaski Bożej, do ideału przeznaczeni, do niego, choć nieudolnie, dążymy i zdążyć kiedyś spodziewamy się; dlatego obrazy idealnie poetyczne nas nie dziwią i nie rażą — dążymy przecie wszyscy do ideału, do poezyi zatem.

Prawda, że w stanie doskonałym będzie to potem, kiedyś, ale my, wierzący, mamy już i na ziemi ludzi, jeśli nie idealnie szczęśliwych, to w każdym razie idealnie zacnych, świętych, dobrych. Czyż nie był idealnie świętym ks. Damian z Molokai, gdzie umarł z trądu na posłudze trędowatych, tak samo jak idealnemi są te zakonnice, które dalej jego misyę kontynują. Idealnie mężnym i prawdziwie świętym był Garcia Moreno, prezydent Ekwadoru, zamordowany przez

masonów, tak samo jak idealnym dziennikarzem był ów młody pisarz (także w Ekwadorze), którego masoni niedawno za obronę wiary nietylko zabili, ale przed śmiercią wyrwali mu trzy palce, w których pióro trzymał. Idealną była młoda zakonnica w Paryżu, która pozwoliła kąsać siebie psu wściekłemu, pokąd jej uczennice nie uciekły, i ten wikary, co się dobrowolnie ofiarował prusakom na rozstrzelanie zamiast ujętego przez nich ojca rodziny, — i ten ksiądz z Marsylii, co wolał znieść hańbę i pójść niewinnie do Kajenny, niż zdrazić sekret spowiedzi [1]). Nie sięgając jednak tak wysoko, spotykamy, dzięki Bogu i wśród nas mnóstwo ludzi zacnych, wiernych cnotliwych, rozumnych - dążących stale do ideału. Znałem i z rozrzewnieniem wspominam święte, nikomu nieznane niewiasty, ciche męczennice obowiązku i prawdziwe bohaterki cnoty; znałem, i nawet bardzo wielu, wiernych i kochających mężów, mnóstwo oddanych całkowicie swym obowiązkom żon i matek; znałem cichych, pracowitych, umartwionych kapłanów—a sądzę, że i każdy z moich czytelników może się tem samem pochwalić.

Ostatecznie więc nawet wśród smutnych naszych czasów, ideał nie jest całkiem wypędzony ze świata i nie jest prawdą to wszystko, co poeci opowiadają, tłómacząc siebie. Jużci niepodobna im nie wieżyć, że tylko takich ludzi spotykali, w których «tyle treści, co w pustym orzechu», że ich kobietom „brak wszelkiego uczucia“, że świat cały jest tak głupi i podły, iż trze-

1) Jaka to szkoda, że p. Tetmajer o takich ludziach nie słyszał; możeby zamiast «zstępując w świat posępny zagrobowy» odwracać ze wzgardą oblicze od ziemi, możeby powiadam, uznał, że jednak są na niej ludzie, którym on nie wart rzemyka u trzewików rozwiązać, chociaż napisał «Ogród lesbijski, Safo, Ledę».—albo raczej dlatego właśnie, że je napisał.

ba nim, podług p. K. Tetmajera gardzić i nienawidzić go, a nawet odchodząc w świat posępny, zagrobowy, głowy ku niemu nie odwrócić--ale jeśli tak z tymi adeptami Apollina było naprawdę, to sami sobie winni. Widocznie nie umieli dobierać towarzystwa, a może jeszcze bardziej winni, może właśnie w nich samych tkwi przyczyna, że tylko tacy ich otaczali.

Jakaż bo naprzykład czysta dusza męzka czy niewieścia odważyłaby się wejść w bliższą znajomość z poetą, który tak publicznie, bez żadnego wstydu wypowiada swoje lubieżne myśli i ogłasza światu swoje małpio rozpustne upodobania, jak np. autor „Lesbijskiego ogrodu“? Zwykle nawet ludzie bardzo zepsuci rumienią się żądz swoich i do nich nie przyznają, ten pan jednak ogłasza całemu światu, co się w nim szpetnego dzieje, każe więc domyślać się zupełnego zaniku wstydu i skończonego zepsucia; niechże się nie dziwi, że tylko tacy go otaczają, którymi gardzić musi. Tylko jakie ma prawo do tego?

Tyle co do naszego na poezyę poglądu, ludzie zaś niewierzący, niechrześcijanie—jak sami zeznają — w ideały rzeczywiste nie wierzą, między sobą ich nie mają, dojść kiedyś do nich nie spodziewają się, dla nich więc oczywiście poezya staje się tylko „ułudą, marzeniem, piękną marą“—staje się polem popisu dla wierszokletów i przedmiotem rozrywki, zabawką w nudach dla czytającej publiczności. To wydaje mi się jasnem i niepotrzebującem dowodzenia.

ROZDZIAŁ III.

—*—*—

Wnioski z poprzedzających zasad —Konieczność wiary dla poety.— Skutki jej zaniku. — Odpowiedź na możliwy zarzut. — Przykłady z dziejów literatury u Greków i Rzymian.—Klasycyzm francuzki.— Obóz klasyków w Warszawie —Przyczyna romantyzmu w Europie i u nas.—Słówko odpowiedzi potwarcom naszego romantyzmu.

Przystąpmy teraz do wyciągania wniosków z zasad w poprzedzającym rozdziale rostrząsanych. Widzieliśmy, że w poezyi powinny się znajdować dwie części składowe, niby w człowieku ciało i dusza, mianowicie forma doskonała i treść piękna. Wyrobienie doskonałej formy nie jest rzeczą łatwą i nigdy odrazu nie przychodzi, wymaga bowiem wyrobienia języka i w pewnym przynajmniej stopniu ogólnego wykształcenia społeczeństwa, żeby tak poetyczny język, jak poetyczna treść, mogły być przez nie zrozumiane i odczute.

Dlatego naród nie mający jeszcze wyrobionej mowy i na nizkim stopniu cywilizacyi stojący, może mieć tylko próby poezyi, podobne do owych jeźdzców i koników rysowanych przez chłopców na ścianie, może mieć poetyczne pomysły, poezyi prawdziwej mieć nie będzie. Gdyby zaś przypadkiem tak się okoliczności złożyły, że wśród pierwotnego społeczeństwa powstałby poeta znacznie od niego wyższy. powtórzyłyby się stosunki z V, VI, VII wieku, o których nieraz wspomina Montalambert w „Les moines d'occident".

W owych czasach w klasztorach Galii i Irlandyi zakonnicy z zamiłowaniem, prawie z namiętnością, oddawali się studyom nad poetami łacińskimi, pisali też i własne wiersze, nieraz bardzo piękne, ale zaraz za

progiem klasztoru kończyło się panowanie poezyi, bo kraj cały wrzał od burz wojennych, napadów, łowów i t. p. zajęć; o literaturę nikt się nie troszczył. Jeśli jednak jest już i język i odpowiedni stopień wykształcenia, jeśli nawet jest człowiek mający duszę poetyczną, ale nie mogący swych pomysłów w pięknej oddać formie, może być poetą w czynie i życiu, lecz nie będzie poetą artystą. Z drugiej jednak strony, choćby po mistrzowsku władał formą, jeśli nie będzie miał treści, którąby w niej zamknął, może być bardzo zdolnym wierszokletą, właściwym, rzeczywistym poetą nie będzie; jak bowiem widzieliśmy, poezya więcej niż każda inna ze sztuk pięknych żyje piękną, poetyczną treścią Już zaś wiemy że jest nią właściwie wszystko co jest, ale na pierwszem miejscu człowiek; im znowu poeta artysta wyżej lata, im szerzej wzrokiem po świecie wodzi, im czystszy i piękniejszy goreje w nim ogień czy płomień ideału, tem wyżej, wznioślej, szerzej pojmuje człowieka, tem więcej widzi dla siebie treści, owszem widzi jej taką pełnię, taką mnogość, że jej podołać nie może. Światło zaś ideału utrzymuje w poecie znajomość i miłość prawdy, dobra i piękna.

Przychodzimy więc do wniosku, że poetą rzeczywistym, prawdziwym jest człowiek mający z łaski Bożej dar oddawania swych myśli i uczuć w pięknej poetycznej formie i posiadający w duszy światło ideału, pozwalające mu odpowiednio swoje twory oświetlać i do dziedziny artystycznego piękna podnosić. Powiedziałem już nieraz, że ideał to dobro, prawda i piękno, na co przypuszczam każdy się zgodzi, ale nie jeden może mi zaprzeczy, jeśli potem dodam, że może je w człowieku utrzymać i nawet pomnożyć tylko wiara. Ona to odkrywa przed nim prawdę, ona wskazuje i

każe kochać dobro, ona uczy poznawać rzeczywiste piękno. Tu muszę wtrącić uwagę, że jak hymn chrześciański, np. „Stabat Mater“ albo „Wesoły nam dziś dzień nastał“, byłby niezrozumiałym dla pogańskiego społeczeństwa, jak Boska Komedya byłaby dla niego zagadką, a miłość Konrada i Aldony wydałaby się im skończoną niedorzecznością, tak dla społeczeństwa wierzącego, śpiewy i tryle rymotwórców bez wiary i ideałów, będą i być muszą niezrozumiałe, obojętne, śmieszne, albo i gorzej nawet. Snując jednak dalej wnioski z poprzednich przesłanek, utrzymuję, że poeta tembardziej będzie poetą, im lepiej będzie wierzył. Kiedy straci wiarę, zgaśnie w nim słońce ideału i będzie widział świat i rzeczy jego, tylko przy blasku fosforycznym błędnych ogników, albo przy sztucznem jakiem oświetleniu; horyzont jego będzie stopniowo coraz bardziej malał — i będzie coraz częściej pytał siebie i drugich: „gdzie piękno?“ i będzie mu się coraz częściej zdawało, że dla braku treści musi śpiewać „o niczem.“ A będzie to zupełnie naturalnym wynikiem zgaśnięcia słońca ideału; kiedy w dzień słońce świeci, można widzieć daleko i szeroko, ale kiedy zajdzie i ciemności zapadną, jakże niedaleko sięga oko przy świetle lampy lub świecy, którą w dodatku lada co zdmuchnąć może.

Ponieważ nieraz już całe społeczeństwa albo przynajmniej niektóre ich warstwy traciły wiarę, więc z dziejów literatury możemy dokładnie wyrobić sobie pojęcie o tem stopniowem, w skutek wygasania wiary, zamieraniu ideału i poetyckiej twórczości. Najpierwiej więc w takim razie, rzecz oczywista, milknie poezya religijna, człowiek niewierzący zrywa stosunki ze światem całym, po za ziemią będącym, i staje się podob-

nym do osadnika jakiejś puszczy zapadłej, który się po za jej obręb przez całe życie nie wychylił, a co mu opowiadają o niebotycznych górach, o bezbrzeżnym oceanie, o kościołach z kamiennej koronki, o żelaznych drogach, o zdobyczach nauki i sztuki, uważa za bajki i brednie. Czy ów mieszkaniec pustyni uważa swój pogląd na świat za mądrość jedyną, nie mógłbym twierdzić stanowczo—choć wszelkie za tem przemawia prawdopodobieństwo—ale rzeczą jest powszechnie wiadomą, że ludzie niewierzący, swoje ograniczenie się do ziemi poczytują za szczyt mądrości. Prawda, że każde ograniczenie takiego samego o sobie jest zdania. Poezya, szukająca swego natchnienia w tak pojętej mądrości, traci odrazu niezmierne horyzonty zaziemskiego świata, traci niezmierzoną treść, bo niezliczoną ilość ogniw i łańcuchów wiążących indywidua i ludzkość całą z Bogiem i Niebiosami, traci niewyczerpany zapas piękna, bo wszystko co w człowieku jest najszlachetniejszego, najrozumniejszego, najwznioślejszego wiąże się właśnie z Bogiem i Niebem, gdy przeciwnie zapadłe kałuże i cuchnące podłości stykają się zawsze z niewiarą i „moralnością niezależną." Poeta niewierzący przecina tedy wszystkie nici u góry i pozostaje na ziemi.

Zdawałoby się, że i tutaj treści ma jeszcze aż nadto dosyć—zapewne, ale kiedy słońce gaśnie, coraz mniej i tylko coraz bliżej widzieć można, a kiedy zupełnie zajdzie, nic już nie widać, choć wszystko na ziemi zostało, jak było przed chwilą. Podobnie z zanikiem wiary i ideału, poeta nie może już objąć okiem człowieka na szerszą miarę, nie może wyśpiewać czynów jego w szerokim dziejowym rozwoju, to też po religijnej poezyi, gaśnie epos, a twórczość poetycka

zacieśnia się do coraz drobniejszych epizodów, do śpiewów treści egzotycznej, do opisów pewnych nastrojów duszy, do malowania widoku, posągu, obrazu i t. p.

Dzieje się tu z poetą jak z człowiekiem tracącym wzrok; widzi on jeszcze swój pokój, osobę blizko stojącą, pień drzewa, czasami całe drzewo, czasem tylko gałązkę lub listek—ale co się tam dalej dzieje, tego on nie wie i całości zgromadzenia ludzi, krajobrazu, lasu, już objąć nie może; — zadawalać się musi drobiazgami i szczegółami. Kiedy tak prawdziwa twórczość poetycka wysycha zwykle po pogrzebie fantazyi artystycznej, rozpoczyna się panowanie rozumu; więc kwitnie w poezyi dowcip, zrzędzi satyra, rozprawia dydaktyka, poezya uczy, przeprowadza tendencye rozmaite, opisuje, a wszystko stara się robić w najlepszej formie. Już to wyłączne, przesadne prawie dbanie o wykwintną formę było, jest i będzie zawsze niezawodną cechą poezyi w upadku. Zdawać się to może paradoksem, ale jednak nim nie jest. Piękna forma koniecznym jest warunkiem poezyi, to prawda; najwięksi poeci o nią dbają i dbali, różnica jednak między wielkimi poetami a pogrobowcami poezyi jest ta, że pierwsi obok pięknej formy mieli treść znakomitą, więc choćby i znalazła się jaka w formie usterka, łatwo ją było przebaczyć i mniej o nią dbać można było; drudzy natomiast, nie mając żadnej, albo prawie żadnej treści, oczywiście trzęsą się nad najmniejszą niedokładnością formy. Objaśni to może lepiej przykład. Kiedy widzimy przed sobą młodego, żywego, przystojnego chłopca, o szlachetnem sercu, dobrej głowie i tęgim charakterze, oczywiście będziemy w nim zawsze bardzo cenili dobre wychowanie i znalezienie się, a jeśli się nam przedstawi w dodatku i dobrze ubranym, tem ci lepiej.

Gdyby jednak ów młodzieniec czasem głośniej niż potrzeba, zaśmiał się, nieco rubasznie potuszył, albo w źle zrobionem zaprzentował ubraniu, miałby w swem sercu, głowie, w tryskającym zeń czarze młodości i piękności, aż nadto środków do pokrycia owych małych usterek. Kiedy jednak czas zagasi w oczach i na obliczu czary młodości, kiedy nadużycia zetrą z duszy urok szlachetności, niby puszek delikatny z brzoskwini, kiedy sprzeczne prądy wzniecą w umyśle rozterkę, a człowiek jednak zechce po dawnemu podobać się podbijać, naturalnie całą uwagę zwróci na stronę zewnętrzną i udoskonali ją rzeczywiście znakomicie—ale cóż po tych okrągłych ruchach, słodkich słowach i garderobie bez zarzutu, kiedy już niema młodości, kiedy rozum niestały, niepewny, a serce całkiem do niczego?

Forma bez treści niewiele warta, rozumiemy jednak dlaczego tak o nią dbają ci, którym nic już oprócz niej nie zostało. Otóż w tem stadyum swego upadku, albo jak interesowani mówić wolą, swego rozwoju, poezya, nie mogąc działać na wyższe i szlachetniejsze władze duszy ludzkiej, stara się wpływać na niższe, a nawet na zmysły, więc sadzi się na to żeby widoki czy przedmioty nietylko opisać lecz nawet malować, więc dba nietylko o harmonię wiersza, lecz jeszcze usiłuje, jak powiada p. Cz. Jankowski, wkraczać w dziedzinę muzyki. Nic to jednak nie pomaga i starzejąca się muza coraz mniej widzi, więc też w końcu daje za wygraną oryginalnemu tworzeniu, i puszcza się na tłomaczenia i naśladowania; jeśli się zaś zdobędzie na coś oryginalnego, to chyba na epigramat albo króciutki koncepcik.

W tym tedy kierunku kończy poezya na płytkości. Wysycha jak rzeka, której źródło bić przestało,

a sama rozlała się po piaskach, te ją wchłonęły, a resztę słońce wypiło. Podobnie zresztą dzieje się i z innemi sztukami pięknemi, np. z malarstwem; ono także zerwawszy z wiarą, przestaje być religijnem, potem zanika malarstwo historyczne — niektórzy artyści wprawdzie utrzymują, że to owszem bardzo dobrze, bo w historycznem i religijnem malarstwie tak samo jak rodzajowem są ludzie noszący suknie i obuwie, a światło tak samo się rozkłada na Maćku bijącym się z Bartkiem o podarty siennik, jak na Witoldzie gromiącym krzyżaki pod Grunwaldem. Nie przeszkadza to jednak ani trochę temu, że twórczość coraz bardziej karłowacieje, i malarstwo pod pretekstem szukania prawdy staje się wreszcie kopiowaniem żywcem natury, a potem wzorów i szkoły. Smutny to zapewne koniec, ale w każdym razie jeszcze najlepszy, bywa bowiem gorzej—tak malarstwu jak i poezyi!

Otóż zdarza się, że część poetów, nie mająca już o czem śpiewać, uważając za jedyne zadanie poezyi «wkraczanie w sferę muzyki», czyli poprostu głaskanie nerwów słuchowych harmonijnem następstwem wymawianych dźwięków, pisze wiersze bardzo starannie opracowane pod względem rytmu i rymu, ale coraz więcej zbliżone do przytoczonych wyżej: «Niech zębów zgrzyt wilczy do niebios zawoła.» I taki koniec poezyi jest—idyotyzmem; smutny on jest także, ale bywa jeszcze smutniejszy. Pewien bowiem odłam poetów, nie znajdując treści przy świetle słonecznem, niebieskiem dla swych utworów, szuka jej przy płomieniu grzechu i namiętności. Tacy wprowadzają na swój Parnas nienawiść i jej córki w formie paszkwilów rymowanych, potwarczych dowcipów i anegdot, tendencyjnie przekształconych opowiadań, jak to robili np. Wolter w swo-

ich Contes, Węgierski w pamfletach, Włodzimierz Wysocki w swych ramotach, Konopnicka we Fragmentach i innych rymowanych potwarzach. Inni jeszcze rymotwórcy hołdują Wenerze i opiewają coraz cyniczniej miłostki swoje i cudze, brnąc coraz bardziej w rozpuście i lubieżności. Ponieważ w życiu te występki prowadzą do stanu chorobliwego, więc się on i w poezyach (czy to można nazwać poezyą—quae numine afflatur?) [1]) takich upadłych wierszopisów objawia. Lubują się oni i opiewają nietylko cynicznie rozkosze, ale w końcu rzeczy obrzydliwe, zgniłe, brudne złe. Poezya tym razem kończy w błocie i to jest — znikczemnieniem i rozkładem.

Powiedziałem, że z dziejów literatury możemy się przekonać o takim, jak tylko co skreślony, przebiegu zamierania i rozkładu poezyi, w razie zobojętnienia jej dla wiary. Zgadzając się nawet na to, a na fakt nie zgodzić się trudno, zechcemy sobie zapewne wytłomaczyć naturę i racyę takiego zjawiska; bo że zamrze poezya religijna, to rzecz naturalna (nie jeden by nawet dodał: i mniejsza o to), ale dlaczego mają zamierać inne jej rodzaje, nic na pozór wspólnego z wiarą nie mające? Przyczyna jest następująca. Do namalowania jakiegoś studyum, napisania sonetu lub piosenki, jak do zbudowania altany albo kiosku, nie potrzeba, bądź co bądź, szerokich poglądów i wielkiej filozofii zupełnie jednak inaczej się dzieje, kiedy trzeba stworzyć dzieło sztuki na wielką miarę, szczególnie kiedy w niem ma się odmalować obszerniejszy zakres działalności ludzkiej, szereg czynów konsekwentnie po sobie następujących, następstwo przyczyn i skutków. W ta-

[1]) «natchnienie bierze od Boga»—napis na obrazie Rafaela przedstawiającym Poezyę.

kim razie autor artysta powinien koniecznie mieć cały system wiadomości pewnych, co do najważniejszych, podstawowych pytań tyczących się człowieka. Taki zaś system daje tylko wiara prawdziwa, ona tylko tłomaczy skąd człowiek powstał i dokąd dąży, ona rozjaśnia tysiące skomplikowanych, a ciemnych bez jej światła jak przepaście zagadek i pytań z istotą ludzką związanych. Skoro poeta wierzy, ma w swej duszy ideał, ma światło, w którem widzi działających bohaterów swoich, a widząc, malować ich może. Niechże jednak to światło zgaśnie, niech poeta przestanie wierzyć, a zacznie wątpić, wtenczas świat cały będzie dla niego nierozgmatwaną plątaniną głupstw, zbrodni, nieszczęścia, czynności człowieka będą mu się przedstawiały nie w jednolitej całości, jak np. rozumnemu historykowi, ale sporadycznie, bez związku, w porządku chronologicznym, niby najzwyklejszemu kronikarzowi z dawnych, naiwnych czasów.

Cóż dziwnego, że nie widząc sam całości, nie potrafi jej drugim przedstawić, że sam nie pojmując nic z tego, co się wokoło niego dzieje, nie potrafi nic innego swym braciom zaśpiewać, oprócz oderwanych rapsodów, niedokończonych urywków... to rzecz całkiem naturalna. To też nawet niekatolicki estetyk zgadza się ze mną zupełnie w tym względzie i powiada: «Kto jest chwiejnym w swej wierze i w swojem pojęciu życia, ten nie utworzy charakterów silnych i wybitnych, bo nie zna ideału. Tej pewności i siły poglądów nie można zdobyć, wymusić, ani w sobie wyrobić; wola tu jest niepłodną; musimy się z nią urodzić, musimy ją posiadać we krwi i w kościach. Czyj stosunek do życia niejasny, ten go nie zdoła idealnie odtworzyć, co najwięcej, weźmie zeń jeden albo drugi

szczegół. W czasach, w których lud żyje w rozdwojeniu z samym sobą, w których zwątpił o wszystkich podstawach życia, utrudnia się bardzo zadanie poezyi.» [1])

To jest jedna przyczyna, którąbym nazwał teoretyczną, jest jeszcze i druga, bardziej praktyczna. Oto wiara nietylko daje pogląd pewny a szeroki na świat i człowieka, ale mu jeszcze wskazuje cel wysoki i każe dążyć do niego przez ciągłe ćwiczenie woli, przez doskonalenie się ustawiczne, a tego doskonalenia podstawą jest arcychrześcijańska cnota — zaparcie się siebie. Trudno wypowiedzieć jak przez praktykę tej przepięknej cnoty człowiek wysoko się wznosi, jak uczy się rozumem i wolą wybiegać daleko po za ciasny obręb swego biednego *ja*, jak widzi szeroko i daleko, ile pięknych rzeczy spostrzega, ile szlachetnych znajduje przedmiotów do miłowania, ile rzeczy go interesuje. Jeśli jednak wiara zgaśnie w niedowiarstwie, a choćby tylko w zwątpieniu, niedługo po niej z konieczności znika i moralność chrześcijańska, a wzniosła. Można wojować, można cierpieć, można pracować, jeśli się wie na co i dla czego; kiedy jednak cel zagrobowy zniknie, kiedy Bóg i Jego sprawiedliwość kryją się przed okiem człowieka w tuman i mgłę zwątpienia, kiedy człowiek ze swym początkiem i przeznaczeniem stanie się jedną wielką niewiadomą, jakiemś X nierozwikłanem, powoli osłabną wszystkie sprężyny moralne, poświęcenie dla drugich, a zaparcie się siebie stanie się zagadką, potem niedorzecznością i coraz bardziej będzie brał górę pogański instynkt człowieka sprowadzania wszystkiego do siebie, zacieśniania swojej działalności, swej myśli, miłości, pożądań do swego tylko

---

[1]) Lemcke. «Estetyka», II. 229.

ja—i to pojętego w coraz niższy i bardziej zmysłowy sposób. Poeta niewierzący coraz rzadziej będzie śpiewał o drugich, nietylko dlatego, że przestanie ich rozumieć, ale że ich kochać nie będzie, że go obchodzić nie będą. Jego umiłowanym przedmiotem będzie on sam — jego myśli, troski fantazye, zachcianki i jego brudne, zmysłowe, rozpustne marzenia, uciechy i pragnienia.

Taki jest przebieg losów poezyi w dziejach literatury, które też parą wyjętych z niej przykładów zamierzam poprzeć i wytłómaczyć; pierwej jednak muszę odwrócić od siebie cios i odpowiedzieć na zarzut, z którym, ręczę, nie jeden czytelnik czatował na mnie, pewny że mnie nim zdruzgocze na miazgę. Każdy juści, kto mnie czyta, domyśli się z łatwością, że mówiąc o wierze żywej i jej wpływie na poezyę mam na myśli tę wiarę katolicką, którą sam wyznaję; otoż zaprzeczyć nie mogę, że grecy, indyanie, rzymianie, persowie nie byli chrześcijanami, wyznawali poganizm, a przecież mieli poezyę, i nawet bardzo piękną. Jeśli więc wyznając wiarę fałszywą, można być genialnym poetą, jak Homer lub Firdussi, zatem całe dowodzenie moje jest fałszywem? Odpowiem na to, że religie: persów, indusów, greków, rzeczywiście były fałszywe i błędne, wywody jednak moje są zupełnie prawdziwe i z rzeczywistymi faktami zgodne. Każda wiara pogańska była i jest fałszem i błędem, ale pokąd się zupełnie nie rozłoży i nie rozpłynie, zostaje w niej jednak zawsze trochę prawdy, tak np. w politeizmie greków, dualizmie Zend-Awesty, w Sabelianizmie chaldejczyków, pozostała jednak idea Bóstwa, stworzenia świata i człowieka, zależności ich od Boga; zostało jakieś pojęcie o sprawiedliwości Bóstwa, wpływie jego

na losy śmiertelnych i t. p. Obok resztek dogmatów, pozostały resztki moralności, nawet często dość znaczne; wszystko to było obcięte, skoszlawione, przyćmione, ale jednak było i świeciło odrobinę; dawało jakiś pogląd na świat, człowieka, jego obowiązki, utrzymywało pewien choć słaby płomień ideału w duszy poety i jego narodu. Nie był to dzień, ale nie była i noc zupełna — nadeszła ona dopiero wtenczas, kiedy i te słabe światła pogasły, kiedy przestano w sferach oświeconych wierzyć zupełnie, kiedy u greków Zeus przeszedł do karykatury, a u rzymian Lucyan pisał swoje dyalogi bogów i bohaterów Wtenczas nadeszło niedowiarstwo i zwątpienie — a właśnie zwątpienie to noc zupełna. Poeta poganin, ale wierzący, popełniał tysiączne błędy w swych poematach, ale było w nich coś i prawdziwego; poglądy pogańskich poetów przypominają mi systemat astronomiczno-geograficzny Ptolomeusza. Wiemy co w nim było fałszywego, ale prawdziwem było to, że jednak ziemia rzeczywiście istniała, że były planety i gwiazdy, że pozorny obrót słońca około ziemi rzeczywiście istnieje, można więc było, oparłszy się na tych prawdziwych, acz niedokładnie poznanych danych, zbudować systemat, który trwa, wieki; niechby jednak znalazł się mędrzec, któryby ułożył jakikolwiek systemat astronomiczny i narysował jakąkolwiek mapę ziemi, gdyby prawdą było twierdzenie niemieckich transcendentalistów, że wszystko co jest, właściwie nie jest, ale zdaje się że jest, bo jest ideą, myślą każdego z nas;—niechże kto będzie mądry i narysuje mapę myśli każdego z nas; ten sam chyba tylko mógłby ułożyć jakiś systemat religijno-filozoficzny, przy zupełnem religijno-filozoficznem zwątpieniu. Zarzut więc ten nietylko nie obala mego twierdzenia,

lecz je owszem stwierdza, bo i u pogan nawet widzimy kwitnącą poezyę, pokąd nie upadła zupełnie wiara, a gdy ta gasła, upadała też i umierała poezya. Nawet więc odrobina prawdy i dobra, jaka mogła zostać w poganizmie, rodziła dobre owoce, cóż dopiero mówić o pełni prawdy i dobra Objawienia Chrystusowego.

Z odrobiną prawdy i dobra, jaka zoztała w politeizmie heleńskim, rozwijała się Grecya i doszła do sławnej epoki Peryklesowej, niosąc w skarbie swej literatury rapsody Homera, pieśni Pindara, dramaty Sofoklesa i innych. W czasie wojny peloponeskiej i po niej, zagasła wiara w bogów, upadła zupełnie moralność, i oto jak następstwa tego opowiada wielki szowinista grecki, wielki przyjaciel poganizmu Wiktor Duruy: «Gdzież jest ten upadek? — zapytuje on. — W dwóch względach wzajemnie się stykających i bez wątpienia jeden od drugiego pochodzących. Poezya znika, wypędzona przez swe dwie siostry, wymowę i filozofię—i wiara patryotyczna przepada. Jak waleczna armia, co idąc naprzód, zostawia na polach zwycięztw najlepszych swych żołnierzy, Grecya nie widzi obok siebie, lecz już daleko za sobą tych, których śpiewy rozweselały jej męzką młodość. W czasie tych wszystkich wojen niebo się zachmurzyło; zapał, entuzyazm upadły; niema już więcej poetów, lira Pindara strzaskana, tak samo jak Homera, Sofoklesa, Arystofanesa. Świat się starzeje i muza nie znajduje już nic nowego, coby ją zachwycało, i chętnieby powiedziała: niema na co patrzeć pod słońcem. Zamiast poetów są teraz uczeni .. Pod tym względem jest przynajmniej niejaka wymiana między dziewięciu siostrami (muzami): co jedna traci, druga wygrywa. Duch grecki nie upada, chociaż potężna i droga struna przestała dźwięczeć, ale

co ginie bezpowrotnie, to wiara polityczna...» Ten sam historyk nieco dalej dotyka drugiego, koniecznego skutku zaniku wiary, którą podobało mu się nazywać wiarą patryotyczną, t. j. narodową. «Poeci chwalili w teatrze uciechy pokoju, obfite uczty, zaspakajanie nizkich chuci i drwili ze wszystkiego, co czcili dawni ateńczycy. Dla tych ojczyzna była rzeczą trzykroć świętą, patrzcie, czem ona jest w pewnej komedyi owej epoki: «Co to za brednie nam prawisz? —powiada Aleois. — I lyceum i akademie i odeon, to wszystko błazeństwa sofistyczne jednego tynfa nie warte. Pijmy do dna mój Sykonie, pijmy i weselmy się, pokąd jest za co! Niech żyje burda, Manesie! Nic milszego nad brzuch! Brzuch to twój ojciec — brzuch to twoja matka! Śmierć cię zabierze w dniu przez bogi naznaczonym i cóż ci zostanie? To jeno coś zjadł i wypił, nic nad to. Reszta jest prochem. Prochem jest Perykles, Kodrus, Cymon!... Jak te słowa, godne pijanego satyra dobrze odpowiadały społeczeństwu, które zdawało się chcieć zapomnieć wśród zabaw i rozrywek o swoim blizkim końcu»... [1]).

Niedługo jednak i nauki kwitnęły w Grecyi właściwej, bo i one poszły w ślady poezyi i wyniosły się z nią razem do Aleksandryi, na dwór Ptolomeuszów, gdzie zabłysły ostatnie płomyki greckiego geniuszu. Były to jednak płomyki bez ognia, klejenie, często bardzo nawet poprawnych wierszy, bez poetycznego ducha i treści. Apoloniusz i Lykofron opiewają dawno minione dzieje Argonautów i Kassandry, ale ich poematy są słabem echem Homera, które też rychło zamilkło na zawsze. Archextrat pisze gastrologię,—poemat o pielęgnowaniu żołądka. Nikadez z Pergamu u-

---

1) V. Duruy, „Histoire des Grecs“, t. III chap. XXIX.

tworzył dwa poematy o trujących i antydotach. Zresztą zajmowano się pilnie czystością języka, układano gramatyki, troszczono się o gust i piękną formę.

Wiadomo że Rzymianie nie odznaczali się poetyckiemi zdolnościami, wszakże i u nich rozkwit poezyi wypada, zupełnie jak u Greków, w tej epoce, gdy ich naród doszedł do najwyższego stopnia rozwoju, a jednocześnie wiara rzucała ostatnie swe promienie. Ten proces, stale powtarzający się wśród narodów niechrześcijańskich, przypomina mi człowieka, który dzień cały pracował, zarabiał i pod koniec dnia przy zachodzącem słońcu, był najbogatszym. Lecz wkrótce nastały ciemności i wszystko się skończyło — na zawsze. Trzeba bowiem o tem pamiętać, że u pogan po wypaleniu się pierwotnego zapasu prawdy i dobra, nastaje noc bez dnia następnego; u chrześcijan bywają zaćmienia i noce, ale po nich wstaje znowu słońce, po dniach upadku, epoka odrodzenia. Otóż u Rzymian epoką największego rozkwitu ich bladej poezyi, były czasy Augusta—świecili wtenczas Wirgiliusz, Horacy, Owidyusz. Potem nastaje czas tyranii w polityce, rozpasania w moralności, niedowiarstwa w religii, nie słyszymy też w następnych czasach innych głosów prócz satyryków, więc błyszczą Juvenalis, Petroniusz, (*libri satyrycon*) Lucyan, Apuleus (Osieł złoty) i Valerius Martialis. Na niwie epopei widzimy tylko nudne, sztuczne i niedokończone poematy, jak: «Pharsalia» Lucana albo «Argonautica» Flacca. Ostatnim odbłyskiem rzymskiej pogańskiej poezyi był Claudius Claudianus — pisał sielanki, epigramaty, obelżywe poezye i zostawił niedokończony poemat o starej baśni—*de raptu Proserpinae* (o porwaniu Prozerpiny). Opuśćmy jednak dawne dzieje, a przenieśmy się do bliższych nas czasów

do epoki «wielkiego» Ludwika, kiedy to we Francyi powstał klasycyzm, który, jak wiemy, następnie do nas przesadzonym został. W ocenie ówczesnego stanu francuzkiego społeczeństwa nie różnią się ludzie z różnych obozów i wszyscy zgadzają siò na to, że był on nadzwyczajnie smutny; lud żył w ciemnocie, a klasa oświecona, zepsuta i rozpustna, krążyła około, «Króla słońca» i dworowała mu. To też, jak twierdzi bezwyznaniowy Scherr, «nigdy nie upokorzyła się tak haniebnie poezya płaskiem pochlebstwem wobec bezwstydnego despotyzmu, jak w epoce Ludwika XIV i XV. Stargały się wszelkie ogniwa związku między literaturą a narodem; pierwsza wykwitła w roślinę egzotyczną niezręcznie wkopaną w głebę klacycyzmu, czerpiącą soki z gnojowiska rozpusty dworskiej. Poeci nie pisali dla ludu, ale dla szczupłego kółka wersalskiego... Poezya stała się rzeczą rozumu, trzeźwości i oschłość jej brano fałszywie za szlachetną prostotę greków, błędnie i bezdusznie zrozumianym prawidłom sztuki starożytnej (Horacego) zaprzedano się w służalczą niewolę...» etc. etc.

Smutny, może raczej sztuczny stan literatury, a tembardziej poezyi we Francyi Ludwików XIV i XV był tak widocznym, że nawet najpłytszy z historyków, Scherr, nie mógł jej nie zauważyć i nie zaznaczyć, więc też to uczynił, tylko że ze zwykłą swą powierzchownością przypisuje wszystko złe absolutyzmowi królewskiemu. Wierzący nasz i rozumny Kremer daleko głębiej rzeczy pojmuje, więc też przytoczę obszerniejszy ustęp, z listu jego, w którym mówi o zajmującym nas przedmiocie. Stwierdza on tedy najpierwej fakt powtarzający się zawsze, że «gdy na świecie pusto i głucho, gdy umysł wyludniony z myśli i uczuć,

gdy czczość ciemna spada na serca, wtedy najczęściej rodzą się reguły, ustawy i prawidła pisane», bo «sekcya ciała następuje po śmierci»... «Gdy Pindar, Eschylos, Sofokles i Arystophanes, i wszystkie owe gwiazdy poezyi greckiej, schodziły z nieba Hellady, a noc zapaść miała nad Grecyą, Arystoteles potężną myślą spuścił się do głębin tych skarbów, dobywając z nich jakby lite złoto, ustawy dla potomnych wieszczów». Toż samo później Horacyusz zrobił dla poezyi rzymskiej, a Witruwiusz dla architektury. Podobnie dzieje się kilkanaście wieków później we Francyi, gdzie od Franciszka I zaczyna dworactwo w poezyi panować. Już Klemens Marot, jakkolwiek romansowy poeta, nie był romantykiem, lecz czystym klasykiem «bo lubo świetnym i lekkim motylem oblatywał poezyi kwiaty i damy dworu króla swego, jednak skrzydełka jego lśniły klejnotami i złotem wieszczów greckich i rzymskich... Literatura traciła zwolna rodzinne życie swoje, chwytając obce, od kilkunastu wieków zamarłe wzory i uroniła resztki własnego ducha, co w niej tętniał i żył. W braku treści swojskiej wszystko przetworzyło się na formę, a dlatego ustawy i prawidła tem potrzebniejsze się stały».

Wtenczas to wystąpił Boileau ze swojemi przepisami i regułami; «myśli jego od stóp do głów utrefione chodzą jakby w sznurówkach. Sztuka się wynarodowiła i zwiędła, bo odcięta od soków własnej ziemi, obojętniała coraz więcej na treść, stała się formą, łupiną. Poezya dramatyczna przemieniła się w sztukę retoryczną» [1]).

To wszystko prawda, dlaczego jednak poezya francuzka wynarodowiła się i zwiędła, odcięta od so-

---

[1]) „Listy z Krakowa“, t. I, l. III.

ków własnej ziemi? Dlatego, jak mi się zdaje, że ówcześni poeci wraz z całą klasą oświeconą, oddychali atmosferą duchową zepsutą — dworactwo, rozwięzłość, zbytki i wszelkiego rodzaju grzeszne używanie zatarło w ich sercach miłość do prawdziwego duchowego piękna — do prawdy i cnoty; przestali kochać, a potem nawet widzieć i poznawać prawdziwe piękno istniejące dokoła nich na świecie. Utworzyli więc sobie jakieś oderwane prawie, jakieś ogólnoludzkie typy — suche, martwe, napuszone, a tak różne od rzeczywistych ludzi, że poeci bohaterów swych musieli przenosić do czasów i miejsc bardzo odległych, — do czasów greckich i rzymskich, do dalekiej Turcyi i jeszcze dalszych Chin. Uczucie prawdziwe zamarło, na scenę wystąpił rozum ze swoim dowcipem, satyrą, dobrym smakiem; ale rozum niedługo może zastępować serce. Poeci wkrótce tak się wyczerpali, że nie znajdowali przedmiotu do poezyi i jak powiada Mickiewicz, [1]) w ciągu całego XVIII wieku dawały się słyszeć ustawiczne skargi na brak przedmiotów do opiewania (*tout comme chez nous*).

Widzimy więc w owej dość długiej epoce dziejów literackich Francyi sprawdzenie postawionych w poprzedzającym rozdziale pewników; klasa oświecona, wydająca poetów, była w znacznej części, jeśli nie zupełnie bez wiary, to obojętną na nią, a w życiu grzeszną i zepsutą, więc mogła dać tylko poetyczną formę, która też wkrótce zupełnie zanikła. Z drugiej strony lud cały pogrążony w nędzy i ciemnocie nie był zdolny do oceny onej poetycznej łupiny — więc też poezya wyschła i wyparowała, jak woda wylana na piasek.

---

[1]) Göthe i Byron rozpr. akademicka.

Taka to poezya przeniesioną została nad Wisłę, gdzie znalazła bardzo podobne do francuzkich warunki. Nie mówię już o ludzie, ale cała oświecona klasa narodu spała w najlepsze i jeśli była wśród szlachty owoczesnej jaka poezya, to chyba tylko taka, jaką uprawiał brat wojewody Chomickiego w «Dwóch konwersacyach z przeszłości». [1]) Stanowiły ją rymowane koncepty, epigramaty, tłómaczenia z łacińskiego i nic więcej. W Warszawie król Stanisław August budził literaturę; ponieważ nie było nic własnego, więc zapożyczono się u Francyi i klasycyzm tamtejszy przeniesiono nad brzegi Wisły, gdzie grunt dla niego był doskonale przygotowany. Panował tu ten sam co i nad Sekwaną sceptycyzm religijny i takież samo zepsucie obyczajów, dworactwo tylko było mniejsze. Więc też, powiada Bartoszewicz, nastała epoka ogłady francuzkiej, okres powierzchowności, samolubstwa wyrachowanego, czczości serca, niewiary i wysokiego o sobie rozumienia .. Z suknią, z językiem przyszły nietylko wyobrażenia obce, ale i formy, rozwolnienie obyczajów posunęło się do najwyższego stopnia » [2]) Jaki był grunt, jakie z niego ciągnęła soki poezya, takie też i owoce wydała; widzimy więc w niej panowanie rozumu zamiast natchnienia. Książę poetów owoczesnych, biskup Warmiński, celował w satyrze i w krótkich ale misternie rzeźbionych bajkach. Do satyry też zaliczyć wypada «Monachomachię,» która się lśni i iskrzy złośliwym dowcipem, ale przedmiot jej nie był prawdziwym, ani poetycznym, ani nawet oryginalnym. Krasicki naśladował Boileau'a, chociaż bez żadnego porównania wyższym się nad swój pierwowzór okazał. Próba epopei, jak wiadomo, nie powiodła się i Wojna

---

[1]) Chodźki. [2]) „Historya liter. polskiej“ t. 2. str. 63.

Chocimska, równie jak Henryada, nigdy z Iliadą w parze iść nie będą.

Drugi po Krasickim poeta, Trębecki, wsławił się pięknym i czystym językiem, bynajmniej jednak nie oryginalnem natchnieniem. I właśnie troskliwość o piękny język, o udoskonalenie formy, stanowi coraz widoczniejszą cechę owej epoki, która jak każda epoka upadku, nie mogąc zdobyć się na nic własnego, a przynajmniej na nic wielkiego, zajmowała się rzeczą najłatwiejszą w poezyi i wszędzie zresztą t. j. formą. Powstał więc w Warszawie oboz klasyków, nad którym powiewała chorągiew dobrego gustu. Jak turcy Koran, tak oni narzucali swój kodeks gustu, którego cała estetyczna tajemnica zasadzała się na tem, żeby nic takiego nie powiedzieć, coby się nie znalazło w pisarzach podanych za wzór dobrego smaku. Ktokolwiek zdobył się na niezwykłe wyrażenie, lub ze śmielszą a mniej spowszedniałą myślą wystąpił, srodze bywał karcony przez arcykapłanów świątyni gustu, wprawdzie nie po pismach, lecz na koteryjnych zabraniach, gdzie niemiłosiernie przedrwiwano wykraczających przeciw kodeksowi» [1]). I gdybyż ci tak zarozumiali kapłani owej świątyni gustu, rzeczywiście co szczególnego wydali—tymczasem można do nich było zastosować przysłowie: *parturiunt montes, nascitur ridiculus mus.* Nie mogli się zdobyć na nic innego oprócz jakiejś ody, okolicznościowego wiersza – zresztą poezya klasyczna zeszła na tłómaczenia i niemi żyła. Siemieński, jak wiadomo, w «Obozie klasyków» za pomocą listów pomiędzy filarami klasycyzmu, pokazał wewnętrzne dzieje tego obozu z czasów wojny jego z romantykami. Trudno o coś bardziej ciekawego i pouczającego; jaka tam

[1]). L. Siemieński. „Obóz klasyków".

pycha, jaka pewność siebie, jaka nienawiść przeciwników, a jednocześnie jaka pustka, brak życia, brak nawet zrozumienia poezyi. Generał Morawski, sam jeszcze wówczas do klasyków należący, tak ich sposób tworzenia określa: «Nie dozwalając dążyć za natchnieniem, każą je zatrzymywać, a gdy przyjdzie jaki obraz lub gorące uczucie, poszukać pierwej po starych autorach, czy tak w nich było, a dobrze ostygnąwszy, rozsądnie dopiero maszerować naprzód. Tak nie jeden klasyk czyni:

Zawsze się wprzódy w swojej zapytuje pracy
Czy tak myślał Boalo? czy tak czuł Horacy?
I tak zawsze swą podróż kończy bezskutecznie.
Bo cóż taki ujedzie, co się wraca wiecznie? [1]).

to też litość bierze, gdy się czyta, jak największe dzieło klasycznego obozu «Ziemiaństwo» Koźmiana, odlewanem było z szybkością sześćdziesięciu wierszy w ciągu roku, jak nawet tłómaczenia francuzkich tragedyi gładzone i opracowywane bywały w ciągu lat kilku. Tak więc klasycyzm polski, równie jak i francuski, będąc wytworem pokoleń bez wiary i bez moralności, nosił w sobie zarodek śmierci, nic prawdziwie wielkiego nie wydał i także ulotnił się i wyparował jak woda rozlana.

Pierwej jednak nim się to stało, klasycyzm stoczył głośną w literaturze wojnę z romantyzmem. Kierunek romantyczny zajął w naszej poezyi tak poczesne miejsce, że każdy historyk literatury musi o nim mówić, to też mówią wszyscy; lecz co mnie uderzyło, to że prawie nikt natury jego i przyczyny nie tłómaczy, albo też tłómaczy nieprawdziwie. Tak np. sam Mickie-

---

[1]) Obóz klasyków.

wicz, lubo wódz romantycznego obozu, w rozprawie swej «O poezyi romantycznej», zdaje się nie pojmować dobrze ani jej natury, ani powodów powstania, i na ogół, cały dziejowy rozwój poezyi czyni zależnym wyłącznie od warunków zewnętrznych, które bezwątpienia znaczą wiele, ale nie wszystko. Nie można się temu bardzo dziwić, skoro przypomnimy sobie, że Mickiewicz miał wówczas, gdy pisał tę rozprawę, zaledwo 24 lata, więc za mało czasu do erudycyi, i że nieraz bywa, iż nawet pierwszorzędni działacze, w czasie walk swoich, nie rozumieją dobrze natury tych pojęć czy uczuć, które ich do czynu popchnęły. Refleksya najczęściej przychodzi po wszystkiem, jak «sekcya ciała następuje po śmierci», a ogólne pojęcie o przebieżonej drodze—gdy się ją widzi z wysokiego wierzchołka. Julian Bartoszewicz w «Historyi literatury» poprostu zaznacza fakt powstania romantyzmu, nie tłómacząc go wcale, podobnie czyni Dubiecki, dodawszy tu i ówdzie kilka dosyć ogólnikowych frazesów. Profesor Tretiak znowu utrzymuje «że przyczyną, która wywołała tak nagły zwrot (romantyczny) w naszej poezyi i taką rozmaitość prądów, było zaznajomienie się z nowszą literaturą niemiecką i angielską, które dotychczas dla pisarzy naszych były ziemią nieznaną» [1]).

Tłomaczenie to z niejednego względu wydaje mi się mylnem. Najpierwej więc, dlatego żeby ziarno wyrosło i plon przyniosło, trzeba, żeby upadło na przygotowaną ziemię; jeśli takiej nie znajdzie, zmarnieje—i ogień zagaśnie, jeśli dokoła siebie nie znajdzie nic do zapalenia. Utwory niemieckich i angielskich wielkich poetów były i klasykom już znane, ale grunt nie był

[1]) „Szkice literackie". O głównych kierunkach poezyi polskiej w XIX wieku.

przygotowany, ziemia nie rozmarzła i dlatego nic nie bujało, nic się nie przyjmowało, i tylko podług Siemieńskiego, wielki chorąży klasycyzmu Ludwik Osiński, nie wdając się «w żadne rozbiory, ani w sądy o duchu i dążności nowej szkoły, dowcipnymi sarkazmami odprawiał tak Szekspira, Schillera, Byrona i wszystkie literatury obcych narodów, jak świeżo jawiące się płody litewskiego wieszcza». Kiedy grunt dla romantycznego posiewu został przygotowany, byli czytywani zagraniczni współcześni poeci i powszechnie wiadomo, że ogromny wywierali wpływ na poetów naszych; przygotowanie to jednak było dziełem innych okoliczności, a nawet wiadomo zkądinąd, że pierwszą iskrą rzuconą na proch, był wiersz rosyjski—prawda, że tłomaczony z niemieckiego. Najprawdziwiej, zdaniem mojem, zrozumiał i wytłomaczył naturę romantyzmu Ignacy Chodźko w «Dwóch konwersacyach z przeszłości», ale też pisząc już u schyłku tego wielkiego literackiego ruchu (w 1856 r.) mógł lepiej go poznać i zrozumieć. O nim jednak później nieco.

W drugiej połowie XVIII wieku zaczęły w zachodniej Europie podnosić się i wypływać na wierzch nowe warstwy społeczne, albo może tylko pewne z nich jednostki, które wychowane zdala od uprzedzeń i pojęć klas uprzywilejowanych, owszem wrogie im i nieprzyjazne, głosiły nowe zasady, bardzo często nieprzyjazne zasadom wyznawanym przez szlachtę, a przynajmniej uznawanym za podstawę jej wyłączności. Wiadomo, że te nowe idee były nieraz niechrześcijańskie, a więc fałszywe, wiadomo, że zastosowanie ich w praktyce, wywołało klęski przerażające, przewroty, których dotąd skutki czujemy, nie można jednak zaprzeczyć, że była w nich nieraz i prawda i dobro, które, od da-

wna tkwiąc w nauce Chrystusowej, tak jednak były w praktyce zapomniane, że podawano je jako coś nowego i dotąd niesłyszanego, niewidzianego; ta odrobina prawdy i dobra była płaszczem, którym się fałsz i grzech zakrywał; jak to zresztą było i będzie zawsze, bo bez tego nigdyby one miru wśród ludzi nie znalazły. Otóż wśród dobrych rzeczy, głoszonych przez nowatorów, był bezwątpienia zwrot ku naturze i naturalności, zerwanie z przestarzałym i ckliwym konwencyonalizmem. Dał się on uczuć i w literaturze, zwłaszcza wśród niemców, gdzie wyższe a zdrowe umysły rozpoczęły zwrot ku prawdzie natury; na czele ich stali Goethe i Schiller. Chociaż obaj oni byli poganami co do zasad swoich, jednak zwróciwszy się do ludu niemieckiego, któryby w protestantyzmie nawet pozostał bądź co bądź chrześcijańskim, znaleźli liczne skarby dobrych zasad, poczciwych uczuć, chwalebnych czynów, które utworom ich dały to, czego brakowało klasykom—życie i prawdziwość, wynagradzając liczne zresztą błędy i usterki [1]). Ruch ten przygotował się powoli i u nas, a zmuszały do tego same wypadki; więc najpierwej, kiedy, po upadku Rzeczypospolitej, Król Poniatowski pojechał do Petersburga, zniknął środek ciężkości dawnego literackiego koła, którego resztki zawiązały się potem w «Towarzystwo przyjaciół nauk», kontynując tradycye Stanisławowskie i dając początek obozowi klasyków, opisanemu przez Siemieńskiego. Działalność jego, jak wiemy, nie była, ani

[1]) Wśród naszych literatów trwa dotąd bezwarunkowa bodaj cześć dla Goethego, równie jak wśród niemców— dobrzeby jednak było, gbyby zechcieli się zapoznać z obszernem o tym poecie dziełem znanego (niestety nie u nas) estetyka i literata, księdza (bodaj nawet Jezuity) Baumgartena.

zbyt płodną, ani daleko sięgającą; ograniczała się do Warszawy i do znajomych na prowincyi. Reszta społeczeństwa zaczęła sama radzić swoim literackim i duchowym potrzebom; wypadki polityczne i głębokie wstrząśnienia tamtej epoki wywoływały uczucia nic wspólnego nie mające z «Antygoną» albo «Listem do Pizonów», więc też znajdowały one wyrazy gdzieindziej, jużto w pieśniach nieuczonych, prostych, jak ta, którą trąby legionistów wygrały na ziemi Auzonów, jużto w poezyach Godebskiego, Tymowskiego, Jasińskiego Jakóba, po części także Antoniego Góreckiego, już zresztą w prelekcyach i w «Wiesławie» Brodzińskiego.

Tymczasem w nowych zupełnie warunkach dojrzewało młode pokolenie; do oświaty rzuciły się całe masy młodzieży ze szlachty wiejskiej, prowincyonalnej, nic nie mającej wspólnego ze światem stanisławowsko-klasycznym. Szlachta prowincyonalna, tembardziej drobna zaściankowa, pomimo licznych z tradycyą odziedziczonych wad swoich, była szczerze wierzącą i moralną, brakowało jej wykształcenia, które teraz przy lepszem urządzeniu szkół, przy większem rozszerzeniu nauki stało się jej udziałem. Coraz szersze koła ludzi niezużytych, naturalnych, mających cześć i miłość dla cnoty i prawdy wstępowało na arenę życia, więc coraz więcej znajdowało się zdolnych do odczucia prawdziwej poezyi i do tworzenia jej, o ile dar poetycki z natury otrzymali. Dodać tu potrzeba, że nietylko do świątyni nauki garnęły się tłumy młodzieży wierzącej i moralnej, ale też w tych szkołach nauczanie było religijne i w znacznej części przez zakonników prowadzone, jak np. w Humaniu, w Dąbrówce, w Borunach, Nowogródku i t. d. Zakonnicy tak dowcipnie, a tak

niesłusznie wydrwiwani przez biskupa Warmińskiego, książęcia poetów klasycznych, zemścili się prawdziwie po chrześcijańsku, uprawiając rolę pod najbujniejszy zasiew naszej poezyi. To też ich uczniowie zupełnie inaczej o nich wspominają niżby z Monachomachii wnosić należało. Któż nie pamięta np. jak o nich mówi uczeń ostatniej już ich doby:

Gdy ludzkość boląca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz, a co prawda, co szpetne, co piękne?
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać, a przed czem uklęknę?
Bodaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłeś w przyszłość promienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą.

W takiej atmosferze ciepłej, bo ogrzanej wiarą i cnotą chrześcijańską, w Wilnie, wśród «promienistych, filaretów i filomatów» poczynają kiełkować pierwiosnki poezyi romantycznej w nieuczonych i bez pretensyi tworzonych piosnkach i jambach Zana i jego kolegów. Wspomnienia i pisma uczestników pozwalają nam asystować przy tym sympatycznym ruchu i sprawdzać że składały się nań poetyckie zdolności otrzymane od Boga, nauka czerpana u dobrych profesorów, wiara i cnota odziedziczone po ojcach, wzmocnione i rozwinięte przez nauczycieli duchownych, a podtrzymywane w uniwersytecie przez zacne i poczciwe obcowanie koleżeńskie.

Taką genezę poezyi romantycznej, o ile pamiętam, zrozumiał i podał tylko Ignacy Chodźko w „Dwóch konwersacyach z przeszłości". Znał on ten zwrot literacki doskonale, bo jego *pars magna fuit*, a pisząc pod koniec prawie romantycznej epoki (1856) mógł łatwiej ocenić przyczyny i naturę jego. Pozwolę sobie

przytoczyć zeznanie tak ważnego świadka. Otóż najpierwej trzeba zanotować słowa przemawiającego w drugiej konwersacyi Edwarda (Odyńca) który, jakby przeczuwając świeże zdanie prof. Tretiaka, stanowczo mu przeczy. „Myśl ta (nie sądziłem, aby w potocznych szczegółach rzeczywistości mogło być tyle skarbów poezyi) utkwiła w jego (Mickiewicza) duszy i pojęcie o prawdzie w poezyi, albo raczej o poezyi w prawdzie z potoczonego w duchowe życie przeniosła. Zasada więc ta wyrodziła się wprzód w myślach i sercach naszych, niżeli oznajamiać się i zgłębiać zaczęliśmy poezyę niemiecką i angielską, w których właśnie tenże sam pierwiastek znajdował się; a wyrodziła się, jak widzisz, nie ze szkoły, nie z książek, nie z prostego naśladowania niemców lub anglików, ale z życia, z prawdy, z miłości, czyli jednem słowem z natchnienia, które przez jednego za łaską Bożą na nas wszystkich spłynęło". Nieco dalej Julian (Korsak) wspomniawszy, że klasycyzm z Teogonii pogańskiej zrobił swą wiarę poetyczną i wzywał cudzych bogów w których nie wierzył, powiada: „Natchnienie, mój panie, prawdziwe natchnienie, przychodzi jedynie z tego, w co się prawdziwie wierzy i ufa, z czem duszą naszą zjednoczeni jesteśmy, co nas w głębię nieskończoności unosi lub w sercach naszych tkliwym głosem głębokiego także wzruszenia się odzywa. Te wszystkie źródła prawdziwej poezyi — rzekł znowu Edward — objawia nam i ofiaruje religia. Gdzie niema religii, tam niema i poezyi, która jest razem i darem i najszczytniejszym wyrazem religii...(1). Wiek

(1) Poecie można darować to bardzo wątpliwej prawdziwości powiedzenie.

XVIII zatem wyzuty z jednej, nie mógł mieć i drugiej. Poezya jego, to jest klasycyzm, nie miała duszy, a zatem nie miała i prawdy! Będzie ona obrazem wieku, nigdy obrazem ludzkości. Dziś poezya we wszystkich ludach chrześcijańskich musi się stać religijną, a zatem będzie narodową, bo religia jest narodowością powszechną. Będzie popularną, bo się złączy ze wszelkiemi uczuciami i podaniami ludów, a pierwiastek religijny zawsze i wszędzie w tych podaniach ukryty, i wdziękiem i słodyczą rozwinie!" (jak rzeczywiście się stało w Niemczech i Anglii pierwej niż u nas).

Rozpoczęła się tedy u nas epoka poezyi zdrowej, pięknej, rzeczywistej, a była ona taką, bo wypłynęła z miłości prawdy, cnoty i nauki. Pierwsze z nich sprawiła, że poeci nasi ówcześni zerwali z tradycyą klasyczną, która wytworzyła sobie była jakiegoś abstrakcyjnego człowieka i pokazywała go społeczeństwu, które go nie rozumiało i było dlań obojętnem. Trzeba bowiem pamiętać, że w rzeczywistości niema na ziemi *człowieka* — jest hiszpan, włoch, polak—był assyryjczyk, żyd, egipcyanin — każdy z nich jużci był człowiekiem, ale każdy był synem pewnego społeczeństwa, czasu, kraju, słowem miał swoją indywidualność. Sztuka t. z. klasyczna zerwawszy z rzeczywistością, stworzywszy sobie świat sztuczny, wyrobiła i człowieka sztucznego, oderwanego. Było w nim jużci to, coby ogólnoludzkiem nazwać można, ale nie było prawdy indywidualnej. Ztąd wyrodziła się suchość, brak życia, konwencyonalizm, martwota — i to nietylko w poezyi. Postacie np. z obrazów Dawida są dla mnie tak samo martwe i nudne jak wszystkie osoby z ówczesnych dramatów i tragedyj — pompaty-

czne a sztywne. Wprawdzie dużo się pisało o grekach, rzymianiach, chińczykach i turkach, ale tak oni byli podobni do rzeczywistych przedstawicieli owych narodów, jak turcy i chińczycy z maskarady. Jak tu, zawój i krzywa szabla, każe wierzyć, że noszący je jest turkiem, jak długi warkocz i jedwabny kaftan oznacza chińczyka, tak ludzie z klasycznej poezyi nosili tylko nazwę i trochę stroju danego narodu, znajomość zaś rzeczywistą zastępowano szumnymi frazesami opartymi na jakichś bardziej znanych faktach. Romantyzm zerwał z tą tradycyą, a wrócił się do rzeczywistości istniejącego ludu, a zatem i do rzeczywistego *człowieka*. Wagę i znaczenie ścisłego związku i obcowanie poety z ludem swoim, rozumiał doskonale Mickiewicz, kiedy podnosił znaczenie ludowej poezyi, co tak pięknie wyraził w znanej apostrofie:

O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Klasycy tego nie rozumieli i oburzali się niesłychanie na naturalne skutki takiego zbliżenia. Z listów ich, przytaczanych przez Siemieńskiego widzimy, że gniewali się szczególnie na romantyków za to: iż otwarcie i bez ceremonii śpiewali o sobie i o tem co się w ich duszy działo, tudzież za ballady, z ich strachami, dyabłami, rycerzami i t. p. Tymczasem i jedno i drugie było koniecznem następstwem — prawdy. Dlaczegoby człowiek nie miał — zachowawszy wszelką miarę, mówić o sobie i dziejach swej duszy, skoro każdy posiada swoje, każdy czuje, cierpi, kocha lub nienawidzi, spodziewa się i rozpacza? Z pewnością, że poetycznie opowiedziane dzieje takiego ja, nam współ-

czesnego i podobnego do nas, więcej nas obejdą i i pociągną, niż napuszone monologi z Fedry, Atalii i t p. Romantycy to zrozumieli i dzięki temu posiadamy takie perły z dziejów ludzkiego serca, które na wieki istnieć będą. Ballady znowu były odbiciem podań historycznych, przerobionych przez ludową fantazyę, albo dogmatów wiary tak samo przez nią po swojemu pojętych, zastosowanych — nieraz zepsutych, ale bądź co zdź, niezmiernie ciekawych i zajmujących. I dziwna rzecz, że klasycy, mający ciągle do czynienia z dyabłami nazywającymi się: Jowisz, Neptun, Merkury, Wenera, opiewający ich łotrowskie lub błazeńskie sprawki, jako coś wielkiego, pięknego i dobrego, gorszyli się ze szlacheckiego Boruty lub chłopskiego „miemca", co w błocie pod mostem siedział i z nudów pijanym chłopom różne figle płatał. Dyabeł w każdym razie jest istotą od której trzeba być jak najdalej, ale ostatecznie lepszy jest dyabeł w błocie—najwłaściwszym dla siebie elemencie na ziemi, —niż opiewany jako bóg, z całym przyborem potęgi i piękności sztucznej.

Nietylko jednak własny lud romantycy poznawali i opiewali jak przystało na umysły wyższe a serca szlachetne; rozszerzyli oni swą pieśń po całej ludzkości, o ile ją poznać mogli. I tutaj znowu klasycy, którzy całe życie wśród dawno minionych greków i rzymian obcowali, obruszyli się na cudzoziemszczyznę sonetów krymskich, a bodaj także i na dawnych litwinów. Pomimo gniewu i swarów piękno i prawda zwyciężyły i chociaż wiek XVIII ciągle narzekał na zupełne wyczerpanie treści, chociaż klasycy nasi, chcąc stworzyć oryginalne dzieło, pracowali jak Szambelan w „Panu Jowialskim" nad przysłowiem z

grubych i cienkich prętów — i trzeba dodać, z równym skutkiem — to jednak w poezyi romantycznej treści znalazła się taka obfitość, że porachować nawet trudno te wszystkie piękne kwiaty, które wyrosły i wybujały między skromnym śpiewem Mickiewicza o pierwiosnku i „Zgonem słowika“ Syrokomli.

Mówiąc o najpiękniejszej dobie poezyi naszej, wypada mi koniecznie wspomnieć o dwóch czynionych jej zarzutach dlatego, że zdają się one zaprzeczać, a po części obalać mój sposób pojmowania romantyzmu Można więc najpierwej zarzucić, że chociaż powstał on z prawdy, dobra, wiary, chociaż opiera się na ludzie, jednak przekwitł i zwyrodniał tak dalece, że stał się prawie synonimem rozmarzenia, ekscentryczności i dziwactwa, zerwania z warunkami rzeczywistymi bytu; że nawet sprzeniewierzył się pięknej formie, dbając jakoby tylko o myśl. Odpowiem na to, że ludzie mają dziwną skłonność do popularyzowania tego co zepsute i podciągania do tej kategoryi tego, co było pierwowzorem, a co właśnie skarykaturowanem zostało. Zapomina się o pierwowzorze i podaje się go za jedno z karykaturą. Tak np. renesans jest bez żadnego porównania mniej znanym i rozpowszechnionym niż rokoko — krzykliwy, wykrygowany, który na każdym kroku spotkać można jako reprezentanta epoki renesansowej. Teologia scholastyczna, będąca prawdziwem arcydziełem myśli ludzkiej znaną jest szerokiemu ogółowi tylko jako zbiór suchych i bezcelowych łamigłówek, bo taką się stała w epoce upadku swego. Nasi *uczeni* znają scholastykę tylko z anegdot o owym teologu, który się zastanawiał ile duchów tańczyć może na końcu igły, i o drugim, który dochodził ile ważyły sandały i włócznię

Goliata. Podobny los spotykał już nieraz okres romantyczny; wybryki czy nieuctwo pseudo-romantyków coraz częściej uchodzą za przymioty romantyzmu w oczach ludzi nie umiejących już ducha jego zrozumieć. Romantyzm nasz przekwitł, jak wszystko na świecie, jak przekwita kwiat gdy mija wiosna a nadchodzi lato. Pokolenie które wydało romantyków, miało już zupełnie innych następców, jak o tem zaraz powiemy Nowi poeci nie przybywali, a jeśli przybywali, to duch ich i pojęcia były już inne niż dawniejszych — swoją drogą każdy bez wyjątku kierunek ma swoich, że tak powiem, złych geniuszów. Umysły ciasne albo jednostronne, charaktery nieprawidłowe, wybujałe, pochwycą zwykle jakąś stronę i tę przesadzają, nie rozumiejąc dobrze istoty rzeczy, i pozostaną na powierzchni — a niema już gorszych i szkodliwszych przyjaciół, jak bardzo gorliwi, powierzchowni i gadatliwi. Romantyzm miał takich zwolenników i oni może najwięcej przyczynili się do nadania mu w oczach niektórych ludzi cechy rozczochranego marzycielstwa.

Ważniejszym bez porównania jest zarzut czyniony romantycznej poezyi, że przyczyniła się do zwyrodnienia naszego społeczeństwa, że je uczyniła marzycielskiem, niepraktycznem, że je nawet pchnęła na drogi awanturnicze i samobójcze. Już na początku obecnej literackiej epoki, po 1870 r. ktoś dowodził tego, potem zdarzało się taką opinię częściej może słyszeć niż czytać, w ostatnich czasach powtórzył ją p. Z. L. S., który w artykule drukowanym w „Kraju“ p. t. „Przed burzą“ ze szczególną niechęcią, nienawiścią prawie, mówi o romantycznej poezyi, na nią zwalając odpowiedzialność za wszystko złe, które później się stało. Podług niego „rymotwórcy stawali się

kierownikami nawy narodowej“, a smutni to byli kierownicy, bo umieli tylko bujać w chmurach, w mistycznych ekstazach i płakać gdzieś nad Lemanem lub Tybrem. Więc też wyrosło pokolenie „rozmiękczone na romantycznych tworach chorej z gruntu poezyi polskiej“.

Oskarżenia ciężkie, ale płytkie i nieprawdziwe. Bo najpierw, czy poezya jakakolwiek może mieć i czy kiedykolwiek miała tak wielki wpływ na całe społeczeństwo, żeby je popchnęła do czynów stanowiących o życiu lub śmierci, żeby je pchnęła w danym kierunku? Mnie się zdaje, że tego nigdy nie było, bo poezya ze swej natury za mało do takiej pracy ma siły. Poezya usnuwając urokiem piękna i dobra wszystko z czem zroślimy się, działa na nas jak ciepło słońca, jak błękit nieba, urok pięknej okolicy, słodycz domowego ogniska. Wszystko to człowieka krzepi, podnosi, przywiązuje do siebie, ale chyba wyjątkowo do jakichś gwałtownych a nierozważnych popchnąć może czynów—w czem oczywiście nie jej chyba wina. Poezya ubiera w piękne szaty uczucia i wyobrażenia współczesnych, i tyle w niej jest siły, ile jej mają owe właśnie uczucia lub przekonania. Gdy one zgasną — poezya, ich wyobraziciela, może być podziwianą dla swej formy, ale wpływ jej żaden. Powiadają że Tyrteusz zagrzał Spartańczyków do zwycięztwa, można jednak być pewnym, że gdyby pieśń jego powtarzano współczesnym Grekom pod Laryssą, nie wstrzymałaby ich ani na chwilę w odwrocie, w niczem do Ksenofontowego niepodobnym. Tak samo pieśni kobziarzy, zachęcających niegdyś szkockich High-landerów do walk z anglikami, nie wywołałyby dzisiaj skutku żadnego, bo zmieniły się uczucia i pojęcia. Mogą więc

w poezyi być fałszywe zasady społeczne, ale z pewnością nie ona je tworzy, nie ona za ich pomocą działa na ludzi, lecz przeciwnie, z pomiędzy ludzi wpłynęły one do poezyi, i jeśli ta ma jakiś wpływ w tym kierunku, to dlatego, że mają go owe wyobrażenia.

Nasi współcześni poeci lubią się powoływać na Tyrteusza i ciągle przypominają sobie „tytaniczną pieśń Tyrteuszową“, marząc o czemś podobnem, ale mojem zdaniem wcale niesłusznie. Bo choćby udało się raz albo i drugi poezyi wpłynąć na jakie zwycięztwo, to jeszcze niczego nie dowodzi. Rzym także został w szczególny sposób od najścia Gallów uratowany (*honny soit qui mal y pense*), ale z tego jeszcze nie można zbyt daleko idących wyprowadzać wniosków. Pieśni Tyrteusza podobno do nas nie doszły, ale czytałem gdzieś, że ów pieśniarz drwił bez miłosierdzia ze Spartańczyków, obudził ich miłość własną i podniecił do zażartej walki. To samo w starożytności zdarzało się bardzo często — prozą; podobnie dzieje się, a przynajmniej do niedawna działo się wśród czerwonoskórych. Nie poezya tu działa sama przez się, lecz uczucia i zasady. Zresztą, kiedy już mowa o Tyrteuszu, nie zawadzi dodać, że poeci nie powinni tak bardzo do niego się przyznawać, bo nic dobrego nie zrobił; pomógł Spartańczykom zgnębić Messańczyków, których jedną winą było — że mieli kraj żyzniejszy, a mniej wprawy wojennej od swych sąsiadów.

W poezyi naszej romantycznej były bezwątpienia zasady przestarzałe, czasem nawet szkodliwe, ale było ich niewiele, i dlatego właśnie w niej były, że społeczeństwo je wyznawało. Tak np. Krasiński i Pol

idealizują i wynoszą szlachtę, ale nie oni kult jej stworzyli, bo istniał już od kilku wieków. W poezyi romantycznej, szczególnie u Krasińskiego spotykają się dosyć często echa mesyanizmu, teoryi fałszywej i szkodliwej, ale wiadomo, że wytworzył ją kto inny, a propagowała nie poezya, tylko nieznajomość i niezrozumienie przeszłości własnej. Czegoż to tak szkodliwego uczyła poezya ówczesna? Wierzyła w Boga dobrego i sprawiedliwego, uczyła kochać bliźniego, opisywała i opiewała piękności swej ziemi. P. Z. L. S. zdaje się żartować „z płaczu nad Lemanem lub Tybrem", daj Boże żeby nigdy nie płakał, ale ostatecznie kiedy smutno, trudno być wesołym.

Być może, że było trochę zawiele rozrzewniania się, ale proszę z niem porównać sentymentalizm poprzedzającej epoki i desperacyę naszych współczesnych rymotwórców. Otworzysz jedną książkę ich „poezyj"—sama rozpacz, drugą—upiory, trzecią — bunt i wojna z Panem Bogiem, w czwartej — strzaskane serce, w piątej—straszna wiara, ani strzępka nadziei, miłości zaś ani na lekarstwo, — same żmije, jad i przekleństwo, łez oczywiście i wybuchów, i wulkanów, i przeróżnych ingredyencyi żrących, palących i rozsadzających wszędzie, jak powiadają aptekarze, *quantum satis*, a jednak te wszystkie czułe i okropne rzeczy nie szkodzą nikomu, a najmniej może samym autorom. Pokolenie inne, pojęcia inne, uczucia inne.

Jeśli pokolenie romantyczne było marzycielskiem i niezdarnem, to nie poezya była winną, lecz zupełnie co innego. Przeciwnicy romantyzmu w rodzaju p. Z. L. S., ze szczególnym naciskiem biją na to, że poezya powtarzając ciągle narodowi o dobroci i sprawiedliwości Bożej, odzwyczaiła ludzi od pracy, samo-

dzielności, trzeźwości, a przyzwyczaiła do rachowania nie na siebie, lecz na kogoś, gdzieś, kiedyś, coś, jak Pławicki w „Rodzinie Połanieckich“. Zarzut to conajmniej dziwny i osobliwy. Pan Bóg rzeczywiście jest miłosiernym i sprawiedliwym, nigdy tego dosyć powtarzać nie można, jeśli jednak kto źle sobie tę prawdę wytłómaczy, to nie prawda temu winna. Każdy zresztą dogmat i każdą prawdę można tak samo wypaczyć. Dogmatem np. jest, że Chrystus Pan Śmiercią i Męką Swoją zapłacił za grzechy nasze i Niebo nam wysłużył; Luter wyprowadził stąd wniosek, że dobre uczynki są niepotrzebne, że owszem kto sam chce pracować na zbawienie przez dobre uczynki, grzeszy pychą i obraża Pana Boga. Wynikiem tak zrozumianego dzieła Odkupienia, była sławna protestancka zasada: grzesz mocno, ale wierz mocniej.

Chrześcijanie również jak i mahometanie wierzą w Opatrzność, ale kiedy u pierwszych wszystkie władze ludzkie zużyte w ciągłej pracy i wcale wchodzą w zakres środków przez Opatrzność używanych dla dobra i zbawienia człowieka, mahometanie wierzą, że Bóg działa bezpośrednio i wszystko powinien zrobić człowiekowi, który ma siedzieć ze złożonemi rękoma i używać.

Przyczyną, która pokolenie z drugiej ćwierci naszego wieku popchnęła na drogi samobójcze, bynajmniej nie było wychowanie na „z gruntu chorej poezyi polskiej“, bo poezya była z małymi wyjątkami zdrową, ale pokolenie było chore. Dobiegało ono z fatalną prawie koniecznością końca owej drogi błędnej, na którą przodkowie jego wstąpili przed trzema prawie wiekami — drogę wyłączności, przywileju, pochłonięcia wszystkiego przez jeden stan, scentralizo-

wania życia całego organizmu w jednym jego członku. Ówczesne pokolenie szlacheckie kierowało się umysłowo nie poezyą romantyczną, lecz wiekową tradycyą, wiekowemi pojęciami, które tak głęboko zagnieździły się w umysłach, że dotychczasowe klęski i doświadczenia nie zdołały ich były wykorzenić. Jestto rzeczą tak wiadomą, że doprawdy, dziwić się należy, jeśli kto winę fałszywego od wieków historycznego pochodu, zwala na powstałą zaledwie od dziesięciu czy dwudziestu lat poezyę.

Zresztą sam p. Z. L. S. przytacza fakty dowodzące że działania poezyi w praktyce trudno się było dopatrzeć, bo życie prawie całego ówczesnego pokolenia było właśnie wysoce niepoetyczne. „Pozostała w kraju młodzież powiada on, oddała się namiętnościom poniżającym i hulaszczości bez granic. Warszawa szumiała od uczt, od balów wydawanych dla ladacznic, od czwórek w lejce po krakowsku zaprzężonych, pędzących z trzaskiem i fantazyą po Alejach Ujazdowskich, od gier hazardowych w których pękały setki tysięcy złotych, często krwawo zapracowanych przez chłopa polskiego. Wytworzyła się cała klassa tak zwanej „złotej młodzieży“, która słynęła na bruku warszawskim ze swej hulaszczości, znaną była przez wszystkie modne i drogie traktyernie, handle win, dorożkarzy i kobiety publiczne... Urodzaje panujące prawie przez 10 lat zrzędu, zniesienie ceł zbożowych w Anglii, a ztąd popyt na pszenicę polską i żyto, wzmagający się dobrobyt w kraju, przyczyniał się także bardzo wiele do tej hulaszczności... Na prowincyi smutną sławę zjednały sobie jarmarki w Jędrzejowie, Skaryszewie, Łowiczu, Łęcznej, gdzie zjeżdżano się tłumnie, krocie tracąc i marnując“. Dodam,

że tak samo działo się wszędzie,—w Kijowie i Berdyczowie, a po pustych w znacznej części wówczas stepach Ukrainy z hałasem i wrzaskiem latały bryki „bałagułów“ którzy bodaj w kąt zapędzić mogli swoich kolegów z Łowicza i Skaryszewa. Jakim sposobem p. Z. L. S. w tej rozwydrzonej, hulaszczej, niemoralnej młodzieży mógł dopatrzeć pokolenie rozmiękczone przez „chorą z gruntu poezyę“ tego już nie wiem, a zatem i łaskawemu czytelnikowi wytłómaczyć nie potrafię.

Prawda, że poetów ówczesnych czytywano, że się nimi rozkoszowano, bo i jak było tego nie robić? W rzeczywistości jednak rósł rozdział między nimi a społeczeństwem. Młodzież była już inną, inaczej wychowaną i w niczem nie przypominała „miłośników cnoty“; owe skromne niegdyś, przestające na małem, religijne sfery szlacheckie, które nam dały idealnych romantyków, przyzwyczaiły się do używania, jak to robiły zamożniejsze, a lubo starsi nie używali tak głośno i hucznie jak młodzież, to jednak także do „filaretów“ podobnymi nie byli. Co się wówczas działo po dworach i dworkach, po miejskich zajazdach „jaskiniach i piekiełkach“! Moja młoda wówczas pamięć zatrzymała jednak mnóstwo arcysmutnych wspomnień, a wszystkie one stwierdzają że p. Z L. S. pomylił się: nie poezya lecz społeczeństwo było z gruntu chore. Było chore, bo się niczego nie nauczyło, bo pracować nie chciało, bo używało, hulało, szyło — przeciwko wierze wprawdzie rzadko powstawano otwarcie, ale jaka tam może być wiara, gdzie życie niemoralne? Nie troszczono się o nią i traktowano obojętnie. Prawda, że huragan który spadł w siódmym dziesiątku na owo rozbawione społeczeństwo

zachwiał wszystkiem, zniszczył wiele i zwrócił umysły w inną stronę, ale zdaje mi się rzeczą pewną, że i bez niego w naszej poezyi nastąpiłby zwrot taki sam jak po 1870 roku. Warunki w jakich powstał romantyzm zupełnie się odmieniły, soki z których on czerpał siłę wysychały, grunt stawał się całkiem odmiennym i brakowało tylko, żeby nań padły inne ziarna, żeby się przyjęły i wydały inne owoce. Zasiew ten przyniosły nam wiatry—z zachodu.

ROZDZIAŁ IV.

Nowy kierunek w literaturze i poezyi.—Wiktor Gomulicki. — Czesław Jankowski.

Kiedy społeczeństwo nasze znajdowało się w takim moralnym stanie, który pomyślnym bynajmniej nazwanym być nie może, nadszedł siódmy dziesiątek bieżącego stulecia, a z nim zmiany stosunków najbardziej radykalne. Najpierwej więc przez uwłaszczenie włościan zmienione zostały z gruntu warunki, wśród których od bardzo dawna istniał i wyrósł stan uprzywilejowany, szlachecki. Nietylko, z jednej strony, ogromna klasa ludzi powołaną została do udziału w życiu społecznego organizmu, ale upadła wyłączność szlachty, która stawała się tylko jednem z kółek całego mechanizmu i musiała sama o sobie myśleć i na siebie pracować. Przyszły potem wypadki powszechnie znane, wskutek których i stosunki polityczne z gruntu się odmieniły. Już te dwa zjawiska i chaos przez nie wywołany wystarczyłyby do wstrzymania rozwoju poezyi, przynajmniej na chwilę. Można śpiewać i tworzyć nawet z bolem w sercu i o pustej kieszeni,

ale kiedy cały świat pojęć, wierzeń, przekonań, zapadnie się i zginie, kiedy droga po której się długo chodziło urwie się gdzieś nad przepaścią, niepodobna myśleć o czem innem, tylko o zoryentowaniu się, odszukaniu nowej jakiejś ścieżki, o sprostowaniu i naprawieniu systematu myśli.

Tymczasem zaszedł i trzeci jeszcze przewrot mniej radykalny i głośny, niż dwa pierwsze, niemniej jednak bardzo ważny, szczególnie dla zajmującego nas przedmiotu, przewrót w świecie umysłowym. Zajęci czem innem, niebardzo wiedzieliśmy. co się tam zagranicą, w świecie naukowym, dzieje. Wytrzeźwieni smutną rzeczywistoscią, nie z romantycznych marzeń, lecz raczej z długiego *dolce far niente*, i zresztą popychani może naturalnym rozwojem, poczuliśmy potrzebę nauki; zaczęto się dowiadywać, co się dzieje na Zachodzie i dowiedziała się młodzież, jak mówi p. Chmielowski, «że po za granicami kraju od lat już kilkunastu huczała burza materyalizmu, którą wzniecili: Moleschott, Vogt i Büchner, o której w kraju zaledwo tu i owdzie, i to głucho, przebąkiwano». Rzucono się skwapliwie do przeniesienia tej zagranicznej mądrości na swoją ziemię i posypały się przekłady Buckle'a, Draper'a, Taine'a, Comte'a, Mille, Littre'go, Renana i t. p. «Wystąpiono — twierdzi p. Chmielowski — w imię światła przeciwko obskurantyzmowi, w imię tolerancyi przekonań przeciw ślepemu dogmatyzmowi, w imię postępu przeciw zastojowi» [1]).

Tak więc, rzucono się do nauki—nie da się zaprzeczyć, że i do nauk specyalnych a ścisłych; przeważnie jednak zajmowały umysły teorye filozoficzno-religijne, wyciągane z nauk przyrodniczych, socyologii,

[1]) „Zarys najnowszej literatury polskiej"—26.

historyi. Te właśnie kwestye najbardziej roznamiętniały ogół, one były przedmiotem najgłośniejszych i najzapalczywszych dysput, dlatego że były związane z religią, czy to rzeczywiście, czy też w nieoświeconej wyobraźni czytelników. Powtórzyło się i u nas zjawisko, które niedawno zaznaczył Brunetière («Revue des deux Mondes», 1898, Grudzień): «Ktokolwiek w naszych czasach odrzucił powagę wierzeń prawowitych, nie staje się niewierzącym, a jeszcze mniej wolnomyślnym, myślicielem wolnym i niezależnym, lecz tylko przeciwwierzącym, by nie powiedzieć fanatykiem —i nie było w naszych czasach nauki, któraby choć chwilowo nie tryumfowała nad religią, a któraby nie nadawała sobie pozorów religii. Przykłady były niezliczone—z czegóż bo nasz kończący się wiek nie czynił sobie bóstw?»

P. Chmielowski twierdzi, «że to co było najdrażliwszem u nas —kwestya religijna—zostało z dyskusyi niemal usunięte, a krytyka jawna, otwarta, tyczyła się nie dogmatów, ale obrządków zewnętrznych i duchowieństwa». Twierdzenie to jest zupełnie z prawdą niezgodne. Krytyka jawna mogła rzeczywiście wstrzymywać się od oczywistych bluźnierstw i napaści na dogmaty; wstrzymywały od tego «względy na okoliczności zewnętrzne»—w rzeczywistosci jednak właśnie dyskusya toczyła się przeważnie, a może wyłącznie, o kwestyach. Bluźnierstw, powiadam, wyraźnych nie było może, — nie przyjęłoby ich społeczeństwo, — ale było podkopywanie i obalanie dogmatów katolickich podziemne, że tak powiem. Czy nie na jedno bowiem wyjdzie powiedzieć: Jezus Chrystus nie jest Bogiem — albo: Jezus Chrystus jest tylko człowiekiem i filozofem? Nie mawiano może wprost: życie przyszłe z niebem i piekłem

jest niedorzeczną bajką, ale dowodzono, że istnieje tylko materya, a dusza jest tej materyi pewnych własności objawem, i oczywiście wychodziło to na jedno. Być może, że o Biblii z pogardą nie pisano, ale dowodzono że «nauka» obala «legendę» o stworzeniu Adama i Ewy, wyprowadzając ludzi od małpy, albo nawet od jakiegoś wymoczka. Nie zaprzeczano wyraźnie istnienia Boga, ale starano się wiarę w niego obalić *naukowo* za pomocą Bathybiusa, Antropopitesa, przedwieczności materyi, nieskończoności świata i t. p. teoryi. Wiedziano doskonale, że gdyby jedna z nich była *naukowo* dowiedzioną, wiara katolicka byłaby pogrzebioną—starano się też o to usilnie.

Tam gdzie społeczeństwo nasze naliczyć dziś może dziesięciu miłośników *rzeczywistej* nauki, wówczas zjawiały się ich tysiące. Skądże taki nagły zwrot ku mądrości? Nie o mądrość tu szło, lecz o zrzucenie z siebie niewygodnego jarzma chrześcijańskiej moralności i dogmatyki. Wszyscy owi płytcy uczeni, na których powierzchowność skarży się sam nawet p. Chmielowski, bardzo mało troszczyli się o naukę; im szło o honor pochodzenia od małpy i prawo życia jak domniemani prarodzice, szło im o zasłonienie za pomocą nauki tego niewygodnego Oka, które patrzy kędyś zpozachmur, a widzi głębie serca; woleli po śmierci zamienić się w kupę gnoju, byle nie było prawdą, co mówią o Sądzie i piekle.

Dlatego to zalała nas cała powódź «nauki»—o ile była nieprzyjazną religii—więc filozofia Comte'a, Taine'a i Spencera, więc historyozofia Buckl'a i Drapera, więc poglądy przyrodniczo-filozoficzno-religijne Darwina, Haeckla, Büchnera, Vogta, Moleschota, więc krytyka biblijna Renana, Schopenhauera (chociaż ten drugi

mniej był czytywany, jako dla naszej uczoności za ciężki).

Wszyscy, którzy mieli pretensye do nauki, musieli być materyalistami, pozytywistami, darwinistami, renanistami, a zawsze niewierzącymi — w imię nauki. Być może iż «dyskusya jawna» — nie toczyła się jawnie i wyłącznie o dogmatach, ale w rzeczywistości o nie przedewszystkiem chodziło. Wynagradzano zato sobie w dyskusyi niepisanej; jak i co tam mówiono, pamiętamy przecie dobrze, bośmy nieraz w tych rozprawach udział brali i w naiwności młodzieńczej podziwiali nienawiść ku Wierze, która nie pozwalała człowiekowi żyć i umierać w kałuży; podziwialiśmy gorącą chęć «inteligencyi» do życia jak małpa-prarodzic, a przytem do uważania siebie za jedynego boga na świecie, za jedyne uświadomienie przedwiecznej, nieskończonej materyi. Że o nic innego w ówczesnej dyskusyi nie chodziło, tylko właśnie o religię i dogmaty, najlepszym dowodem są książki p. Chmielowskiego. Należy on bezsprzecznie do najumiarkowańszych przedstawicieli niechrześcijańskiego kierunku w naszej literaturze, a jednak kto przeczyta choćby tylko jego «Zarys najnowszej literatury polskiej», i kto rozumie co znaczą: «ślepy dogmatyzm—postęp i zastój—światło i obskurantyzm» i t. p. omówienia, kto zwróci uwagę na ojcowską miłość dla jednych, surowe potępienie dla drugich, ten się przekona, że p. Chmiel. tych drugich dlatego właśnie gani, potępia, że lepiej lub gorzej bronili religii; dlatego miłuje pierwszych, że przeciwko niej występowali, bo nawet u niego, najumiarkowańszego, religia jest fałszem, złem, zacofaniem, choć tego wyraźnie nie powiada; wszystko co przeciw niej— prawdą, światłem i postępem. Ktoby zaś umiał czy-

tać i to, co nie zostało napisanem, przekonałby się z tego, czego p. Chm. nienapisał, jak dalece mu idzie, nie «o zewnętrzne obrządki, ani o duchowieństwo», lecz właśnie o religię i jej dogmaty.

Jakże wobec tej nawały pseudo-naukowej zachowała się wierząca część społeczeństwa naszego? Niestety, wcale nieosobliwie. I duchowieństwo i ludzie świeccy, a wierzący, również jak ucząca się młodzież, niewiele wiedzieli o owej burzy materyalizmu huczącej oddawna za granicami kraju, nie wiedząc zaś o niebezpieczeństwie, nie przygotowali się na jej odparcie. Księża i świeccy żyli sobie spokojnie, wyznając wiarę po ojcach odziedziczoną, nie przypuszczając, że lada dzień może ktoś zapytać o legitymacyę dziedzictwa. Takim sposobem burza materyalizmu spadła na ludzi nieprzygotowanych, na społeczeństwo rozbawione i rozmiękczone dawniej, rozgoryczone i upadłe na duchu obecnie, a spadłszy jak miriady zaraźliwych mikrobów na organizm osłabiony i mało odporny, niesłychane wyrządziła spustoszenia. Wierzący bronić się nie umieli i bronili się źle, więc niedowiarstwo tryumfowało, a usiadłszy—jak mu się zdawało—na zgliszczach «przestarzałych zabobonów, rozbitych taranem postępu», rzucało wierzącym wyzywające szyderstwo: «A gdzież wasz Ojciec, a gdzież wasz Bóg?» Nie moją rzeczą opisywać rozmaite walki tej przejścia.

Wiadomo, że z wielkich haseł i z wielkich zapowiedzi pozostało bardzo mało, albo wcale nic; wiadomo że wierzący powoli zoryentowali się w położeniu i podnieśli głowy przerażone na razie ogromem nieznanej a wrogiej mądrości. Zmiany więc i kolej walki między wiarą a niewiarą były rozmaite; jedna tylko cecha pozostała niezmienną. Pisarze i uczeni niechrze-

ścijańscy wzięli sobie na wyłączną własność naukę, i dziś towarzystwo niewierzących literatów stale po dawnemu rozszerza swą zasadę, że nauka to bezwyznaniowość, Wiara to – nienaukowość. Niestety, trzeba przyznać, że nie znajduje zaprzeczenia w takim stopniu jakby należało. Jak przed laty uniwersytecka młodzież nic nie wiedziała «o burzy materyalizmu huczącej od lat kilkunastu za granicami kraju», tak obecnie społeczeństwo nasze (z wyjątkiem pewnej liczby księży) nic absolutnie nie wie o tem, że tam na Zachodze, na gruzach głośnych niegdyś nieprzyjacielskich teoryj, krzewi się potężnie, rośnie i przynosi owoce nauka chrześcijańska, nauka katolicka.

P. Chmielowski w obydwóch swych książkach: («Współcześni poeci polscy» i «Zarys najnowszej literatury polskiej») nie daje dokładnej charakterystyki stanu umysłów i uczuć epoki z przed lat trzydziestu. Zarzuca on zwrot do praktyczności i pracy, mówi o wzroście dziennikarstwa, o upadku ducha wskutek doznanych klęsk i zawodów, o wielkiem zainteresowaniu dla pytań naukowych, twierdzi, że poezyę lubiano i ceniono, a powstawano tylko na nadużycia i upadek jej; na dowód czego przytacza własny swój odczyt z epoki młodzieńczej, ale wszystko to razem wzięte, bynajmniej nie tłomaczy upadku poezyi, ani zniechęcenia do niej społeczeństwa tak wielkiego, że «nawet prawdziwi, wysoce utalentowani poeci, musieli niemal pokornie usprawiedliwiać się, że jeszcze śpiewają».

Nic dziwnego zresztą, że tak jest, bo autor «Zarysu» nietylko nie wnika w głąb rzeczy, ale zaprzecza stanowczo temu, co właśnie było jedną z głównych przyczyn owego zniechęcenia,

W poprzedzającym już rozdziale wspomniałem o tem, jak mało poetycznem było usposobienie naszego społeczeństwa oświeconego około 1860 r., mogło się ono jeszcze bardziej wzmódz wskutek kłopotów materyalnych i wstrząsnień ogólnych, ostatecznie zaś odpoetyzowało się owoczesne pokolenie przez najście doktryn negatywnych i materyalistycznych. Zburzyły one w przekonaniu wielu wiarę w Boga, w Opatrzność i Sprawiedliwość, w istnienie własnej duszy, w cel ludzkości wyższy i lepszy, zburzyło wszystko, co rzucało na człowieka aureolę świętości i poezyi; jakże więc mogła się wobec tego ostać poezya i miłość ku niej? Zgasło w ówczesnem społeczeństwie inteligentnem źródło i słońce poezyi—Bóg i Wiara. Skądże mogły się wziąść kwiaty poetyczne? Jeśli wartość człowieka zależała od pokarmów—«powiedz mi co jesz – mówił jeden z bojowników «postępu»—a ja ci powiem, czem jesteś»—jeśli wszystkie pragnienia sprowadzonemi zostały do pełnej kieszeni i sytego żołądka, to człowiek z takiemi przekonaniami tyle się troszczył o poezyę, ile o nią dba wieprz stojący przy pełnem korycie.

To była główna przyczyna obojętności dla poezyi. P. Chmiel. wprawdzie twierdzi, że powstawano tylko przeciwko zboczeniom, a na dowód przytacza swój odczyt; być może, że kółko kolegów, którzy go słuchali, byli tego zdania, ogół jednak sądził inaczej; nie dbał on ani o poezyę, ani o jej usterki. Zresztą w podobnie usposobionem społeczeństwie poezya niczem innem być nie może i nie bywa, jeno «marzeniem», zabawką mile łechcącą ucho po dobrej kolacyi, rozrywką, dowcipem, a dla młodych i starych grzeszników—jednym więcej środkiem do «estetycznego» podrażnienia zmysłów.

P. Chmielowski nie daje nam także dokładnej charakterystyki opisywanych przez się poetów, wylicza on wprawdzie ich dzieła i strzeszcza je dokładnie, stara się oceniać ze strony artystycznej, ale ostatecznie mówi o wszystkiem mniej więcej to, co o Gomulickim: «i są zatem w poezyach G-go rzeczy smutne i wesołe, poważne i lekkie, sarkastyczne i pogodne, rozumne i trzpiotowate. I nic naturalniejszego: liryk śpiewa, gdy ma ku temu jakąś pobudkę; od rodzaju pobudki i od chwilowego usposobienia, zależy rodzaj utworzonej pieśni». Poeta, podług niego, to fujara: jak w nią kto zadmie, taki też ton wyda. Nie powiem, żeby to było pochlebne; podług p. Chm. jestto naturalne być może, ale i to także naturalne, że z takiego tłomaczenia wiele mądrego dowiedzieć się trudno. Chcąc być sprawiedliwym, muszę dodać, że p. Chm. probuje czasami zstąpić głębiej, ale wyszedłszy z głębokości na świat Boży, także nic określonego nie przynosi. Tak np. o tym samym poecie mówi dalej: «Ale mimo to wszystko jest coś, co pieśni te z sobą łączy, co je cechuje znamieniem wskazującem, że one wyszły z takiej a nie innej duszy. I to coś wspólnego nie polega jedynie na frazeologii poetyckiej i toku wiersza, tkwi ono głębiej, bo w umyśle i sercu poety; nie potrzebuje ono być czemś ściśle i dokładnie określonem (?) jakimś stałym poglądem na stosunek poety do świata i ludzi; sama już bowiem nieokreśloność może się stać cechą znamienną twórczości poetyckiej».

Nie wiem, jak się czytelnikowi podoba takie określenie tego «co tkwi w głębi serca i umysłu poety»; co do mnie, nie dziwię się wcale takiemu «nieokreślonemu określeniu», bo wiem zkądinąd, że autor «Zarysu» bardzo sumienny i pracowity spisywacz i regestra-

tor, do głębi rzeczy zstąpić nie zdoła, bo w obecnym razie stanowczo mu na to nie pozwala stanowisko z jakiego na rzeczy i ludzi patrzy. Kto przeoczył w ocenie położenia rzecz najważniejszą, (jak człowiek z bajki, co w gabinecie zoologicznym widział mrówkę, ale słonia nie dojrzał), oczywiście nie może sobie o niem wyrobić należytego pojęcia, nie mając zaś, nie będzie wiedział, jak ów stan pojęć i wyobrażeń oddziaływał na współczesnych, jakie wywoływał zjawiska «w głębi serca i umysłu». Tymczasem sądziłbym, że w ocenie i charakterystyce pisarzów czy poetów najważniejszą rzeczą właśnie jest poznanie i określenie tego, co tkwiło w głębi ich serca i umysłu; to tylko może nam dać poznać dokładnie poetę i jego dzieła; to także może nas doprowadzić do odpowiedzi na tytanie: dla czego dziś nie mamy poetów słowików?

Nie może p. Chm. odpowiedzieć na to pytanie i dlatego jeszcze, że o istocie poezyi bodaj ma pojęcie nie całkiem ustalone; nieraz w książkach jego znalazłem ustępy, z których mógłbym wnosić, że poezyę uważa za marzycielstwo. W takim razie i warunki istnienia, wzrostu lub upadku jej muszą w jego umyśle być inne, niż są w rzeczy samej. Ponieważ marzycielstwo jest rzeczą sztuczną, niezdrową, jest zabawkę i oznaką pewnego upadku lub niedojrzałości, więc oczywiście w innych zupełnie rozwija się warunkach niż poezya, będąca zdrowem, pięknem dążeniem do prawdy i dobra coraz wyżej i wyżej Tak np. autor nasz nie dwuznacznie daje do zrozumienia, że około 1870 r. rozwinęła się u nas atmosfera trzeźwości, nastąpił zwrot ku pracy i naukom ścisłym, i że to wszystko ostudzało poetyczne loty, niepozwalało owszem poezyi nawet skrzydeł rozwinąć. Ciekawa rzecz dlaczegoby tak być

miało, dlaczego np. trzeźwość ma być przeciwstawianą poezyi? Jabym sądził, że ona owszem pomaga jej, że jest dla niej konieczną. Trzeźwość umysłu ostrzeże poetę przed mnóstwem fałszywych haseł, wskaże mu tysiączne usterki, błędy, wady, tysiączne sidła, których unikać powinien, a zwróci go do jedynej rzeczywistej prawdy, sądzę zaś, że jeśli niema nic bardziej trzeźwego od prawdy, to nic bardziej poetycznego nad nią być nie może.

Trzeźwość mogłaby szkodzić tylko takiej poezyi, która potrzebuje zaciągać się haszyszem, zakrapiać się alkoholem, dla marzycielstwa zresztą, ale czyż to można nazwać naprawdę poezyą? Między marzeniem, ułudą, stanem podnieconych nerwów i rymowanego bałamuctwa a poezyą rzeczywistą, jest różnica olbrzymia, cała przepaść nieprzebyta. Dla pierwszych trzeźwość jest zabójczą, dla drugich najbardziej pożądaną. Nie trzeźwość przeszkadzała naszej poezyi latać i śpiewać, ale wyjałowienie i wysuszenie duszy w znacznej części ówczesnego społeczeństwa.

Praca i nauka także ani trochę poezyi szkodzić nie mogą; przeciwnie pomagają. Praca zachowuje w człowieku hart duszy, strzeże od tysiącznych zboczeń, jakim ulegają próżniacy, a przez to czyni go więcej dostępnym dla wszystkiego, co dobre i poczciwe; nauka zbliża go i podnosi ku prawdzie, rozszerza horyzont umysłowy, a przez to właśnie czyni go bardziej zdolnym do poczucia i oceny tysiącznych piękności Nie praca to i nie nauka odstręczały od poezyi, lecz nauka materyalistyczna i takaż sama odchrześcijaniona praca. Gdyby w naszem społeczeństwie rozwinęła się była trzeźwość nie zaś posucha ducha, gdyby praca była pojętą nie jako gonitwa za pieniędz-

mi *à tout prix* i tylko dla niego samego, gdyby nauka była rzeczywistą nauką, nie tylko poezya w tych warunkach nicby nie ucierpiała, lecz owszem podniosłaby się znacznie. Ponieważ było przeciwnie, więc poezya żyć nie mogła, jak kwiat na wysuszonej nie może kwitnąć glebie; a w takich warunkach możliwą tylko była taka poezya, jakiej kronikarzem został p. Chmielowski, którą też sam scharakteryzował jako śpiew kanarków.

Co do mnie, to dążąc do wiadomej odpowiedzi, albo raczej do jej udowodnienia, chciałbym przedewszystkiem określić i wykazać, co tkwiło w umysłach i sercach naszych poetów; będę się starał to uczynić analizując ich utwory. Przystępując zaś do tego muszę się zastrzedz, że chcę pozostać w granicach przez p. Chm. zakreślonych w książce «Współcześni poeci polscy», chcę mówić tylko o lirykach i epikach; owszem ponieważ zadługo byłoby zajmować się wszystkimi przez niego wymienionymi poetami, więc wybrałem tylko kilku; będzie to dla celu mojego zupełnie dostatecznem.

Zaczynam od Wiktora Gomulickiego. P. Chmielowski przytacza dwa tylko zbiory jego poezyi: pierwszy zawarty w 2-im tomie «Liry polskiej», 1882 r., a następnie, nieduży tomik, wydany w Warszawie 1887 r. Niestety, tego własnie wydania nigdzie dostać nie mogłem, będę więc musiał poprzestać na drugim tomiku «Liry polskiej»—prawda, że jak twierdzi p. Chm. większa jej część weszła do owego właśnie wydania z 1887 r. Zato mam inny jeszcze zbiór poezyi Gomulickiego, o którym p. Chm. nie wspomina wcale, wydany bowiem został w rok po «Współczesnych poetach pol-

skich» mianowicie w 1896 r. p. t. «Nowe Pieśni» (Petersburg, nakład Grendyszyńskiego).

Przypatrzmy się więc treści pierwszego zbiorku. Zaczyna się od pytania: «Gdzie piękno»? Podług autora znajduje się ono w prawdziwem odtworzeniu prawdziwych uczuć poety; dlatego bardzo surowo gromi wieszczów silących się na oddanie tego, czego wcale nie czują, i kończy:

Pieśń wasza niech uczuciem jak wulkan wybucha,
Umiejcie tłum pieśniami wstrząsnąć natchnionemi—
Świat z ławy wulkanicznej poznaje głąb' ziemi,
Z waszych krzyków namiętnych pozna głębie ducha.

P. Chm. powiada: «rady to zdrowe, a choć nowość ich dosyć stara, nic to wszakże nie ujmuje ich trafności». Jabym powiedział, że mniejsza o nowość, że poezya nie jest «żurnalem» mód damskich, żeby ciągle dawała nowe prawdy, lecz sama odpowiedź na pytanie: gdzie piękno, wydaje mi się wcale niedostateczną, bo jednostronną. Prawda że uczucia ludzkie, jeśli są piękne, są też obfitem źródłem piękna, ale szkoda, że poeta dalej już okiem sięgać nie zdołał i innych źródeł piękna nie wskazał — a jest ich sporo jeszcze. Do najpiękniejszych rzeczy Gomulickiego trzeba bezsprzecznie zaliczyć krótkie a wesołe utwory treści erotycznej, bez zbytniej jednak zmysłowości, które się iskrzą dowcipem, wesołością młodzieńczą, płomykami gorącego serca i fantazyi, jak zwykle bywa zamłodu. Malowane to wszystko znakomicie i przypomina drobne ale misterne obrazki à la Watteau albo Boucher. Zda się że widzisz np. jak to Chloe

Wśród zachodu różowych promieni
Szła przez łąkę, śpiewając wesoło;

Zapach zboża, kwiatów i zieleni
Wonną falą opływał ją wkoło.
Miała w ręku koszyk łozinowy,
Parasolkę i świeży bławatek;
Jako ptaszę była do połowy,
Do połowy była jako kwiatek.
. . . .
Jak królowej kłaniało się kwiecie:
Jaskier żółty i modra ostróżka
Złą władczynią była ona przecie,
Gdyż poddanych kładła do fartuszka.

Oprócz «Chloe», jest jeszcze kilka innych w tym rodzaju obrazków: «Na Kanonii», «Scherzo», «Czary», «We dwoje», «W starym sadzie», «W oknie naprzeciwko», «Co mówi poranek?» Oprócz wesołych obrazków, są jeszcze i posępne, ale te się p. Gomulickiemu mniej udały, widocznie zapomniał o dawanej przez się drugim radzie:

Pocóż myśleć myślami Danta lub Bajrona?
Bądźcie sobą! nad prawdę cóż jest piękniejszego?

A właśnie w utworach, które zaraz wymienię, pan G. nie zdaje się być sobą, owszem wygląda jak gdyby na sztucznych koturnach i w masce dawnych tragików. Takiem jest najpierw «Pustkowie». Odmalowany w niem jest cichy, opuszczony, zarośnięty zielskiem dom; prawda że przedmiot to smutny i tęskny, ale autor porównał go ze wszystkiemi okropnościami ziemi—wojną, rykiem armat, jękiem rannych, konających, «w krwawej kałuży chrapaniem», burzą, gromami—i znalazł, że pustkowie jest gorszem.

O tak! straszną jest wojna, konwulsya ludzkości!—
A jednak, nad te siły, których grozę zmniejsza
Nadzieja, złote bóstwo—stokroć jest straszniejsza
I stokroć więcej złego wyrządza na ziemi
Cisza, upiór z ustami wiecznie zamkniętemi!

Trzeba być bardzo towarzyskim człowiekiem, żeby tak nienawidzić ciszy, ale ostatecznie rzecz to usposobienia i gustu — chociaż sądzę, że niewielu ten wstręt aż w takim stopniu posiada.

Toż samo zapomnienie o prawdziwości można zarzucić następnemu utworowi: «*Pod toporem*». Poeta biada nad pustką powstającą po wyciętym lesie, i powiada o niej:

Smutny jest widok cmentarnych zagonów,
Kiedy nad niemi płynie księżyc złoty;
Smutna jest wstęga błękitna wagonów,
Gdy nam zabiera najdroższe istoty,
Smutna ławeczka mała w cieniu klonów,
Co pomni zmarłej kochanki pieszczoty;
Ale smutniejszym od nich i przeklętym
Jest obraz pustki po lesie wyciętym.

I tu powtórzę, że ostatecznie wstręt taki do ciszy i pustki może być jakąś specyalną właściwością poety; na co się jednak stanowczo zgodzić nie można, to na sposoby, jakiemi chce przeszkodzić dalszemu lasów niszczeniu:

O mądre kupcy, o przebiegli Smule!
Czy wy wierzycie w ludzi i *drzew* bóle?
Czy wy wierzycie, że drewniane belki
Pod toporami, płacz podnoszą wielki?

Gdyby owi «przebiegli Szmule» czytywali Horacego, odpowiedzieliby z pewnością jego słowami: *credat judaeus Apollo*, i trudnoby mieć im to za złe, bo i my tym czułościom nie wierzymy ani trochę, równie jak dalszym zapewnieniom poety, że gdyby «spadła pomroka z naszego serca i z naszego oka», tobyśmy oglądali jakieś tajemnicze polowania nocne i korowody leśnych boginek i jakiegoś starca olbrzyma o wło-

sach «zielonych», co siedzi na sośnie—i płacze. (Pierwszybym tę sosnę ściąć kazał.) *A d'autres, à d'autres* — stare i przeżyte bajki, kogo one rozczulić mogą? Czy nie lepiej było być sobą i opłakiwać pustkę po lesie dla innych przyczyn, arcy rzeczywistych i prawdziwych?

Oprócz powyższnych obrazów i obrazków jest kilka szkiców nie wiele mówiących, jak owe widoczki i sylwetki, których tysiące spotykamy wszędzie. Do takich zaliczyłbym: «W górach», «Usnęły dzieci», «Swaty», «Światełko w dali». Są też dwie niby karykatury, niby humoreski: «Syn obywatelski» i «Czarna dama». Pierwszy jest powtórzeniem niewiadomo już którem z kolei oryginału niezaginionego wprawdzie, lecz przeciwnie znacznie rozmnożonego. Zdaje mi się też, że niewłaściwie nazwany został «Obywatelskim synem»; kiedyś, dawniej, za czasów berdyczowskich i łowickich jarmarków, ten bałaguła o «grubej szyi i szerokich barkach» naprawdę był specyalnością obywatelską, dziś gdy «piękne dni Aranjuezu» oddawna minęły, egzemplarze takie spotykają się wśród obywateli niezmiernie rzadko; daleko częściej wśród przemysłowców, kupców, bankierów. «Czarna dama» jest obrazem dewotki; p. Gomulicki malował ją prawda ze szczerą sadzą, ale *con amore.*

Znacie tę anielicę o papuzim nosku,
Co się na gęsich skrzydłach do obłoków wzbija?
Twarz jej zda się z bursztynu rzeźbiona lub wosku,
Biodra ściska różaniec, skręcony jak żmija;
Gdy się modli to jakby chwycona przez bóle,
Ciska głową i ciałem, iście chińska lalka
A szkaplerze jej brzęczą, jak dzwonki na mule.
. . . .
. . . .

Znacie tę anielicę? Gdy na progu staje,
Małe dzieci, po kątkach kryją się z obawą,
. . . .
Miłości nienawiści i mówi że trzeba
Walczyć z nią, jak ze smokiem...
. . . .
Kędy wzrok jej wyśledzi rozkochanych dwoje,
Tam leci, jak nietoperz znęcony bielizną
I póty do czary sączy jady swoje,
Aż im nektar miłośny wyda się trucizną.
. . . .
Znacie tę anielicę bez grzechu, bez winy,
Przed którą księżych niebios otworzona brama?
To dziecię faryzejskiej, obłudnej rodziny,
To czarna dama!

O tym obrazku powiada p. Chmielowski, że jest „skreślony z pewną afektacyą żółciową, która odbiera doniosłość pociskom satyrycznym, gdyż osobę ludzką w karykaturę przemienia“. Jeśli idzie o sposób obrazowania artystycznego, zgadzam się chętnie z powyższem zdaniem, jeśli zaś o rzeczywistość, to przyznam, że p. Gomulicki bynajmniej nie przesadził — może raczej nie dosadził. Takie „czarne damy“ naprawdę są i żyją, znałem podobnych niemało; jedna szczególnie, choć ją oddawna ziemia kryje (na szczęście ludzkości) stoi mi dotąd przed oczyma, zwłaszcza gdy wiersz p. Gomulickiego przeczytam, tylko że oryginał był daleko od opisu wstrętniejszy. Nie zapomnę chyba tych oczu, z których nigdy jeden promień ciepły nie strzelił, ale wiecznie zato błyskała złość rozdrażnionej gadziny; nienawiść w tej kobiecie do wszystkiego co młode, zdrowe, uczciwe, kochające, była prawdziwie zadziwiającą. Dałażby ona dopiero „pieprzu z imbierem“, gdyby zobaczyła „zakochanych dwoje“. Żadnej pobłażliwości, żadnej miłości,

słowa dobrego o nikim — a jednak taka moralna i fizyczna poczwara wiecznie siedziała w kościele, wiecznie brzęczała różańcami i medalikami. Nie dość tego: przeczytawszy że Pan Jezus powiedział: „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili“, nie wahała się wcale siebie z Nim zupełnie identyfikować. Raz naprzykład byłem świadkiem następującego zdarzenia. Była to zima i gołoledź; wychodziłem właśnie z katedry i ostrożnie po nędznym chodniku schodziłem po pochyłości pagórka, którego środek pokryty był lodem gładkim i śliskim jak szkło. Właśnie na tym lodzie zobaczyłem ową „czarną damę“, która nie wiem jak dostała się tamtędy i była zupełnie jak królewna zaczarowana na szklannej górze; — zejść nie mogła i do niej dostać się było trudno. Wtem z największem zdziwieniem słyszę, jak do jakiejś dziewczyny stojącej na dole, przemawia swym chrapliwym głosem: „chodź tu moje dziecko i pomóż Panu Jezusowi zejść z góry“. Przytaczam ten wypadek jako przykład, do jakiego stopnia pychy i głupoty dochodzą czasami „czarne damy“.

Powtarzam więc, że p. Gomulicki przesadził ze względu artystycznego, ale rzeczywistość stoi nieraz jeszcze daleko wyżej (może raczej niżej), niż wizerunek. Natomiast są pewne niedoskonałości w szczegółach. Dlaczego naprzykład „różaniec skręcony jak żmija“ ma przepasywać jej biodra? Różaniec rzecz święta i niewinna, nie może być ze żmiją porównywanym, niepodobny do niej wcale z pozoru, a do przepasywania się nigdy służyć nie może, bo jest za krótki i za wątły; zawsze też bywa tylko u paska zawieszanym. Szkaplerze znowu brzęczeć nie mogą „jak dzwonki na mule“—bo są sukienne. Najdziwniejszem

jednak wydaje mi się twierdzenie, że przed taką szkaradną „księżych niebios otworzona brama“. A za cóż nas szanowny poeta takim prezentem ugratyfikował i gdzie wyczytał lub od kogo słyszał, żebyśmy takim mieszkankom wrota „księżych niebios“ otwierali? Łatwo bardzo przekonać się każdemu, że księża mieszczą w niebie taką np. Ś tą Cecylię, Agnieszkę, Jadwigę szląską, Elżbietę węgierską, Franciszkę de Chantal, ale kto, kiedy i od jakiego księdza słyszał, żeby dojść można do Nieba po drodze „czarnych dam“? Jużci wszystkim im życzymy Nieba i zbawienia, ale dlatego muszą pierwej przestać być „czarnemi damami“. Jeśli jednak „czarna dama“ ma być w Niebie bez pokuty i żalu, to chyba p. Gomulicki każe jej otworzyć wrota „niebios poetów“, gdy sam do nich wejdzie,—mogę zapewnić, że żaden z księży nic przeciwko temu mieć nie będzie.

Przejdźmy jednak do innego przedmiotu; oto przed nami obrazek z życia żydowskiego p. t. „El mole Rachmim“.

To było na podwórku żydowskiego domu,
W letni wieczór. Dostałem się tam pokryjomu.
—Wiara zamiast jednoczyć, dzieli i oddala.

Zwracam uwagę na ten pseudo liberalny wyskok; chce on być głębokim, ale dno jego widać bardzo dobrze. Jedna wiara jużci jednoczy, sprzeczne wiary oczywiście dzielą; rzecz naturalna. Wygląda to, jakby poeta chciał dokończyć zatem najlepiej bez wiary — wtenczas będzie jedność. Ba, kiedyż bo doświadczenie uczy, że wtenczas już oddzielą się nie miliony od milionów, lecz jednostki powstaną przeciw jednostkom i będzie *homo homini lupus*.

Opowiada tedy dalej poeta, jak waciarz Icek żenił się z córką tandeciarki; był to „śniady wyrostek, pół mąż, a pół dziecko—Miłość u żydów chwyta człowieka zdradziecko. — Z zamkniętemi oczyma wiedzie nad otchłanie,—I w objęcia kobiety rzuca niespodzianie“.

Jużci poecie wiele wolno, ale nawet w poezyi dziwnie brzmi: „miłość u żydów“—geszeft, szanowny poeto, geszeft; wiemy doskonale jak się tam małżeństwa kojarzą. Mniejsza o to jednak. Wszystko na tem podwórku było brudne, nędzne, pospolite — pokąd chazen (kantor) nie zaczął śpiewać pieśni za umarłych —„El-mole-rachmim“. Wtenczas wszystko się zmieniło —przytaczać jednak nic nie będę, bo trzebaby chyba cały ów obrazek przepisać, tak jest piękny, tak rzetelną poezyą owiany. Czyta się go z prawdziwą przyjemnością, cóż, kiedy chochlik krytycyzmu szepcze tymczasem do ucha wątpliwości jedna za drugą: Ej, czy to być może, żeby kiedy tak na żydów działały owe dawne wspomnienia; czy to być może, żeby

—Kiedy Chazen wspomniał świętą Jeruzalem
Matkę, która choć zdala białą twarzą świeci,
Od wieków już umarła dla swych pierwszych dzieci,

żeby, powiadam, wtenczas

Po izbie szał rozpaczy powiał tchnieniem dzikiem
I zawrzała ogromnym, beznadziejnym krzykiem.

Czy to być może? Dwom panom przecież służyć nie można, więc kto czci złotego cielca, a pielęgnuje nienawiść do krzyża i „akumów“, czy znajdzie jeszcze w sercu miejsce dla miłości „starej matki“, która żadnych procentów nie daje i nie jest zgoła żadnym interesem? To też mój chochlik twierdził, że cały ów obra-

zek i całe owo rozrzewnienie było tylko w poczciwem sercu patrzącego i w jego poetycznej fantazyi. Zresztą trzeba przyznać, że p. Gomulicki w swych poezyach daleko jest łaskawszym dla żydów, niż dla księży; widać to najlepiej z wiersza p. t. „Głos zelżonego“, napisanego z powodu wybryków antyżydowskich w grudniu 1881 roku.

Com ja winien, że mnie słońce Wschodu
Niezatartem naznaczyło piętnem?
Com ja winien, że jak ojciec rodu,
Dzieckiem zmysłów muszę (?) być namiętnem?
. . . .
Com ja winien, że przez średnie wieki,
Póty na mnie śliną wzgardy plwano,
Aż pociekła mi krew z pod powieki,
Aż me usta zabielały pianą?
. . . .
Com ja winien, że mi dawna chwała
Świeci jasno wśród dziejowych mroków?
. . . .
. . . .
Wy, co na mnie podnosicie pięście,
Wprzód przeznaczeń obliczcie się prawem,
. . . .
Czyż będziecie ze skargą stawali,
Przeciw słońcu, powietrzu i fali?

Pan Chmielowski wiersz ten nazywa „dobrym“— ja go nazwę szkaradnym. Wypadałoby z niego, że żydzi *muszą* robić to zło, które robią, bo ich tak Pan Bóg stworzył, że są tak samo za swe czyny nieodpowiedzialni, jak wilk, tygrys, jak wąż i gadzina; wypadałoby, że są prześladowani tylko za ciemniejszy kolor twarzy, za to że kochają swoją przeszłość i swoją religię; że jeśli czasami zgrzeszą, to oprócz złej natury, którą od Boga otrzymali, winni są temu chrześcijanie, którzy na nich przez całe wieki plwali—oni zaś sami

nic nie winni i są barankami ofiarnymi chrześcijańskiej przewrotności.

Prawda, że ani wilk ani żmija za siebie nie odpowiadają, ale też można je bezkarnie truć i strzelać; wątpię, czy tę konieczną konsekwencyę liberalni do swych protegowanych zastosować zechcą. Za kolor skóry nikt nawet murzyna przecie nie prześladuje, ani nim gardzi. Posądzanie swego społeczeństwa, że poniewiera żydem, bo „mu świeci jasno dawna chwała, że mu lice pała, gdy czyta dawnych proroków“, jest potwarzą tak szkaradną, że tylko milczeniem odpowiedzieć na nie można.

Pozostają wreszcie owe średnie wieki—stara bardzo piosenka. Przypuśćmy, że tak naprawdę było; ależ te wieki oddawna przeszły, a czemuż nienawiść nie ustaje? W Anglii katolicy, po najstraszliwszych prześladowaniach, podali ręce protestantom i żyją zgodnie, w Ameryce północnej jeszcze zgodniej; my sami Ormian nigdy za śniade oblicze nie prześladowaliśmy; na Ukrainie i Podolu jeszcze przed półtora wiekiem hajdamacy rznęli i palili szlachtę, która znowu ich ćwiertowała i sadzała na kół, obecni zaś potomkowie jednych i drugich żyją z sobą w najlepszej komitywie, a nieraz i miłości; tatarzy w Litwie osiedli, choć trzymali się Mahometa, byli uważani za braci i równych, dlaczegóżby tylko względem żydów był zrobiony wyjątek? Przyczyna rzeczywista wiadoma — i staje się nią dla coraz szerszych kół, bo i sam p. Gomulicki w 14 lat później dość ją dobrze sformułował w „Szajloku“, gdy mówi:

Stał (Szajlok) z czarnych oczów niecąc błyskawice,
Groźny, zawzięty jak zwierz, co krwią broczy,
I nagle . . . .

„Chrześcijańskiego ciała funt! funt ciała",
Ryknął i ręce wysunał, jak szpony,
. . . .
. . . .
I choćby nawet dusza moja cała
Moc swą skupiała w przywiązaniu tkliwem
I uścisk bratni mu ofiarowała—
Uścisk nie stanie się trwałem ogniwem,
Bo on wciąż będzie wołał o funt ciała. (1)

Tak,—jest rzeczywiście nienawiść religijna, ale po stronie żydów. Jak nić piekielna przez całą ich historyę przewija się nienawiść do krzyża nieubłagana; rzeczywiście jest plwanie, ale to z ich szeregów leci ślina wzgardy i wściekłości na krzyż Chrystusów i jego zwolenników, – i Krasiński doskonale scharakteryzował ich uczucia w słowach chóru Przechrztów: „Jehowa nas porozrzucał wszędzie — On nami, gdyby splotami niezmiernej gadziny, oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, głupich, dumnych, niepiśmiennych. Po trzykroć plińmy na zgubę im—po trzykroć przekleństwo im".

Jest naprawdę krzywda, rzeczywiście „krew ciecze z pod powieki i usta bieleją pianą" setkom tysięcy wywłaszczonych włościan, wyssanych do ostatniej kropli krwi obywateli, rodzicom zepsutych przez Izraela dzieci, ...tylko, żeby o tem wiedzieć, trzeba znać życie, trzeba mieć odwagę nie siadać przy stole Szajloków, trzeba wychylić głowę z zaczadzonej liberalizmem atmosfery syreniego grodu. Wtenczas poeta poznałby, że główną przyczyną antyżydowskich wybryków jest nie śniady kolor twarzy żydowskiej, nie

---

(1) Nowe pieśni. Z pieśni weneckich. Szajlok. Petersburg 1896.

przywiązanie do dawnej sławy, nie miłość dawnych proroków, nie średniowieczna wzgarda — lecz rozpacz zrujnowanego podstępnie chrześcijanina; wtenczas powtórzyłby... „głos zelżonego“ — tylko już na inną nutę.

Kiedy mowa o historycznych i socyalnych przekonaniach pana Gomulickiego, wypada wspomnieć o wierszu: „Z moich marzeń“. Poeta wypowiada w nim swe pojęcia o starożytnej Grecyi. Przedstawia ją sobie jako uosobienie szczęścia, rozumu, piękna i dobra. Z ust Platona „szczere złoto płynie“, Arystoteles zjawia się, jako „olbrzym z promieni, złota i granitu“, dokoła brzmią krzyki wesela, „szeleszczą mężów fałdziste chitony. Jedwabie niewiast błyszczą się od słońca“. „Grecyo czarowna, przemówił poeta, śpij nakryta nocą! Tyś pokonała geniuszu przemocą. Przemocą miecza ciebie pokonali“. Wreszcie takiem kończy melancholicznem zapytaniem:

Gdzie znaleźć mężów, coby stanąć śmieli
Z dziećmi Hellady, z kolosami trzema?
Gdzie ludzie-orły? gdzie ludzie-anieli?
Jest i dziś mądrość, ale mędrców niema.

Taki bezwzględny zachwyt dla Grecyi starożytnej przypomina mi inny wiersz jeszcze w tym rodzaju, mianowicie „Ze wspomnień greckich“ p. Glińskiego (który w wydaniu jego poezyj 1893 jest skrócony, ale ja go gdzieś czytałem w całości).

Jaki tam zachwyt dla Sparty, która jakoby wstrząsnęła tronem Xerxesa; gdy przewodnik wymówił wskazując ręką: „Sparta“, poeta sądził, że się „echa zerwą i w skał wąwozach odezwą się głucho, Leonidasa imieniem... „Wiersz (nieskrócony) bardzo

ładny, ale jak wszystkie podobne jest dalekiem echem dawnych uprzedzeń i przesądów. Poeci nasi i obcy, powtarzając ciągle dawno rozwiane złudzenia co do rzymskiej i greckiej przewagi i wyższości we wszystkiem, przekonywają nas, że chociaż mają niekłamaną ochotę przewodniczenia ludem, gdzie się podoba: na słońce, na gwiazdy, a choćby do głębin Erebu, chociaż chcą budzić do czynu i nie wiem do czego, to jednak nie chcą sobie zadać pracy poznania życia teraźniejszego i przyszłego.

Prawda, że Leonidas pięknie się znalazł, ależ teraz w każdej wojnie takich Leonidasów mamy tysiące! Sparta! ależ to były Prusy starożytne, pełne egoizmu, przewrotności, okrucieństwa, bez krzty serca i sumienia. Gdybym ja, jak poeta, stał na wysokościach Tajgetu, słyszałbym kwilenie wyrzucanych tam jak szczenięta dzieci, czułbym rozpacz Helotów, niedolę Messeńczyków, widziałbym tysiączne zbrodnie, zbrodnie tych Krzyżaków starożytności—i nie omamiłyby mnie wspomnienia wymusztrowanych szyków, ani przekazane przez historyę piękne słowa matki spartanki. Grecya miała krótką chwilę rzeczywistego rozkwitu, ale upadła zmożona nie mieczem, lecz własnem znikczemnieniem a rzymian wcale nie podbiła „geniuszu przemocą“, lecz jej synowie służyli im za trefnisiów, błaznów, fryzyerów i nauczycieli rozpusty.

Z ust Platona nie samo tylko płynęło szczere złoto, lecz i komunizm spółeczny i wspólność żon i niewola słabszych — no i na poetów nie był łaskaw, bo ich ze swej Respubliki wypędził. Nie będę się sprzeczał z poetą, że nie spotkał „ludzi-orłów“, ani z mędrcami nie obcował—powiem tylko, że to jego wina—zabawnie jednak brzmi poprostu pytanie; gdzie

ludzie anieli? Ależ najprostszy włościanin, który się raz do roku spowiada i żyje po chrześcijańsku, jest cherubinem wobec Sokratesów nawet i Platonów, bo na co ci „mężowie-aniołowie“ pozwalali sobie, tego ja powtórzyć nawet nie mogę. Poeta i tutaj jest echem liberalnych mędrców, którzy w piekle i wśród rogatych czy ogoniastych jego mieszkańców gotowi wyszukać mędrców i aniołów, byle ich nie widzieć w chrześcijańskiem spółeczeństwie. Pod wpływem tych samych pseudo-klasycznych pojęć napisany był także wiersz: „Ukochani przez bogów umierają młodo“, ma on służyć za pociechę po śmierci młodej dziewczyny i wyrażać to, co zwykle chrześcijanie oddają przez słowa Pisma Ś-go: „podobała się Bogu dusza jej, dlatego pośpieszył wyprowadzić ją z pośrodka nieprawości“.

W rozproszonych po całym zbiorku drobnych utworach znajdujemy wyraz filozoficznych i etycznych pojęć poety; poznajmy je w krótkości. W wierszyku zatytułowanym pretensyonalnie po łacinie „Frons“ (czoło)—co zresztą p. G. dość często zwykł czynić—opowiada poeta, jak z czoła poznawał co się w duszy dzieje. Przeciw tak niewinnemu złudzeniu oczywiście nic mieć nie można, zauważę tylko, że koniec jest niefortunny: „Najmniej takich znalazłem, które są jak morze—gładkie ciszą, a wewnątrz kryją światło boże...“ Właśnie, że wewnątrz morza nie jest światło, lecz ciemności panują i czół podobnych jemu mnóstwo znaleźć można: na zewnątrz cisza i majestat olimpijski, a we środku, ciemności egipskie. Nie bardzobym się także godził na „Życie“. Podług autora człowiek zaczyna od tego, że równy jest „rozumem kapuścianej głowie“, potem doskonali się coraz, aż gdy się zestarzeje „har-

monijnym wreszcie staje się posągiem; Jak orzeł widzi kresy ziemi i nieba. Myśl ma jasną, cierpieniom czoło stawia dumne. Zbadał zagadkę bytu i wie jak żyć trzeba. Szkoda tylko, że wówczas kłaść się musi w trumnę". Gdybyż tak było! Spotykałem wyznania, prawda, że tylko w poezyi, jakoby ludzie nie żałowali całego życia cierpienia, za jeden dzień kochania; nie wiem, jak tam jest w rzeczywistości, owszem, teorya taka wydaje mi się bardzo podejrzanej wartości w praktyce, ale co do starości, powiedziałbym, że gdyby człowiek naprawdę doszedł do doskonałości, o jakiej mówi poeta, to właśnie nic lepszego nie mógłby zrobić jak położyć się w trumnę. Jużcić lepiejby było, gdyby od młodości wiedział „jak żyć potrzeba" (mowa tu oczywiście nie o zasadach moralnych, lecz o praktyce życiowej), ale trudno, nie można być jednocześnie młodym i starym, dobrze jednak i szczęśliwie pod koniec życia dowiedzieć się, że się jest na dobrej drodze, więc niema czego żałować, bo dobra droga, do dobrej wieczności prowadzi, to jedno, drugie zaś, że taki mądry i doświadczony starzec, gdy rzuci wzrokiem na życie swoje i całej ludzkości, większej mądrości nie odkryje nad słowa mędrca „wszystko marność i utrapienie ducha" i nad określenie życia przez Hioba: „bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi", a kto długo bojował, niczego więcej nie pragnie, jak położyć się choćby do trumny i odpocząć; słodko mu powtórzyć z psalmistą: „w pokoju, wespół (z ojcami) spać będę i odpoczywać" Ironia więc poety nie wydaje mi się trafną.

Ładnym bardzo wierszem jest „Pytanie bez odpowiedzi". Poeta maluje pięknie, jak to on umie, wieczór w parku.

Szumiały olchy nad jeziorem,
Księżyc za listków błyszczał siatką,
Łabędzie pruły falę gładką,
W mroku nietoperz kreślił koła
I psów szczekanie biegło z sioła.

Wśród czarów wieczora i wiosny, tęsknota wionęła na poetę, który usiadł pod olchą pełen smutku i pytał:

Gdy świat obchodzi święto wiosny,
Gdy wszystko śpiewa hymn radosny,
Gdy głaz się nawet rozpromienia —
Dlaczego człowiek, król stworzenia, —
Wśród cudów błądzi sam w żałobie?
. . . .
A drzewa parku rozszemrane,
I wiatr co z fali zgarniał pianę,
I wieńcem dymów strojne chaty,
I gwiazd na niebie haft bogaty
I zamyślona twarz księżyca.
Wszystko szeptało—„Tajemnica"!

Któż z nas nie zadawał sobie tego pytania dawno, za młodu? Wtenczas odpowiedź była dla nas może naprawdę tajemnicą; dziś, ku schyłkowi życia, niema już jej wcale. Na wiosnę, gdy się całe rozwesela stworzenie, człowiek bywa smutny i tęskni dlatego właśnie, że jest królem stworzenia. I w nim cudza uciecha, radość powszechna na wiosnę budzi żywsze pożądanie radości i szczęścia, boć dla niego stworzony, a w duszy ma odpowiedź, że go tu nigdy w całości i na długo nie osiągnie, jak inne stworzenia dla ziemi stworzone. Wygnaniec, a choćby tylko wędrowiec, gdy widzi na obczyźnie radość i wesele tubylców, jak „Wędrowiec" Schuberta z tem żywszą tęsknotą wyrywa się sercem i myślą do swego kraju i swego domu i wzdycha: „O Boże, o Boże, ten kraj przed

zgonem raz jeszcze oglądać mi daj!“ Dla człowieka myślącego, tęsknota nasza na ziemi jest jedynym dowodem więcej, żeśmy nie dla niej stworzeni.

W obszerniejszym wyjątku „Z listu“ poeta odpowiada komuś, kto widocznie mówił mu o harmoni świata, celowości dziejów ludzkich i starał się postawić go na wyższem stanowisku, z którego mógłby dojrzeć jakiś ład i porządek w tem co się dzieje na ziemi. Poeta twierdzi, że tego dopatrzeć nie może, że go dręczy ból i niedola bliźniego i że już tak będzie z nim do śmierci: „bo wiem, że aby w zgodzie niezmąconej,—Żyć z przeznaczeniem blizkiem i dalekiem —I aby nie drżyć... na to być potrzeba—Czemś mniej, czemś więcej, lecz już—nie człowiekiem“.

Że autor będąc młodym, nie mógł sobie jeszcze dać rady z poglądem na świat, to nic dziwnego; żeby znaleźć nić przewodnią w jego poplątanych kolejach, trzeba dużo pracy, wyższego umysłu i światła wiary prawdziwej. Wtenczas można wiele zrozumieć, ale i wtenczas człowiek nie przestanie nigdy drżyć, boleć i cierpieć, bo nawet Zbawiciel ulegał tej konieczności każdego ziemi mieszkańca; zato ma zupełną słuszność poeta, gdy mówi, że dlatego trzeba być „czemś mniej niż człowiekiem“; bydlęta gdy mają co jeść, gdy ich osobiście nic nie boli, nie sięgaja po za żłób pełny i są szczęśliwe.

Ciekawy jest stosunek poety do kobiety, jest on daleko lepszym, niżby się z jego swawolnych nieco obrazków spodziewać było można. Z wiersza „Musisz kochać“ widać, że p. G. nie wierzy, żeby kobieta mogła mieć inne powołanie, niż miłość dla mężczyzny:

Próżno śląc w niebo oczy i westchnienia
Aniołom tęskną użalasz się mową,

Próżno upadłszy na pierś Chrystusową
Całując ręce i stopy z kamienia
. . . .
. . . .
Choćbyś tytanów myśli miała dumne,
I tę moc, która śmiertelnego trwoży,
Bezsilna padniesz, kiedy wyrok Boży
Każe ci wybrać: miłość, albo trumnę.

Zapewne, jeśli to będzie rzeczywiście „wyrok Boży“. Bóg jednak czasami inaczej wyrokuje, używając mężczyznę i kobietę do innej miłości i innego powołania. P. Gomulicki idzie tu za dość rozpowszechnionem mniemaniem, nawet wśród wierzących ludzi, że mężczyzna może zostać księdzem lub zakonnikiem; zakonnicą może być kobieta z niższych stanów, brzydka, stara — jeżeli jednak rzecz idzie o kobietę młodą bogatą i piękną... to napróżno, podług nich, całuje ręce i stopy z kamienia,—musi kochać, oczywiście nie Boga wyłącznie, tylko jakiegoś szczęśliwego mężczyznę. Poeta, mający być przewodnikiem i latający ponad gwiazdy i słońca, powinienby być wyższym i rozumniejszym od niższych ludzi, ale tym razem podziela ich błąd. Można go zań zbyt ostro nie sądzić, bo gdzieindziej ma lepsze pomysły i natchnienia. Nie zaliczę do nich wiersza, w którym daje rady jakiejś „Marmurowej“; — gdyby chciała je w czyn wprowadzić, znalazłaby się nielada kłopocie, tak są sprzeczne:

Lubię cię za to, żeś piękna i dumna,
Żeś nieugięta jak grecka kolumna,
Że masz na ustach olimpijską wzgardę
I że wysoko nosisz czoło harde.

Jestto gust, podług mnie dość osobliwy, bo nie wiem za co hardych i gardzących drugimi lubić można, ale

de gustibus non disputandum, pomimo jednak takiego upodobania, poeta na końcu upomina swą „Marmurową“:

Lecz kiedy hołdy brać będziesz od ludzi,
Niech grzeszna pycha w tobie się nie budzi.

Trudno jedno z drugiem zgodzić; a nawet wcale niemożliwe.

Bardzo piękny, bardzo rzewny i bardzo poczciwy jest wiersz: „Nie odchodź“.

O, nie odchodź odemnie, ty coś stała zawsze
Na straży moich marzeń, jako gwiazda złota!
. . . .
. . . .
Jam przywykł na świat patrzeć oczyma twojemi.
Gdy odejdziesz, któż będzie mówił mi o niebie?
Gdy odejdziesz, któż będzie mówił mi o ziemi?
. . . .
Bez ciebie świat się cały powleka żałobą,
Bez ciebie gwiazdy gasną w błękitnem przezroczu
O, nie odchodź odemnie—albo weź mnie z sobą!

„W parku“ - przed krzyżem kamiennym, ocienionym brzozami, zszedł ją poeta, „gdy płacząc, jak marmur biała, płonącemi ustami kamień całowała“ — i zdało się mu, „że skrzydła widzi u jej ramion... że światła niebiańskiego pełną... duchy wezmą i w błękit na skrzydłach zaniosą“. Wówczas, powiada dalej:

Ukląkłem i wysłałem w oczy duszę całą,
Bom chciał, nakształ błyskawic ognistego piętna,
Odbić na nich jej postać powiewną i białą,
A potem, ziemskich pragnień wyrzekłszy się zgoła,
Uciec od niej—aniołom oddając anioła

W podobnym tonie utrzymane—„Anielskiej“.

Byłaś piękną, jak Ewa marząca w Edenie,
Promienną, jak Cheruby na obrazach Giotta,

Trwożną, jak pierwsza miłość, czystą jak westchnienie,
Świętą, jak zakonnicy za niebem tęsknota.
. . . .
. . . .
Odgadłam żeś myślami anielska, odgadłem
Że niebo się przegląda w twem sercu jak w fali —
. . . .
Że masz wiarę ascety i świętość anioła,
Że cię skrzydła Serafów od upadku strzegą...
Tak różni! a duch jednak rwał mi się do ciebie,
Gwałtowny, jakby serce pragnął zabrać z łona.
I na dnie ciemnych mroków marzyłem o niebie,
Jak o źródle beduin, gdy na piaskach kona. .

Przyjemnie i raźniej jakoś robi się na sercu, gdy się czyta podobne wiersze.

Wprawdzie autor ich może już nie napisałby jak Mickiewicz:

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,
Dziś anioł tobie niejeden zazdrościł;
Ty spuszczasz oczy, które bóstwem gorą!
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą,
Święta i skromna! . . . .
. . . .
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jedną tak jak tą przemarzył.

P. Gomulicki może już tego górnego nie doznaje nastroju, ale jednak ile jeszcze pięknych rzeczy u niego zostało! Zostało rzewne, poczciwe uczucie dla kobiety, z którą o niebie rozmawia i widzi w niej coś więcej, niż biodra, skórę białą, włosy długie, no i chuć zmysłową, jak adepci najnowszej szkoły wierszokleckiej (bo nie godzi się powiedzieć: poetyckiej). Co więcej, umie on w niej uczcić wiarę i czytość i świętość anioła, pomimo tego, że sam już tych zalet sobie nie przyznaje, „tak różni, a duch jednak rwał

mi się do ciebie". To wszystko każe wnosić, że nie musiały to być zupełne mroki, wśród których jakoby błąkał się poeta. Śmiało bowiem powiedzieć można, że stosunek do kobiety jest probierzem wartości mężczyzny.

Jeśli w tym stosunku jest poczciwa miłość, nadewszystko jeśli jest cześć i szacunek, tam mężczyzna jest wielkiej moralnej wartości i niech o sobie mówi co chce, w sercu jego i głowie niema jeszcze zupełnego mroku — tleją jeszcze iskry, może nawet ogień płonie. Nic dziwnego, że u p. Gomulickiego znajdujemy szlachetny i poczciwy stosunek do kobiety, bo z poezyj jego widać, że niezupełne go jednak ciemności otoczyły, bo ma wiarę, — może niezupełną, może chwiejną, ale ją ma.

Widać to nietylko ze wspomnianych przez p. Chmielowskiego krótkich wierszów: „Modlitwa" i „Bóg tak chce", lecz jeszcze bardziej z „Nocy czerwcowej"; p. Chm. ją pominął, chociaż należy do najpiękniejszych rzeczy z całego zbiorku. Do mrocznej celi poety wpadł srebrny promień księżyca, przedarł się przez polne kwiaty stojące w oknie, posrebrzył twarz poety, „a komnatę—w urok Faustowy ubrał i blaski" —za promieniem księżyca przyszły marzenia, a za niemi „cicho—snów zeszedł anioł w szacie z promieni .." Serce samotnika wezbrało, więc się modlił:

. . . . ,

Panie! Tyś w gwiazdy ubrał obłoki
Aniołów w skrzydła, a w zapach róże:
Ty głuszy leśnej dałeś słowika,
Przepaściom orła, a orłom burzę;
Słońce, gdy gasnąc drzwi dnia zamyka,
Twą wolę pełniąc, gaśnie w purpurze;
Maj się kwiatami pyszni, a kwiaty

Motylków rzeszą; noc ma sny złote,
Jutrzenka pacierz, zdrój ciche łkania,
Boleść nadzieję, co upaść wzbrania,
Bór paproć, dziewczę śmiech i pieszczotę,
A ludzkość — Ciebie!
Przed Twem obliczem,
Panie, ja sługa Twój, jestem niczem...

Oprócz wymienionych utworów, można przytoczyć jeszcze następujące z wydania 1887 r., idąc za p. Chmielowskim. Znajdują się więc tam opowiadania w ulubionym przez p. Gomulickiego żartobliwym rodzaju: „Non omnia vanitas" i „Kocia", dalej opisy natury w siedmiu sonetach p. t. „Sub tegmina", kilka utworów wyrażających współczucie dla cierpiących: „Głodnego nakarmić", „Bez chleba", „Na zgliszczach". W poemacie *Żydzi* p. Gomulicki — powiada pan Chmielowski — wyprowadza na scenę różnorodne głosy potępiające ów lud i skazujące go na zagubę z powodu przywar właściwych rasie, wśród nader nieprzyjaznych okoliczności rozwijających się, a sam pod imieniem „poety" głosi słowa wyrozumiałości i miłosierdzia." Zapewne, wyrozumiałość i miłosierdzie są tak pięknemi cnotami, że zalecać je można zawsze i każdemu, zdaje mi się jednak, że uczciwość i sprawiedliwość są jeszcze bardziej potrzebne, a ponieważ „Żydów" nie czytałem, więc nie wiem czy im te cnoty nasz poeta nie zalecał—a od tego zacząćby powinien.

Przy tem zrobię jedno jeszcze spostrzeżenie; nasi obrońcy judaizmu, poeci i prozaicy, ustawicznie dają do zrozumienia, że „właściwe tej rasie przywary zakorzeniły się w niej w skutek nieprzyjaznych okoliczności w jakich się rozwijała"; gdyby mój głos skromny doszedł ich kiedy i na odpowiedź zasłużył, prosiłbym o wytłomaczenie, dlaczego naród irlandzki, od

600 lat znajdujący się w warunkach daleko gorszych niż żydzi, nie rozwinął jednak w sobie tych miłych zalet, które żydów czynią tak drogimi — większym i mniejszym przeciwnikom chrystyanizmu. Utwory te i kilka pomniejszych niczem zdają się nie różnić od znajdujących się w „Lirze polskiej“; możemy więc przystąpić do określenia charakteru i istoty twórczości p. Gomulickiego, o ile się w jego poezyach objawiły, a powiem odrazu że nie rozumiem, dlaczego nieokreślo-ność wydała się p. Chm. ich cechą charakterystyczną; absolutnie nic w nich nieokreślnego nie widzę.

Przedstawia mi się tedy p. W. Gomulicki jako poeta obdarzony rzeczywistym talentem i jako człowiek nadzwyczaj sympatyczny. Dar jego poetycki nie sięga zbyt daleko, ani głęboko, ale kiedy maluje obrazki, których treść zgodna z jego żywem i pogodnem usposobieniem, powstają prawdziwe żywe postacie, które zdaje się widzimy, jak np. „Chloe“. Czasami, gdy głębsze uczucie zadrga w duszy poety, gdy poruszoną zostanie czuła jej struna, rodzą się obrazy głębsze i jeszcze piękniejsze, jak np. „El more rachmim“. Czar natury p. Gomulicki odczuwa głęboko i ślicznie go oddaje; dla bliźniego ma serce czułe i dobre, chociaż te uczucia wyraża przeważnie w sposób raczej retoryczny niż poetyczny; dla kobiety ma uczucia, jakie mieć powinien człowiek szlachetny i uczciwy; prawdziwe i zacne uczucie wieje np. z „Nie odchodź ty odemnie“ — szacunek z innych, przytoczonych przezemnie poezyj. Nad tem wszystkiem świeci wiara. Nie jest ona tak żywą, jakby życzyć należało, nie przenika ona, jakby powinna, całej duchowej istoty poety, jak krew dochodzi do najmniejszej części jego ciała, nie jest zapewne dość wykształcona,

dość siebie świadoma, ale jest i jej działanie jest bardzo widocznem. Nietylko podnosi ona serce poety do modlitwy, nietylko daje mu siłę do powiedzenia w trudnych chwilach życia: „Bóg tak chce“, ale ona to jest źródłem współczucia dla cierpiących, ona oddala brzydki egoizm, zwątpienie; jej poeta zawdzięcza, że nie wszedł sam i czytelnika ze sobą nie pociągnął do kałuży lubieżności, jak to czyni najmłodsza szkoła, że poezye jego noszą na sobie cechę szlachetności i przyzwoitości. Obok tych zalet nie jedno znajdzie się do zarzucenia. Widoczny jest pociąg do nienaturalności i stawania na koturnach, tak że sam poeta nie zawsze stosuje się do rady danej drugim; powiedziałbym także, że zadanie poezyi nie dość wszechstronnie pojmuje, może zresztą nie mógł czy nie chciał wszystkiego wypowiedzieć.

Nie policzyłbym również do zasług częstego posługiwania się tytanami i Tyrteuszem; jest to wprawdzie grzech wspólny wszystkim naszym współczesnym poetom, ale gdyby oni wiedzieli jak nam te tytany i ten utrapiony Tyrteusz już dokuczyli i obrzydli! Dalej, dają się postrzegać wpływy modnych prądów: widoczne są one poczęści w roztrząsanych już przezemnie pojęciach filozoficznych i etycznych, przedewszystkiem jednak w kulcie pogaństwa greckiego i żydów. Poeta zdaje się nie znać dziejów chrześcijaństwa, nie wspomniał bodaj ani razu nie już o świętych naszych, chyba jako przymiotnik tylko, ale choćby o bohaterach, rycerzach, mędrcach; chrześcijańskie instytucye i dzieje, wpływ chrześcijanizmu na ludzi i historyę, dla niego jakby nie istniał wcale; nie spotykamy też u niego tych głębokich poglądów w przeszłość i przyszłość, jakie daje tylko nasza wiara, ale

upiera się zato przy idealizowaniu greków, o rzeczywistej ich zasłudze i rzeczywistych nieobliczonej szkodliwości wadach nic nie wie i prawi nam o bogach, jakbyśmy żyli w szesnastym wieku.

Jest to wpływ oczywisty pogańskiego prądu, który pod różnemi imionami zalewa i porywa z sobą nasze sfery inteligentne. Ten sam wpływ sprawia, że p. Gom. trzyma się oryginalnej metody zwalania wszystkich wad żydowskich na społeczeństwo chrześcijańskie, ulegając oczywiście źle zrozumianej tolerancyi. Pomimo tych wad powiedziałbym, że gdyby pan Gom. poszedł na prawo, gdyby przez badanie i praktykę poznał lepiej wiarę i chrześcijanizm, nabyłby większej głębi uczuć i poglądów, większego zamiłowania prawdy i prawdziwości, otrząsnąłby się z zachcianek sztuczności i byłby śpiewakiem nie pewnych tylko sfer, ale całego narodu, mógłby być jeśli nie słowikiem, to w każdym razie skowronkiem. W jakim kierunku poszedł, najlepiej objaśni ostatni zbiór jego poezyj p. t. „Nowe pieśni" wydane w Petersburgu 1896 r.

Na początku tego zbioru znajdujemy rodzaj przedmowy p. t. „Śpiewaj". Widzimy w niej pojęcie o poezyi zmienione stanowczo w najnowszym duchu. Poeta tłómaczy się, że niema komu śpiewać, a ktoś mu odpowiada:

Więc zerwij czasu krępujące pęta,
Bądź samem pięknem, bądź poezyą samą,
Śpiewaj wieczności. . . . .
. . . .
Bądź jako słońce, jasnością swą dumne,
Co nie dba kędy blaski jego padną.
. . . .
. . . .

Mniejsza, czy echo ozwie się gdzie nizko.
I czy słuchaczów doczeka się pean.
Komuż swe pieśni wygrzmiewa ocean?
Słońce czyż z siebie czyni widowisko?

Odrazu czytelnik doznaje przykrego niezmiernie wrażenia. Najprzód co za pycha bije z tego porównania swoich pieśni do blasku słońca i fal oceanu, a powtóre teorya owa pisania „dla wieczności" jest od pierwszego rzutu oka fałszywą. Gdyby poeta sam w nią wierzył, to by wydynia swych „Nowych pieśni" nie powierzał p. K. Grendyszyńskiemu w roku Pańskim 1896, lecz zabrałby je z sobą do trumny i dopiero wydobył z zanadrza, wracając po szczęśliwie odbytej rozprawie na dolinie Jozefata.

Na wstępie więc zaraz widzimy, że poeta zapomniał o dawanej niegdyś innym radzie: „bądźcie sobą"! Dalsze czytanie, niestety, wzmaga w nas przykre uczucie, bo widzimy coraz częściej pretensyonalność i brak naturalności. Widać to choćby z podziałów książki, jak np. „Wzloty", „Pod ciosem", „Z rozmyślań", a jeszcze więcej z poszczególnych wierszy. Tak więc pierwszym z nich jest „Ave", „Bądź pozdrowiona" pomyślałby kto, że „Marya", bynajmniej: „myśli".

Bądź pozdrowiona Myśli
Promienna, śmiała!
Nic nie zatrzyma cię w locie,
Gdy świateł niecąc krocie,
Do ruchu budzisz ciała.

Trzy czwarte bodaj całej książki zapełnione są podobnymi wierszami, których treścią są rozmaite sentencye, pomysły, spostrzeżenia, czasami jest w nich prawda, często bardzo wątpliwej wartości uwaga, ale

poezyi—bardzo niewiele. Już np. sam tytuł wskazuje, czego wart pomysł: „Wszechmoc człowieka“ pomimo tej mniemanej wszechmocy, autor często, zaczęsto nawet, narzeka na niedołęztwo człowieka. „Jeden i jednakowy“ kończy poeta tak:

Więc czy zamknięcie dni trwało czy lata,
(duch) Porzuca je (ciało) niezmieniony
I jest tym samym, czy z pączka wylata,
Czy też z okwitłej korony.

Ze duch jest w takim razie jeden, ten sam, to pewna, ale nie jest jednakowym, bo duch rozwija się, wyrabia się, kształci.

Jeszcze dziwniejszym wydaje się „Czyj jest las?“ Ptaszę, owad, trawy, słońce, drzewa, wreszcie kupiec, każdy chce las mieć za swoją własność.

A poeta pilnie zważa
Co wassale gwarzą leśni,
Potem wszystko wkłada w pieśni
I w tych pieśniach las odtwarza;
Las z nim śpiewa, las z nim gada—
Czyż nie on to lasem włada?

Powinszować łatwego nabytku, ale jakoś on bardzo przypomina znane przysłowie: przez imaginacyę, pojechał na koronacyę.

Obszerne działy zatytułowane «Pod ciosem» i «Z rozmyślań» są jednym nieprzerwanym wylewem pessymizmu, zwątpienia i zniechęcenia. Takie np. rozpaczliwe poglądy spotykamy w „Pod muzykę dzwonów:“

Niepowstrzymany niesie nas prąd
Tajemnic pełen a niemy,
Kto nim kieruje, dokąd i zkąd,

O tem nic zgoła nie wiemy.
. . . .
. . . .
Cierpię, więc jestem—potem co?
Cóż niesie przyszłość zakryta?
Czy świeci słońce za śmierci mgłą?
Czy kwiat uwiędły odkwita?
. . . .
. . . .
Wszystko niepewność i wszystko kłam,
Jak sen to życie przepływa—
I jednę tylko tu prawdę znam.
Ból, co mi serce rozrywa.

Chyba Leopardi nic bardziej ponurego nie napisał: „Życie krótkie“ kończy się westchnieniem: „Życie krótkie. . . O czemuż nie jest krótsze jeszcze!?“ Podobnym zupełnie nastrojem naznaczone są i dalsze wiersze, dla przykładu przytoczę jeszcze „Prośbę“.

Gdybym koniecznie już miał
Przecierpieć mękę istnienia,
To duszy mojej, o Boże,
Daj ciche, senliwe łoże
I wybierz dla niej z miliona ciał
Ciało kamienia.
Gdybym koniecznie już miał
Rosnąć i więdnąć na ziemi,
To duszy mojej, o Panie,
Daj nizkie, proste posłanie
I jej doczesny porównaj dział
Z trawy polnemi.
Niech myśli szalony ruch,
Spętawszy i uwięziwszy,
Złączę się z ziemią przez ziemię,
A może ból mój zadrzemie—
Bo im leniwiej tli w kim duch
Tem on szczęśliwszy.

Co za osobliwe mniemanie i jak pogodzić, z „wszechmocą człowieka“? Jakie to wszystko dalekie

od tytanów i Tyrteusza! W dziale: „Z rozmyślań" bynajmniej nie lepiej się dzieje. „Bez spoczynku, bez szczęścia" zaczyna się od zapewnienia: „Nie, ty nie będziesz już nigdy szczęśliwa Ludzkości, głodów wieczystych ofiaro!" Przepadły więc owe jakieś błękity i jasności, do których wedle zdania poetów, ludzkość kroczy pod egidą wiedzy i lada dzień już ma wkroczyć. Poezya nawet, której poeta przeznacza szczytną rolę budzenia, przewodniczenia, wskrzeszania, sama jest już „Moritura, mająca umrzeć". W „Eironeia" (ironia) kiedy miłość ludzi szepcze *jemu*, że „Trzeba cierpieć i ofiar iść drogą,—Nagle gorycz wykrzywia mu usta:— Duch szyderca zasyczał: Dla kogo?"

Staczać się w przepaść, liczyć śliskie stopnie
Od cichych smutków do wzniosłej rozpaczy;
Wiedzieć, że nigdy nie będzie inaczej
Ach to okropnie
Lecz na dno samo runąwszy, jak kamień,
W głuchem zdrętwieniu rozprostować pięście;
Zgubić nadzieję, dojrzeć kres omamień,
To prawie szczęście...

Niechże nas wszystkich Pan Bóg zachowa od takiego szczęścia, a nietylko nas, lecz i nieprzyjaciół naszych! Kiedy się przebrnie przez całą książkę podobnych rymów pełnych bolu i zwątpienia, próżnych nadziei i wiary, doznaje się wrażenia, jakby po śnie długim a ciężkim, jakby po spędzeniu strasznej zmory, która pierś we śnie dusiła. Z jakąż rozkoszą zwraca się wtenczas wzrok i serce do tych poetów, którzy po życiu walki, cierpienia i pracy mogli nad grobem wyśpiewać taki piękny śpiew łabędzi, jak np. Ludwik Veuillot. Żałuję niezmiernie, że nie mając go pod ręką przytoczyć nie mogę dla kontrastu. Kończy się strofą, w której słynny wojownik za sprawą Bożą, pro-

si, by do rąk mu dano „*le Christ mon orgueil. Aux pieds mettez mon volume, Et clouez en paix le cercueil*". Albo jaka pogoda i spokój wieje ze znanego pożegnania L. Siemieńskiego: „Komu w drogę, temu czas".

Snem wszystko! Mleczną drogą z gwiazd wybudowaną
Pójdę ku słońcom w przestwory szafiru,
Gdzie czysta prawda będzie mi podaną,
Wykuta, jakby z porfiru.
Żal mi serc kilku... moi! żal mi was...
Komu w drogę—temu czas!

Po cóż jednak sięgać do poetów, znam i znałem nie jedną i nie jednego, którzy dwóch wierszy nie złożyli nigdy, ale byli poetami w życiu i śmierci. Znałem słabe, blade, niewiasty, które po życiu w biedzie i walce spędzonem, konały w mękach, kładąc pocałunek na Krzyżu Zbawiciela; znałem i znam ludzi, którzy nie zaznali szczęścia i spokoju, nie złożyli broni ani rąk na dzień jeden, a gdyby poeta nasz, umiejący rzekomo czytać z czoła treść duszy, spojrzał na te zmęczone postacie, toby na ich czole, w ich oczach wyczytał słowa wyrzeczone na polach Waterloo, przez żołnierza do szpiku kości: *la garde meurt, mais ne se rend pas*. Tak, ale ci poeci, te kobiety, ci wojownicy widzą, „kto, skąd i dokąd kieruje prądem świata" wiedzą „czy świeci słońce, za śmierci mgłą", ale też oni szli za krzyżem Chrystusa, wierzyli w Niego i kochali Go. U naszego zaś poety, wiara lubo i w „Nowych pieśniach" tli jeszcze słabą iskierką, przygasła jednak niezmiernie, nic nie oświeca i nic nie ogrzewa.

To też ideały jego pod każdym względem są słabsze i niższe niż w dawniejszych poezych—jeśli jeszcze są. Oto naprzykład, patrzmy jaki jest obecnie stosunek do kobiety:

Czem ta ziemia? Okrwawiona knieja,
Gdzie się gryzą ludzie i zwierzęta.
Czem to niebo? Gwiazd i chmur zawieja,
Co nas straszy, zimna, niepojęta.
Czem to życie? Zawodów łańcuchem,
Potykaniem się ciągłem w ciemności,
Bojem z ludźmi, walką z własnym duchem,
Splotem chorób, nędz i nieprawości.

Przeszłość w mogile, przyszłość zakryta,
Na progu boleść, nicość u mety. . .
I jeden tylko kwiat tu zakwita:
Miłość kobiety.

Jak ten wiersz przypomina inny, wyśmiany (najsłuszniej zresztą) przez p. Chmielowskiego w przedmowie swej książki o poetach.

Z pod sukni nóżka wyjrzała zgrabniutka,
I tak mi dziwnie stało się na duszy,
I tak zdradliwie coś szepcze mi w uszy:
Życie tak smutne - nóżka tak malutka!

„Przyznacie panowie, dodaje autor od siebie, że uwaga jest genialna i arcy logiczna!“ Że nie genialna, na to zgoda, ale jest daleko logiczniejszą, niż się p. Chm. zdaje, logika zaś tkwi w tem, że człowiek bez szczęścia i pociechy żyć nie może, więc jeśli jest miałkiego ducha, albo też jeśli stracił ideały wyższe, jeśli nie umie oryentować się w prądzie życiowym i zapomniał: kto, skąd i dokąd nim kieruje, jeśli stracił pewność lub nadzieję, że za mgłą śmierci jaśnieje słońce, pociechy gdzie ją znaleść może i bierze co znajdzie, najpospoliciej więc pocieszają się miłością zmysłową; a czy kto wyrazi naiwnie: „nóżka tak malutka“, czy też trochę dystyngowaniej nazwie „miłość kobiety kwiatem, którego wśród jałowej istnienia pustyni prawie boską jest władza“, to już istoty rzeczy nie zmienia.

Do takiego też poziomu spadł pod tym względem pan Gomulicki obecnie; takim też żarem zmysłowości tchną jego obrazki najnowsze, jak: „Ekloga“, „Zrozumiała“; prawda, że tlejąca jeszcze iskra wiary, dobre wychowanie i szacunek dla samego siebie wstrzymały poetę od obrzydliwości najmłodszych poetów, ale jeszcze dwa, trzy kroki w tym kierunku, i p. Gomulicki znalazłby się na jednym poziomie z p. Tetmajerem. Jest w „Nowych pieśniach“ kilka obrazków i opowiadań, ale mi się one wydały daleko gorszymi od dawniejszych—jakieś blade, niezajmujące, jak np. „W kamienicy pod okrętem“, gdzie autor sili się na rubaszny staropolski styl. „Z pieśni weneckich“ —składa się z trzech obrazków z Wenecyi, gdzie o niej wprawdzie mało, ale zato o sobie mówi poeta więcej, i to w dość mglisty sposób. Tę zresztą niejasność i mglistość spotyka się w „Nowych pieśniach“ nadzwyczaj często. Jakiemi są „Strofy uliczne“ i czy jest w nich choć kropla poezyi, najlepiej odpowie pierwsza z nich:

Nizko mgła się wlecze brudna
Po ziemi,
Gaz połyska w niej oczami
Żółtemi. . .
Łatwiej duszy skrzydła zwinąć
Dla chleba.
Niż wśród mgły tej znaleść drogę
Do nieba.

Dalej mówi się w tych „Strofach“, że „na ulicy, jak na scenie, każdy sztuczną miewa twarz“; o kobietach—że „każda mężczyznę łatwo usidli westchnieniem lub uśmiechem, lecz śmiech i smutek nie z serca płynie, teatrów one echem“. To znowu „tu ci melodya rozmodlona załaskotała słodko nerwy, tam w nagie chwyta cię ramiona orgia uliczna rozbestwiona.“

Wśród tak niepoetycznych obrazków, sentencyi ubranych w rymy, zwątpienia i zniechęcenia, odezwie się czasem nuta poetyczna, trafi się jakiś kwiatek żywy i naturalny, ale ta nuta prawie zawsze wtedy tylko, gdy poeta wróci myślą i sercem do lat dawno minionych, do wspomnień dzieciństwa i młodości.

Do takich zaliczam: „Gdy się w sercu zrobi cisza" „Moja rzeka", „Przy słońcu", „Dzwony". Piękne są także niewielkie obrazki, lubo już brakuje im dawniejszej wyrazistości: „Rózia", „Michał Rakieta", „Dziwożona", „Nocą na morzu". Streszczając to, co się o „Nowych pieśniach" powiedziało, z łatwością spostrzeżemy, że autor ich poszedł nie na prawo, lecz na lewo. Poniósł go prąd płynący po wielkich miastach, porywający wielu bardzo, zwodząc hasłami postępu, nauki, najnowszych zdobyczy cywilizacyi i t. p. głośnych wyrazów: owiał go wiatr, wiejący w tamtych sferach, a działający jak wyziewy delfijskiej jaskini na Pytyę; głosiła ona jakieś niby wieszcze i mądre wyroki, w rzeczywistości jednak była odurzoną i chorą. Ludzie tem powietrzem owiani uważają się za mądrych, wiedzących, cywilizowanych, na nas wierzących patrzą z góry jako na prostaczków, a jednak wkrótce ich własne zeznania świadczą, że są chorzy, że niebo i ziemia, życie i śmierć, teraźniejszość i przyszłość, osłoniły się w ich oczach mgłą nieprzejrzaną, czarnym kirem smutku i zwątpienia. Czasem tylko błyśnie jak kawałek błękitu przez chmury przerwane, wspomnienie dawnych czasów wiary i nadziei, albo też zapełga kaganiec namiętności i na życie smutne da kroplę haszyszu—w „nóżce malutkiej".

Ten kierunek odbił się widocznie a fatalnie na „Nowych pieśniach" p. Gomulickiego; pieśni rzeczy-

wistych jest bardzo wśród nich mało, ogromną większość stanowią wiersze, może pod względem technicznym skończonej piękności, ale cóż, kiedy bez poezyi w treści. Mam też wielką wątpliwość, czy będą kiedy świeciły jak słońce, lub huczały jak fale oceanu, bo są, mówiąc bez ogródki—bardzo nudne.

P. Czesław Jankowski wydał swe poezye w sześciu zbiorach, powtarzając nieraz w następnym to, co już było w poprzedzającym; ostatniem z tych wydań jest „Wybór poezyj" z r. 1897. Rzecz wiadoma, że Czesław (jak się najczęściej podpisywał) słynie z wielkiego zamiłowania formy, którą też nieraz do prawdziwego doprowadza mistrzowstwa, że jest wirtuozem półtonów i półcieni, i że jest wielbicielem Heinego. Nie o formę jednak ani o muzykę wierszy jego idzie nam w tej chwili; chciałbym zaglądnąć do rdzenia kwiatu, chciałbym zbadać jakie on ma korzenie i jakie soki ciągnął ze swego gruntu. Przypatrzmy się więc treści utworów Czesława, a najpierwej zobaczmy, jakie wyobrażenie poeta ten miał o poezyi; rzuci ono niemało światła na zajmujący nas przedmiot. Z początku widzimy go w kłopocie właściwym czasom upadku poezyi. Czesław narzeka, że nie widzi przedmiotu *nowego* do swych śpiewów, bo wszystko już przed nim opiewano.

Już wyśpiewano
Wszystko na ton rozmaity:
Niebios błękity,
Majowy wieczór i ranek
Płochość kochanek,
Twarz łzami zalaną
Już wyśpiewano...

Zwykła skarga poetów, którzy chcą śpiewać, ale nieczują i nie patrzą oryginalnie, więc nadzieję powo-

dzenia opierają nie na własnej sile, lecz na nowości przedmiotu. Później horyzont widzenia rozszerzył się, przybyło samodzielności, zawsze jednak pogląd na poezyę dość ciasny pozostał, a przekonanie o jej stanowisku obecnem bardzo pessymistyczne.

Gdzie się podziała, pieśni, dawna twa potęga
I twoja moc i władza nad sercami ludzi?
W odmęt walk tytanicznych głos twój już nie sięga,
Do czynu nie zagrzewa, zapału nie budzi.
. . . .
. . . .
Daremnie ty się zrywasz, o tyrteuszowa
Bojowa pieśni, i ty która przyoblekasz
Chwilowe hasło wieku w dźwięk misterny słowa,
Lecz ty spokojna, dumna, ty, co nie wyrzekasz
Na obojętność tłumów, ty wieczyście nowa
Westalko Piękna- ty się tryumfu doczekasz
(Poezye. 1884. «Pieśń».)

Więc i tutaj, jak u p. Gomulickiego, widzimy cofanie się poetów od głębszej czy piękniejszej treści, do samej tylko piękności formy; gotuje się hasło dziś rozbrzmiewające: sztuka dla sztuki. Jestto moda współczesna, a dodam, bardzo naturalna, a nawet konieczna. Kto nie ma treści w sercu ani w głowie, musi całą swą wartość zasadzać na zewnętrznych formach; dla Podfilipskich i poezya być musi podfilipską, to jasne. Oryginalnem mi się tylko wydaje, że Czesław ubolewa: „daremnie ty się zrywasz pieśni, która w misterny dźwięk słowa przyoblekasz chwilowe hasła wieku"—i tuż zaraz przepowiada tryumf pieśni, która właśnie to czyni: t. j. hasło wieku; „sztuka dla sztuki" czyli „piękno dla piękna" ubiera w misterny dźwięk słowa — i nieraz oprócz dźwięku nic więcej nie posiada. Zabawne niedopatrzenie.

Na obecne stanowisko poezyi wśród ludzi, Czesław zapatruje się bardzo pesymistycznie.

W girlandy rymów, w barwnych słów równianki
Strojna, poezyo, gdzieś ty z czary twemi?
W prochu i błocie po ścieżynach ziemi
Po co ci szargać dziś togę kapłanki?
Gdy dźwięczne rytmy gdzieś nagle zadzwonią,
Ten, ów, pogardą wzrusza ramionami:
Poezya? po co? Któż tam prosił o nią!
Dziś miejsca dla niej niema między nami!

Ech, tak źle znowu nie jest—gdyby poeci chcieli mnie trochę wierzyć, tobym im powiedział sekret cały. W tych sferach, w których się oni zwykli obracać, naprawdę może niema poezyi, ale oprócz błyszczącej a wyziębionej warstwy bezwyznaniowej, albo obojętnej inteligencyi, jest jeszcze inna inteligencya, jest całe społeczeństwo umiejące i kochać i wierzyć, lubiące poezyę i mające dla niej bardzo dużo miejsca, pod jednym tylko warunkiem—żeby to była naprawdę poezya, nie zaś ta, która tylko chwilowe hasła wieku w misterne przyobleka dźwięki, albo co gorzej, jest tylko—*vox, vox, vox praeterea nihil* (słowa — nic nadto). Czesław powiada dalej, że jednak „poezya gości między nami", tylko trzeba umieć ją widzieć; więc naprzykład jest w pięknej naturze, — w ubogiej kobiecie przemykającej się przez ulice z dzieckiem na ręku, — w pożegnaniu rozstających się kochanków, słowem „wszędzie, gdziebądź się baczniej wzrok zagłębi w życie". (Rymów nieco—Poezya).

Na ten ostatni wiersz można się zgodzić, wszakże nasz poeta nie zagłębia wzroku wszędzie, wybrał on sobie pewną tylko sferę — czego mu oczywiście ani trochę za złe mieć nie można—i z niej czerpie tematy do swoich utworów.

Na pierwszem miejscu postawiłbym zbiorek niedługich utworów w liczbie dziewięciu, p. t. „Między nami". Są to pastelowe obrazki, całe w świetle, malowane z ogromną zręcznością, swobodą i dowcipem, a przedstawiające dzieje młodego i kochającego się małżeństwa. Niezmiernie to udatne i miłe, nie wiem tylko co tam robi „Na cztery ręce", które mąci harmonię i najwyraźniej należy do czegoś i do kogoś innego.

Do bardziej pięknych i udatnych utworów Czesława zaliczyłbym interpretacye muzyki i tańców; takiemi są np.: mazurki p. t. „Wędrowny grajek", krakowiak:

> Szedł raz z wojskiem król na wojnę,
> Szedł na wojnę, szedł na wojnę,
> Szły za królem poczty zbrojne,
> Poczty zbrojne, hufce zbrojne.
> («Powrót».)

prawdziwemi jednak w tym rodzaju arcydziełami wydają mi się „Menuet" powszechnie znany:

> Sala w barwach, w blaskach tonie,
> Kandelabrów światła drżą. . .

i „Z motywów Szopena"—

> Gry twej cudnej—wciąż ją słyszę—
> Czar nadenmą trwa.
> Świat w bezbrzeżną zapadł ciszę,
> Noc jaśminów wonią dysze,
> Do snów dawnych mię kołysze,
> Twoja pieśń mi gra.

Niewiadomo co tu więcej podziwiać, czy niezrównaną muzykę wiersza, czy doskonałe obrazowanie, czy wyborne zastosowanie formy do przedmiotu. Ostatni utwór np. jest tak pod tym względem doskonałym, że kiedy go czytam, zdaje mi się iż słyszę jakiś utwór

Szopenowski z jego niezrównaną melodyjnością, poetyczną melancholią i właściwymi mu a tak pięknymi kaprysami formy. Do tej samej kategoryi trzeba zaliczyć kilka innych utworów o tytułach muzycznych: „Allegro“, „Impromptu“, „Andante“, „Adagio“ i dwie piosnki, pierwsza do muzyki Kratzera, bardzo śpiewna:

Znam ja piosnkę rzewną, cudną,
Lecz nie nucę nigdy jej,
Śmiać się trudno—żyć mi trudno
Dziś bez cudzej piosnki tej.

druga, dowcipny „Mazurek“ do muzyki p. Maszyńskiego.

Specyalnością Czesława są tak nazwane przez niego „Arabeski“. Są to małe poetyczne utwory najrozmaitszej treści, w których fantazya, a częściej jeszcze myśl poety, skacze z przedmiotu na przedmiot tak kapryśnie i dowolnie, jak liście i zygzaki arabeskowych deseni. Najczęściej w takich arabeskach zawarte są sentencye, uwagi, spostrzeżenia, czasami rady i przestrogi; nie zawsze nowe, zwykle jednak dość prawdziwe. Wśród arabesek można spotkać małe obrazki, owiane rzeczywistą poezyą i dlatego prześliczne, jak np.

Kwiat w ciemnej puszczy rośnie ladajaki
I nie zna nawet co to blask słoneczny,
Ku niebu drzewa pną się, lecą ptaki—
Dla niego zmrok i cień—cień i zmrok wieczny.
Tak biedne serce, samotne wśród świata,
Nigdy go oczy nie ujrzą niczyje,
Nikt nie zapyta, zali gdzie kołata,
Czem to samotne, biedne serce żyje?

albo ten drugi, może jeszcze piękniejszy:

Rośnie kwiat polny nocą w lesie
Ukryty w cień i w ciszę,

Perełkę rosy, skarb jedyny,
Na listkach swych kołysze,
O świcie jasny słońca promień
Wpadł w leśny cień i ciszę,
Perełkę rosy zabrał z sobą—
A kwiat się wciąż kołysze.

Spotykają się także piękne szkice krajobrazów, a raczej tego co niemcy nazywają *Stimmung*, np. „Dzień burzliwy zwolna gasł,—cień już mroczył niebo w górze" i t. d.

Najczęściej jednak treścią arabesek — a dodam, pod względem artystycznym najszczęśliwiej dobraną— jest miłość. Nie jest ona tam zbyt głęboką, ani burzliwą, lecz przypomina eleganckie śpiewy trubadurów i narzekania Petrarki, których nikt do serca zbytnio nie brał, a poeta mniej niż kto inny. Najpiękniejszy cykl takich miłosnych gruchań znajdujemy w książeczce p. t. «Capriccio». Przypominają one czasami Zaleskiego, jak np.:

Parki złotą nić wyprzędły...
Błysła—zgasła szczęścia chwilka:
Pukiel włosów... kwiatek zwiędły. .
Trochę wspomnień—piosnek kilka...

Czasami przypomni się Syrokomla, jak w tym który zaczyna się od strofki:

Na dobranoc, panieneczko,
Czule oczkiem ku mnie błyśnij,
Dnia nie warto kończyć sprzeczką,
Bo szpetnego co się przyśni.

Zwykle jednak przeważa w nich duch i wspomnienie Heinego, tak że czytając te lekkie, podszyte czasami elegancką ironią utwory, te sprzeczki i żale i przeprosiny i smutki i pociechy, wydaje się jakby się czytało «Lyrisches Intermezzo».

Tej samej, to jest miłosnej, treści jest większa część drobnych utworów Czesława; wyliczać ich nie będę, boby to zbyt wiele czasu i miejsca nam zajęło. Zresztą jest tam to samo, co w podobnych razach wszędzie bywa, tylko że wyśpiewane z wielkim wykwintem i doskonałością formy, a zwykle też i łagodnością barw, świateł i cieni. To też z tą właściwością charakteru Czesława bynajmniej nie licuje pewien szczegół, który u niego dość, nawet zanadto często się spotyka; poeta, nucąc dla czy o swej miłej, wspomina o szale miłosnym, pragnie go, pożąda... Że zakochani chodzą sobie przy świetle księżyca i gruchają, że prawią wzajemnie o wiecznej miłości i nieraz temu wierzą, nikomu to szkodzić tak bardzo nie może;—że przytem są podnieceni, jakby w lekkiej gorączce, że wyglądają trochę zabawnie, tego im nikt za złe brać nie może; ale na co w takim razie szał potrzebny i dla czego ma być pożądanym? Słyszałem wprawdzie parę razy, że ktoś z nieszczęśliwej miłości oszalał, ależ to nieszczęście, nie rzecz pożądana. Szał zaś dobrowolny i upragniony jest w każdym razie rzeczą nieludzką i nie chrześcijańską. Zaszczyt ludzkiej natury na tem właśnie polega, żeby człowiek zawsze był człowiekiem panującym nad swym rozumem, wolą, uczuciami, nie zaś zwierzęciem podległem takim namiętnościom, jakie na nie przyjdą. Szał mimowolny jest nieszczęściem, dobrowolny—upadkiem człowieka; dlatego z politowaniem, nieraz z pogardą, patrzymy na szał pijaków, na odurzanie się haszyszem, opiumem;—szał miłosny tak samo sensu niema, i jest zestąpieniem człowieka do rzędu zwierząt. Co do mnie, nie wierzę, żeby Czesław naprawdę szału pożądał—nie zgadza się to jakoś z temperamentem jego—po prostu poszedł za modą i za «hasłem wieku». Właśnie puszczenie cugli namiętności, pozwolenie sobie na wszystko,

zezwierzęcenie, jest hasłem, jest dążnością tych sfer, wśród których nieszczęśliwym jakimś trafem większość naszych współczesnych poetów przebywa — i czerpie natchnienie. Po szale Czesława, przyjdą małpio-lubieżne wylewy Tetmajera, po nich «naga dusza» Przybyszewskiego.

Jeśli jednak idzie o echa rozmaitych «chwilowych haseł wieku», to znajdzie się ich więcej w poezyach Czesława. Oto np. «Szewc» z żoną i dziećmi zostaje bez pracy, oszukał go lokaj hrabiego, a sam hrabia na pociechę daje mu książkę. W innem opowiadaniu, jako coś szczególnego przedstawia się «Pan», który mieszkał na wsi rok cały, nie miał długów i z własnej gorzelni (chyba z browaru) pił piwo, nie ożenił się z bankierówną, lecz z ubogą dzieweczką, czem tak byli oburzeni sąsiedzi i krewni, że choć zapraszał na ślub, «nie doczekał nikogo» i t. p. Czesław zapewne sam znał hrabiów i hrabiny, którzy dają ubogim nie tylko książeczki, ale czas swój, pieniądze, troskliwość i serce, z pewnością znał też wiele panów podobnych do owego, «którego świat nie prędko oceni»; nie powiedział wszakże o nich słówka dobrego, bo hasło wieku nie pozwalało. Żeby być «postępowym», trzeba koniecznie być demokratą w znaczeniu współczesnem, t. j. niekoniecznie kochać niższych, lecz bezwarunkowo nienawidzieć wyższych, dla tego cnót ich nigdy widzieć nie należy, ale trzeba zawsze wskazywać wady, które są i które kiedyś były.

Oprócz tych dwóch opowiadań jest jeszcze wiele mniej lub więcej udatnych, treści najczęściej albo miłosnej, albo też z lekka satyrycznej. Tak np. «Donna Klara» długo kaprysiła i przerzucała konkurentów i wreszcie opuszczona przez wszystkich, zwiędła z tęsknoty «za rajem małżeńskim» i umarła. Na grób jej świe-

ży pośpieszył jeden z odrzuconych i zaczął rzewnie lamentować, pytając: «Czyliż nie żal ci twych wiosen? — Ogni, co ci w oczach gasły?» Aż tu z mogiły wychodzi westchnienie tak ciężkie i smutne, że kamień grobowy pękł na dwoje. Nauka ztąd dla «srogich i okrutnych niewdzięcznic», jasna jak słońce: nie trzeba gardzić rajem małżeńskim. Cóż, kiedy uprzednio poeta tak odmalował ów eden, że cały efekt popsuł, powiada bowiem o donnie Klarze, że zmarnowała życie.

Za zwodniczą goniąc marą,
Co małżeńskim rajem zwie się,
Rajem pełnych ekstaz sielskich
Apteczkowych brzęku kluczy,
Gdzie trzepocą się po kątach,
Po kanapach i po stołach,
Aniołeczki lube z buzią
Uwalaną w konfiturach.

Jeśli tak, to niema znowu racyi tak wzdychać z mogiły, żeby aż płyta grobowa pękała. Podobnej treści są; «Żona wojewody» «Paź królowej,» «Przerwana pieśń,» «Zacny król» i t. p. Do satyrycznych zaliczyłbym następujące: «Sylwetka», «Na marginesach przeglądów politycznych», «Pan Prezes», Szrubiści», «Królowa Lala», «U progu raju», Treść tych wszystkich utworów bardzo drobna i nikła, satyra także bardzo łagodna, jest to raczej lekka ironia. Oprócz powyższych można wyliczyć kilka bardzo rzewnych i ładnych utworów natchnionych wspomnieniami przeszłości, kilka obrazków wiejskich, kilka drobnych, zaledwie naszkicowanych, jak np. «Stary sługa», «Za bufetem», «Prima ballerina».

Jak widzimy, prawie cała wymieniona dotąd poetyczna działalność Czesława ogranicza się do jego własnej osoby i do bardzo drobnych wypadeczków wziętych ze świata zewnętrznego. Czy tego dosyć? Z pe-

wnością nie, od poetów, którzy nam ciągle prawią o Tyrteuszu, tytanach i przodownictwie pieśni, wszyscy wymagamy czegoś więcej, niż «egotycznych» (jak mówi p. Chmielowski) wylewów; to też przychodzą mi na myśl słowa pisarza stojącego na przeciwległym ze mną biegunie, na które jednak najzupełniej się zgadzam. P. Aleksander Świętochowski, mówiąc o najnowszych poetach młodych, a już starych, powiada: „Stanisław Krzemiński powtarza często piękne zdanie: są dusze, które się obracają około osi własnego interesu i są inne, które się obracają około słońca idei. Głębokie to spostrzeżenie powinien sobie wyryć w pamięci każdy działacz publiczny, każdy pisarz i również każdy poeta. Ruch około własnej jedynie osi, chociażby najsilniejszy, wie wyda nigdy, ani wielkich czynów, ani wielkich utworów. Nie należy być nurkiem własnego wnętrza i słowikiem własnego serca. Trzeba przenieść swą wiedzę i swoją miłość po za siebie".

Czy Czesław nigdy nie próbował „obracać się około słońca idei?". Owszem, próbował nieraz. W jego śpiewach miłosnych, z pomiędzy westchnień romansowych przebija się niekiedy echo miłości wyższej, szlachetniejszej, przebija się przytłumione, tajemnicze, i właśnie tajemniczość owa nadaje jej szczególny urok. «Ludzie czy szakale» są ilustracyą poetyczną znanego rysunku Grottgera z cyklu „Wojna".

Jako wierne echo „znikomych haseł wieku" p. Czesław oczywiście nie mógł zaniechać świata starożytnego. Niestety obrazki z niego czerpane są bardzo blade i oklepane. Jedne z nich jak „Skolion" i „Wódz" powtarzają ograny już ton, podobno przez Asnyka pierwszy raz podany w „Królu Jubie", użycia rozkoszy przed śmiercią, wojną, lub podobnym radykalnym kro-

kiem; inne zaś, jak: „Kassandra“, „Opowiadanie“, „Triumphator“, „W ogrodach Cezara“ są próbami przeszczepienia zasad, pojęć, sentymentalizmu współczesnego na grunt starożytny. Szczególnie wydaje mi się mdłym niewolnik Amiantus, monologujący w ogrodach Cezara. Obrazki te robią wrażenie, jakby ich autor nie znał starożytności źródeł, lecz przerabiał tylko motywy gdzieś i u kogoś posłyszane.

Do tego rodzaju należałoby zaliczyć i „Psyche“ poemacik, o którym twierdzi p. Chmielowski, że „poważniejszą odznacza się myślą“. Jakąby ona była, nie mówi, tylko opowiedziawszy treść, zapytuje: „Czy to ma być idea odkupienia przez miłość wyższą, uszlachetniającą“? Niestety, odpowiedzieć na to nie potrafię, myśli tam bowiem żadnej, tembardziej poważniejszej dopatrzyć nie zdołałem, owszem poemacik wydał mi się — istnem cudactwem. Oto jak rzeczy się miały. „Świat składał prawemu hołd Panu“. Olimp obrócony „w popioły“, bogowie rozproszeni na cztery wiatry. Psyche w tem zamieszaniu dostała się na brzegi Jordanu i serdecznie się biedaczka nudziła. Aż razu jednego widzi jaśniejącą postać anioła, wstępującą ku niebu. Jako że była do amorów skłonna, rozamorowała się w nim natychmiast i zaczęła perorować, trochę zadługo, zważywszy że miała go dopędzać. W tym tedy długim dyskursie, zapominając, że *periculum in mora*, powiada wśród innych rzeczy: „Ja silna, bogowie mnie strzegą.—I jeśli w Hadesu noc ciemną,—Iść musi (t. j. ów anioł) gdzie jęczą skazani,—Wybawię go z piekieł otchłani,—Na Olimp mój wróci on ze mną“. Że rozmiłowana dzieweczka mogła zapomnieć, że wszystko w łeb wzięło i Olimp, i Hades, i bogowie, że sama jest nędzną wygnanką bez żadnej siły i znaczenia, jeszcze

można wybaczyć, ale że o tem zapomniał poeta, to rzecz trudniejsza do przebaczenia. Nagadawszy się jako niewiasta trochę zadługo, Psyche leci za aniołem i „u stóp kochanka, anioła—Na srebrnym usiadła obłoku". Musiała mu tam wyśpiewać, co miała na sercu, anioł jednak daje jej odkosza, w formie wprawdzie najdelikatniejszej, ale najbardziej stanowczej. Wśród innych ciekawych rzeczy, taką jej prawi tyradę: „Litości łzy Pan nam przebacza (?)—Lecz ziemskiej miłości pożarem—Nam czystych serc kalać nie wolno—I walczyć bez przerwy nam trzeba—Z czczych ponęt i ziemskich żądz czarem". Prawda, ktoby się czegoś podobnego od anioła spodziewał? Są jednak i ciekawsze jeszcze rzeczy. Wyprawiając biedną Psychę z powrotem na ziemię, powiada jej anioł: „...niech Eros, twój boski kochanek—Z snu budzi i smutną pocieszy". Czy słyszał kto o podobnej kombinacyi? Anioł mówi o *boskim Erosie*,—panie Czesławie! Jest tam także wzmianka o czarze ambrozyi i o Ganimedzie, wreszcie powiada jej anioł, że nie dostanie się do nieba, „chyba, że który z mych braci — Na czoło ci dłonie położy — I biorąc na siebie gniew Boży,— Istotę swą w tobie utraci". Anioł zniknął, Psyche z nosem na kwintę wraca na ziemię.

W drugiej części widzimy pustynię, po niej przechodzi karawana, słabsi z niej padają i giną, lecz cherubin idący z tyłu dusze umierających «rozgrzesza i z życia snu budzi—I wiedzie w świat lepszy, w świat nowy". Byłoby wszystko dobrze, gdyby widocznie nie wmięszał się ten, co to gdzie sam nie może, to kogoś innego posyła. Cherubin zobaczył «w granitów bezdennym rozłamie» leżącą i śpiącą na piasku «pół dziecko dzieweczkę» (i skąd się ona tam wzięła?) w wiel-

kim notabene negliżu, jako że na pustyni nie spodziewała się gości. Cherubin stanął, popatrzył i jakby najzwyczajniejszym był filistrem, «wzroku jego promienie, dokoła objęły ją całą». Przed oczami jego «przemknął we wspomnień mgle obraz kochanki», skończyło się na tem, że «serce anioła znów ziemską miłością zawrzało», pochylił się nad śpiącą, dotknął ustami jej czoła, a Psyche wzniosła się ku gwiazdom «śpiewając hymn Panu».

Umyślnie szerzej określiłem ten poemacik, żeby dać wyobrażenie, do czego u naszych poetów dochodzi—pomięszanie pojęć. Niczem wieża Babel... Jeżeli poeta chciał pisać bajkę, niechby sobie prawił o Ganimedzie, Erosie i Olimpie, kiedy jednak wprowadził Boga, aniołów i chrześcijańskie Niebo, staje w kolizyi z logiką zrozumiałej może w wiekach średniowiecznej naiwności, ale obecnie wprost nie do zniesienia. Nie powiem już chrześcijańskie uczucie, ale prosta świadomość rzeczy co krok zostaje urażoną przez istne dziwolągi. Anioł Boga prawdziwego w żaden sposób nie może brać za prawdę bajek o Erosie, Ganimedzie, ambrozyi i t. p Sam zresztą pomysł zetknięcia bajecznej Psyche z rzeczywistym aniołem jest już w zasadzie fałszywym. Anioł nie mógł powiedzieć, że Pan Bóg przebacza łzy litości, bo on je owszem miłuje i za nie nagradza; nie mógł rozprawiać o walkach jakoby staczanych z miłością ziemską, bo w Niebie niema już żadnych walk ani pokus. Sam pomysł zresztą miłości cielesnej wśród duchów niecielesnych jest cudackim, bo jak kochać cieleśnie, jeśli ciała niema? P. Chmielowski pyta, czy ideą przewodnią Psychy nie jest to, że miłość wyższa i szlachetna podnosi upadłych i zbawia,— ależ tutaj miłość anioła jest właśnie upadkiem i poni-

żeniem, podniesienie zaś przez upadek i poniżenie jest wprost absurdem. A tak łatwo i prosto i jasno można było ową myśl przeprowadzić, bo przecież wiemy z katechizmu, że upadła dusza podnosi się przez miłość Boga i bliźniego. Ba, możnaby to zrobić bardzo łatwo, cóż kiedy „hasło wieku“ wymaga żeby z katechizmu chrześcijańskiego nic nie brać—raczej brnąć po szyję w sprzeczności i absurdzie – «raczej od algi, byle nie od Boga, raczej do szatana, byle nie do Boga!»

Z poglądami p. Czesława na świat i sprawy jego możemy się poznać w Sonetach umieszczonych na początku wydania z 1884 roku. Z pierwszego dowiadujemy się, że położenie rzeczy jest szkaradne — prawdę mówiąc, nawet okropne i rozpaczliwe.

Wszędzie zmrok, wszędzie tylko niepewność i trwoga
I żądz nienasyconych żrąca duszę wściekłość,
O złudzeń sen ostatni walka w imię Boga (?)
A w walce rozpaczliwa ginących zaciekłość.
Wszędzie łzy lub śmiech, w którym słychać jęk tłumiony
I konającą wiarę w ideałów wieczność i t. d. i t. d.

Jak na epokę ostatnich zdobyczy wiedzy, czas wyzwolenia z przesądów, erę wolności, niezbyt to zachęcające malowidło! Drugi sonet zaczyna się od przestrogi: „Na siebie samych, bracia, nie patrzcie jak ślepi!“ Niejasnem mi się wydaje owo patrzenie „jak ślepi“—kiedyż bo oni podobno nie patrzą! Podobnie ciemną jest i reszta tej rady, oprócz ostatnich dwóch wierszy. Trzeci sonet mówi o rzeczywistości i o błędzie, ale nie moja głowa dojdzie co mianowicie poeta chce powiedzieć. Sonet piąty, wbrew okropnościom pierwszego, zapowiada: „Nie trwóżmy się tą rzeczy zmienną koleją. Nie złorzeczmy jesieni w żyzny plon bogatej... Zabłysną znów gwiazdy, zakwitną znów kwiaty“,

Sonet „Bóg“ zaczyna się bardzo pięknie, tylko kończy nieosobliwie. Mędrcy bowiem, nie chcący uznać Boga

Nic—mówią—nie masz po nad przyrody prawami,
Nad siłę, co jest życia wszelkiego wyrazem,
Okrom wiecznej materyi nic wiecznem nie było. . .
I słusznie mówią mędrcy, bo nie wiedzą sami
Że korząc się przed prawem, wiecznością i siłą,
Przed Bogiem dumne czoła schylają zarazem.

Na to trudno, owszem niepodobna się zgodzić. Oni czoła przed Bogiem nie schylają, bo go nie chcą schylić, a chociaż siła i materya, Boga rzeczywiście są dziełem, tem gorzej dla mędrców, że podziwiając dzieło, gardzą jego Twórcą. W „Ostatniem słowie“ poeta widzi koniec ziemi; Archanioł jej obwieścił: nędzę, nicość i zgon.

A było to ostatnie długiej skargi słowo
Tej ziemi, w którą wsiąkło łez tyle, krwi tyle. . .

i w końcu pyta z wyrzutem, widząc że w tej chwili nowy świat się rodzi: „ileż Ci takich mogił potrzeba, Jehowo?“

Doprawdy, podziwiać trzeba naszych poetów, a może nie ich samych tylko. W salonie syn Feba rachuje się z każdem słówkiem i jest jak miód lub plaster gojący; choć go do rany przyłóż; przed excelencyą mającą władzę wygląda jak baranek; ba, nawet z redaktorem i wydawcą jest bardzo i bardzo grzeczny; ale zato jaka swoboda, jaka „dezinwolwitura‘ kiedy się ma do czynienia z Jehową. Wyobraża sobie poeta różne dziwy, jakby się odurzył haszyszem, a potem zadaje Panu Bogu impertynenckie pytania, — jakby swemu bratankowi lub pupilowi.

P. Czesław widzi koniec ziemi, przepojonej krwią i cierpieniem, słyszy jak anioł głosi jej zgon i nicość; są to własne jego fantasmagorye i najniepotrzebniej mięszał do nich święte Imię Boże, przed którem żydzi na ziemię padali. Taki koniec ziemi jest ideałem materyalistów, niechby się więc ich pytał, ile im takich mogił potrzeba, a do Jehowy nie zwracał się po odpowiedź na okrucieństwa i niedorzeczności ateuszów.

Kto wierzy w Jehowę, ten wie, że nagrodą krwi i cierpień i walk będzie nie zgon i nicość, lecz wieczne szczęście i żywot, że nawet o ziemi powiedziano: „oto tworzę nowe Niebo i nową ziemię" (Apokalipsa). To też czytając podobne dziwolągi i — mówiąc ściśle— bezbożności, mam wielką ochotę zapytać drużynę Apollina, za kogo właściwie biorą oni swoich czytelników: za idyotów, czy za kretynów? W każdym razie za istoty „podlejszego gatunku", które wszystko przyjmą za dobrą monetę, byle w rymowanej mowie opowiedziane. I potem jeszcze ci panowie pytają: poezyo, gdzieżeś ty, gdzie twoje panowanie, gdzie twoje przodownictwo? Odpowiedź krótka —tam gdzie rzeczywista poezya i prawdziwi poeci.

Tak więc streszczając, com dotąd o p. Czesławie powiedział, widzimy że ma on dar poetycki niezaprzeczony, że jest obdarzony wykwintnym smakiem i niezrównanem poczuciem pięknej poetycznej formy; treść jednak jaką wlewa do niej jest dość ograniczoną. Poeta obraca się prawie wyłącznie około osi, nie własnego interesu wprawdzie, lecz swego *ja*. Po za tem widzi on tylko drobne rzeczy, na publiczne sprawy zapatruje się z bardzo wygodnego i łatwego stanowiska lekkiej ironii i niezbyt zgryźliwej krytyki; jeśli zajrzy do dalszych starożytnych dziejów, widzi je powierzchownie

przedstawia szablonowo; kiedy zaś zacznie mówić o rzeczach społecznych i potrąci o kwestye ogólnoludzkie, filozoficzne, metafizyczne, powstaje zamęt i kakofonia. Czyżby dlatego, że nie może ich poznać lepiej, zrozumieć i ocenić należycie? Nigdym autora nie widział, anim go słyszał, nic o nim nie wiem, ale sądząc z poezyj jego, stanowczo odpowiem, że mógłby, gdyby chciał. Człowiek o słabej głowie nigdy takich poezyj jak p. Czesław nie napisze. Powód omawianego zjawiska wydaje mi się innym. Oprócz swojego *ja*, poeta na inne rzeczy patrzy przez szkła i okulary współczesnych haseł wieku, bynajmniej nie samodzielnie; wskazałem to razy kilka, opierając się na tem, co w poezyach jego znalazłem; jeszcze zaś bardziej przekonywam się z tego,— czego w nich nie znalazłem.

P. Czesław prawi o legendach, królach i paziach o starożytnych grekach i rzymianach, ale życie chrześcijańskie, historya chrześcijańska nie uwydatnia się u niego ani jednym rysem, ani jednem tętnem. I on i jego współcześni bracia w Apollinie nie znają już, albo zapomnieli, o pięknych i prawdziwych słowach, wypowiedzianych do sztuki i idei pogańskiej przez Słowackiego:

A choćbyś była podobna
Jowiszowi z brwią zmarszczoną,
Mgłami indyjskiemi srebrna,
Nakryta gromów koroną,
Próżno! Jużeś nie potrzebna!
Już do piękności zjawionych
Nie wzlecisz nad eter lżejszy,
Bo najmniejszy z odkupionych
Świętszy niż ty. . . i piękniejszy.

Tego właśnie oni nie wiedzą i posłuszni «hasłu wieku» galwanizują trup pogański, żywego chrześcijań-

stwa nie widzą, nie znają i nie kochają. Nie sposób, żeby to co człowiek zna, w co wierzy, co kocha, żeby się to nie przebijało w jego myślach, mowach, uczynkach, w każdym ruchu nieledwie; u Czesława niema nic z tego. Słońce wiary zagasło dla niego—prawie zupełnie. Dlatego widzi tylko to, co ma bezpośrednio przed sobą, co mu oświeca płomyk miłości rodzinnego gniazda, miłości zmysłowej, albo też błysk dowcipu, po za to wzrokiem nie sięga. Obce mu obowiązki walki i słodycze chrześcijańskiej moralności, obce dzieje, piękności i klęski chrześcijańskiej historyi, obce niezrównane szczytności chrześcijańskiej nauki. Twierdzę zaś tak, nietylko opierając się na tem, że o powyższych rzeczach milczy, ale i na tem także, że kiedy się czasami odezwie—wstyd i żal słuchać.

Jużci p. Czesław wierzy w Boga, mówi o tem wyraźnie, ale ten Bóg widocznie schował się dla niego tak daleko i głęboko w obłokach i za gwiazdy, że poeta nie oddaje Mu nawet tego, co się w prawie nazywa—pierwszeństwem honoru, traktuje Go—jak kolegę. Jeden przykład tylko widzieliśmy, a oto inne. Jak pod względem stylu razi u p. Czesława ciągłe używanie przysłówka *hen*, tak pod względem moralnym przymiotnika — boski, tam właśnie zawsze, gdzie nie trzeba. Wszystko u niego boskie: małżonek grucha z młodą żoną — twierdzi że «boski jest żywot eremity», żona naleje mu rosołu czy barszczu na talerz, «ta sama rzecz—a boski smak», i tak ciągle.

Dalej jednak są jeszcze lepsze rzeczy; — oto np. w jednym z arabesków tak prawi do swej kochanki:

Kiedy patrzę w oczy twoje,
Staje niebo wnet na myśli
I z aniołów śmiać się boję (z jakiej racyi śmiać się?)

I przed tobą milcząc stoję,
Częściej klęczę—mówiąc ściślej—
I *boskością* twą przejęty,
Święty, modlę się... do świętej.
Lecz gdy patrzę w usta twoje,
Wtedy piekło wnet wre we mnie
I aniołów całe roje,
Patrząc z góry na nas dwoje,
Płaczą tam gdzieś nadaremnie!
Aniołkowie moi mili,
Rzewniej płaczę ja nad wami:
Czy z was który *w szału* chwili
Ust jej dotknąć śmiał ustami?

Co za galimatyas, a przedewszystkiem jakie traktowanie rzeczy świętych! Jak jednak im dalej w las, tem więcej drzew, tak samo w poezyach p. Czesława —coraz więcej bluźnierstw, ignorancyi, lekceważenia Pana Boga i Świętych Jego. W „Allegro" np. wpadłszy w ekstazę przed swą najmilszą, zapewnia ją:

Tyś piękna—jak piękną jest miłość, jest Bóg! (tylko tyle!)
. . . .
Madonną tyś moją!. . . bo Pięknem jest Bóg!

No, niezbyt wysokie wyobrażenie o Bogu ma widocznie biedny poeta, to rzecz jasna; jadąc jednak dalej i wysilając swój dowcip na hyperbole i retoryczne figury, zapewnia w końcu swą panią, że chciałby skonać „z ustami na ustach"... (ale czy ona życzyłaby sobie tej przyjemności?) «Z aniołem co o niebie śni— *demoniczny* dzieląc szał», t. j. niby tak, jakby «z ogniem dzieląc chłód»—logika jednakowa. Nie godzi się wątpić, że poeta, pisząc podobne brednie, naprawdę wpadał w pożądany przez siebie szał i obłąkanie.

Oto znowu inna próbka jego poglądów na rzeczy tyczące się wiary. Mroźny i wietrzny wieczór styczniowy,

„Pod krzyżem“ palą się liczne lampki; biedny, zziębnięty chłopak w łachmanach chce ogrzać nad płomykami skostniałe ręce, ale przez wysoką kratę dosięgnąć ich nie może — więc pada. Otula go przechodzący «dziwak» w łatanym płaszczu i zabiera z sobą, mrucząc. «O świecie! Nieco mniej świateł daj Panu nad pany, a jego biednym dziatkom więcej – ciepła!» W tem powiedzeniu widzę naszych postępowych filantropów, jak w najlepszem zwierciedle. Zdawałoby się daleko racyonalniej powiedzieć: o świecie! trochę mniej wydawaj na opery, balleryny i balety, piwo, wino, karty, na zbytkowne powozy i końskie wyścigi, na Monaco i przeróżne „bady“, na treny, brosze, spinki i t. p. rzeczy. Nie, tego się nie mówi, filantrop pozwoli na wszystko, a dla uczynienia zadość potrzebie czułego serca swego, będzie robił oszczędności — na kilkogroszowych lampkach „Pod krzyżem“. Wiadoma rzecz, której tylko naiwni nie rozumieją; — ta gorąca chęć pomagania «dzieciom Pana nad pany», kosztem lamp, obrazów i ozdób kościelnych, ma za cel rzeczywisty — żeby pogasły wszelkie lampy i wszelkie oznaki czci i pamięci o «Panu nad pany». Jest to jeden z tysięcy przejawów pogańskiej dążności postawienia człowieka na miejscu Boga i zdmuchnięcia wszelkich płomieni nadprzyrodzonych. Pan Czesław, może nieświadomie, był tu znowu echem «haseł wieku».

Spieszmy jednak do końca tego smutnego przeglądu; mamy przed sobą «Afrodytę» — poeta przemawia do nieistniejącej:

> O, nie wydrą ci *madonno* grecka
> Nad tym biednym światem panowania!

Rzeczywiście biedny świat i biedne społeczeństwo, które znosi, ażeby imię dawane zwykle Najświętszej

Pannie, stosował do uosobienia wszeteczeństwa poeta, może wnuk albo prawnuk—Sodalisa. Potem następuje bardzo niejasna tyrada, w której poeta gromi tych, co „Afrodytę chcą uczcić w heterze“; jemu ona przedstawia się inaczej — „taką piękną, że ta ziemia cała— zda się z piękna jej swą piękność brała“. Niestety, niestety, poeto miły, właśnie tamci mają racyę, a ty szkaradnie się mylisz; dość choćby najpowierzchowniej poznać historyę starożytną, żeby wiedzieć czem i jaką była Astarte, Afrodyte, Venus, Cyprida, czy jakkolwiek się ona zwała Była ona wcieleniem wszeteczeństwa, jej sługi i służebnice gorzej niż heterami, bo...

Na końcu tego utworu poeta w usta motłochu kładzie słowa:

Ta bachantka w *boskim* swym bezwstydzie
Patrzcie—oto nasza Afrodyta.

Ale może dosyć już tego, — słyszę jak czytelnik woła do mnie słowami i aryą z «Roberta»: «Łaski, o łaski»! Rzeczywiście, takie to są smutne, takie nielogiczne, takie mdłe w swym braku sensu i ładu rzeczy, że czytelnikowi i sobie oszczędzę dalszej analizy; aż nadto dosyć i tego cośmy dotąd czytali.

Można w tych smutnych objawach upatrywać i powierzchowną znajomość rzeczy o których się poetyzowało, i brak logiki wprowadzający w dziwne sprzeczności, i bardzo rzeczywiste bluźnierstwa i poniewieranie rzeczami świętemi; co do mnie jednak, nie upatrywałbym złej woli; źródło tych zboczeń wydaje mi się innem. Artyści mniejszego polotu, jeśli się znajdą w trudnem i zawiłem artystycznie położeniu (a bardzo lubią wybierać sobie takie sytuacye), ratują się z niego jaskrawością; więc napuszonymi frazesami, superlatywami, jaskrawymi, nawet sensacyjnymi obrazami,

zbyt często, niestety, bluźnierstwem; tak np. postępował Ujejski, u którego było ono zwykłem wyjściem z trudnej sytuacyi.

Podobnie postępuje p. Czesław; nie poprzestając na Tyrteuszu i Tytanach, sięga do Aniołów, Matki Boskiej i Pana Boga. Pomimo tego rezultat otrzymuje smutny, bo wiadoma rzecz, że wielcy artyści pędzla, dłuta, słowa, nie lubią jaskrawości i stopnia najwyższego, (Dante np. w całym swym poemacie tylko dwadzieścia kilka razy go używa, a o Tyrteuszu, zdaje się, nie wspomniał ani razu), i osiągają zdumiewające rezultaty za pomocą—prostoty wielkości.

Drugą przyczyną poniewierki rzeczy świętych w poezyach p. Czesława jest zanik i nieznajomość wiary. Bóg i bożkowie, Aniołowie i Erosy, Niebo i Olimp, pomięszały się u niego w jedną jakąś bajeczną gmatwaninę— więc Afrodyta jest dla niego rzeczywistością, Aniołowie figlarnymi i zmysłowymi Amorkami, kochanka natomiast Bogiem i t. p.

Ktoby, pomimo przywiedzionych ustępów, miał jeszcze pod tym względem jakiekolwiek wątpliwości, tego ostatecznie przekona krótki wierszyk na str. 46 «Wyboru poezyj»:

Skonał za ciebie Bóg—*i skonał w tobie...*
Swiatu—trzeciego dnia błysło zaranie,
Na twego serca nie zabłyśnie grobie
I w twojej piersi Bóg nie zmartwychwstanie,
Skonał za ciebie Bóg i skonał—w tobie!

Wzgardziłeś wiarą prostaczego ludu,
Tyś się z Nim rozstał przed świątyni progiem,
I oto, bogacz wiedzy... żebrzesz cudu,
By choć na chwilę jeszcze był twym Bogiem,
Ten, który żyje dla prostaczków ludu!

(Wielkanoc 1883 r.)

Smutny wiersz, a jakkolwiek wierzę, że w autorze jego (widoczna, że o sobie to mówi) «skonał Bóg», to jednak nie tracę nadziei, «że na serca grobie zabłyśnie zmartwychwstanie». Bóg jest lepszym niż człowiek, a poeta nie jest może tak bardzo złym, żeby go Bóg już na zawsze opuścił, tylko zanadto lubi powtarzać przelotne «hasło wieku» — i tutaj powtarza je, jak w dzieciństwie powtarzał «za panią matką pacierz». Jest nieodzowne bogactwo wiedzy (a jakże!), jest wskutek tego strata wiary, jest tęsknota za nią i jest wiara prostaczków — zupełnie podług programu.

Nie chcę ani mogę kwestyonować wiedzy poety, bo go nie znam, ale byłbym niezmiernie ciekawy raz już dowiedzieć się od kogoś, jaka to jest owa nauka, która zmusza wiarę do odwrotu. My, wierzący, kończyliśmy te same szkoły, posiadamy te same nauki, do «prostaczków ludu» nikt nas chyba nie zaliczy, w naszych szeregach liczymy pierwszorzędnych uczonych i posiadaczy wiedzy, a jednak, dzięki Bogu, wierzymy — i Bóg nasz nie umiera.

Dla p. Czesława Bóg, to wielkie słońce-ideał, umarł, światło słoneczne zagasło, cóż dziwnego, że poeta widzi tylko na parę kroków koło siebie, a dalej — mgła i zamięszanie? Widać jednak ze wszystkiego, że jeszcze jakaś iskra wiary tleje — nawet raz, zapewne pod wpływem wrażenia — rozpaliła się w „Kolędę"; mało, ale może tym resztkom zawdzięcza p. Czesław, że pomimo ciągłego kwilenia *amoroso*, raz tylko pozwolił sobie na nieprzyzwoitą bajkę, że nie opiewał żadnej brzydoty, zgnilizny, nikczemności, bo nawet wszetecznicę Afrodytę wystawia sobie inną i lepszą niż była. Ostatecznie jednak z małym zasobem ciepła i światła, jakie pozostały, Czesław został śpiewakiem bardzo

misternym, bardzo harmonijnym, gładkim, kunsztownym, ale ten śpiewak nie nazywa się ani słowikiem, ani nawet skowronkiem.

ROZDZIAŁ V.

Marya Konopnicka.

O poetce tej powiada p. Chmielowski, że największym po Asnykn cieszy się od lat wielu rozgłosem, że zdobyła sobie czytelników niemal odrazu, chociaż nie odrazu równie pięknie, jak później śpiewała, że „od czasu do czasu jakiś utwór nie licujący z pewnemi utartemi wyobrażeniami, zwracał na nią uwagę baczniejszą, przysparzając jej z jednej strony zaciętych przeciwników, z drugiej gorących wielbicieli“.

Od czasu owych walk sporo wody upłynęło w rzekach, przeciwnicy i zwolennicy mogli ochłonąć z wojowniczego zapału; czy drudzy trwają dotąd w swem gorącem uwielbieniu dla przeciwniczki „pewnych utartych (t. j. chrześcijańskich) wyobrażeń“, o tem sądzić nie mogę; natomiast pierwsi już dawno poznali, że strzały uzbrojone w rymowane końcówki, są wprawdzie objawem wrogiej intencyi, zwierciadłem smutnego stanu zbłąkanej duszy, że jednak niema żadnej racyi do tracenia równowagi umysłowej wobec nieprzychylnego „utartym wyobrażeniom“ gadulstwa.

Można więc już sądzić p. Konopnicką bezstronnie, to też zwolennik i przeciwnik przyzna jej zaletę w poezyi niezmiernej wagi—wiersz tak piękny, harmonijny, potoczysty, że trudno w tym względzie jej wy-

równać. Niekiedy jest on tak doskonałym, że zdaje się, jakby muzyka grała, jakby rzeka płynęła; nasycić się nim trudno. Nie zawsze tak wprawdzie bywa; i pod względem formy można p. Konopnickiej niejedno zarzucić, w każdym jednak razie strony dodatnie o wiele przewyższają ujemne.

P. Chmielowski w swym zarysie poetycznej działalności M. Konopnickiej sporo wyliczył takich usterek; spotykały go za to wyrzuty ze strony zwolenników *à outrence*, nie da się jednak zaprzeczyć, że najczęściej, może nawet zawsze, miał słuszność za sobą. Choćby wiersz płynął jak woda, a grał jak muzyka, nie wystarczy to jeszcze nikomu, jeśli w nim sensu nie będzie, jeśli wyrazy będą oznaczały coś innego, niż oznaczają zwykle, jeśli przymiotnik co do znaczenia nie zgodzi się z rzeczownikiem, jeśli określenia będą ciemniejsze od tego, co określać miały; jeśli porównania będą nietrafne, dowolne, wyrażenia niezrozumiałe, niejasne — a tego wszystkiego u p. Konopnickiej jest bardzo wiele, szczególnie w dwóch pierwszych tomach jej poezyj. Więc np. przymiotnik *biały* służy u niej do wszystkiego; tron idei biały, i powój biały, biała brzoza, i próg świątyni biały, i obłok, i płomień życia, i co się pod pióro nawinęło; płowe włosy dziewczęcia otaczają je kaskadą białą, błękit nieba zato bywa srebrny, to znowu dusza poetki błękitnieje, jakby kto w niej gwiazdę rozpalił złotą.

Wśród figur retorycznych i poetycznych znajdujemy np. takie: „mdlejące przestrachy niosą tęczowy płaszcz Boga“, „przepaście toczą skałę syzyfową, wiecznych zagadnień“, żar piersi poetki przechodzi „w bijący puls ziemi“; Bóg zlatuje w jej duszę „jak one strwożone gołębie, co widząc chmurę stojącą w żało-

bie burz i piorunów nad stawu błękitem, lecą i biją w wód szybę". Czasami poetka słyszy „chrzęst płomienny" i tysiące podobnych dziwadeł.

Daleko bardziej dokucza i cierpliwość człowieka na srogą próbę naraża praktykowany dość długo przez poetkę zwyczaj wyliczania różnych przedmiotów—bez końca. Jeśli wieśniaczka tęskni za swoją wioską, wylicza, że nie obaczy: ani chaty, ani, pola, ani nieba, ani chmury, ani psa, ani kozy, ani mchu, ani brzozy, ani jaskółki, ani bociana, ani kołyski, ani promyka, ani wołu, ani konika — zdaje się, że nigdy nie przestanie. Stąd okresy bywają nieraz niepomiernej długości, tak np. w wierszu „Głód" jeden okres ciągnie się nie mniej i nie więcej, jak przez — trzy stronice.

Kiedy znowu poetka zacznie pytać, to najbieglejszemu inkwizytorowi tyle i takich pytań nie przyszłoby do głowy, w rezultacie zaś owo niepowstrzymane gadulstwo sprowadza — nudę. Nie mniej nudnem i męczącem jest u niej używanie rzeczownika „duch" gdzie trzeba, a jeszcze częściej gdzie nie trzeba. Wyraz ten spotyka się niemal ustawicznie i na każdej stronnicy. Nadaje to poezyom p. Konopnickiej cechę pewnej napuszoności i nienaturalności; doznaje się też wrażenia, jakby się czytało jakiś utwór ze szkoły Towiańskiego, tymczasem prawi ciągle o duchu i duchach poetka, broniąca teoryj wiodących nieuchronnie do materyalizmu, często nawet wyraźnie go w sobie zawierających; gorzka zaprawdę ironia.

Ponieważ jednak kwestya formy mniej nas w obecnym razie obchodzi, więc pomijam głębsze wnikanie w jej zalety i usterki i przechodzę do rozpatry-

wania treści i ducha utworów p. Konopnickiej. Wstęp do nich stanowi znane powszechnie tłómaczenie się, że w czasie trzeźwości ogólnej zjawia się nowy poeta. Już w tym wstępie p. Konopnicka popisuje się z erudycyą starożytną, niezbyt zresztą trudną, którą i później błysnąć lubi; świat starożytny u niej, jak i u wszystkich zresztą współczesnych, mniej lub więcej spoganionych poetów, występuje często, w czem zresztą nic złego niema, ale występuje wyidealizowany, ubrany w blaski i prawdy i piękna, dobra i szlachetności, jakich nigdy nie miał. Opowiadań i obrazków na tle pogańskiem osnutych jest u Konopnickiej dosyć. W pierwszym tomie spotykamy najprzód dwa. „Klaudya" i „Tarcza Scypiona"—w obydwóch znajdujemy przedziwne naiwności. W „Klaudyi" np. rzecz zaczyna się od deszczu czy gradu kamieni tak gwałtownego, że z odłamów granitu na ulicach „w oka mgnieniu wznoszą się barykady dziwne — które Baroniusz nazwie kiedyś budową Cyklopów". Pomimo tak wyraźnego niebezpieczeństwa pokazywania się na ulicy, powstaje „Zamęt, ścisk, trwoga... lud tłoczy się, krzyczy"—ba, niewolnicy odrazu biorą się do odwetu za swe krzywdy, nie myśląc zgoła o tem, że kamień jednakowo uśmierca pana i niewolnika. Kapłani, dla przebłagania bogów, każą przywieść posąg Idei, matki bogów (zapewne Izydy), co jednak może uskutecznić tylko mąż o „sercu dziewiczem". P. Konopnicka wynalazła takiego w osobie Scypiona; mąż to był rzeczywiście szlachetny, a czego mu brakowało do dziewiczego serca, dopełniła *licentia poetica*. Pojechał, zabrał posąg, już widać wracający okręt, na brzegu tłum zebrany awanturuje się z radości i krzyczy w niebogłosy, wtem... stało się coś dziwnego, jak mówi Sienkiewicz. Jak pierwej rzymianie tłoczyli się na uli-

cach pomimo gradu kamieni, tak teraz pomimo wszystkiego co się dzieje na brzegu, zjawia się na wodzie „drobny mały statek, który jak koncha perłowa lekko płynie“. W statku oczywiście cud-dziewica, która nic nie widzi, nic nie słyszy, tylko patrzy gdzieś w dal. ,,Prawe ramię nagie aż do spinki... z łodzi zwieszone, a przez dłoń jej białą — I drobne palce, morze szemrząc pluska“ — zupełnie jakby młoda pensyonarka na stawie, w czasie wakacyj. Scypion ujrzał i ma się rozumieć zakochał się, zupełnie jak w piosence: ,,ujrzałem raz i kocham już“—nie sposób było inaczej postąpić; okręt z boginią stanął jak wryty. Rozpoczynają się różne dziwy, które jako widocznie wylęgłe w młodej jeszcze bardzo głowie niewieściej, na opowiadanie nie zasługują.

Równie słabym jest utwór p. t. ,,Tarcza Scypiona“. Ubogi rybak wyłowił w Rodanie tarczę Scypiona i zasypia, do snu jego, poetka dość niezgrabnie nawiązuje znany wypadek z życia bohatera, gdy w czasie wojny w Hiszpanii, odesłał jednemu z wodzów nietkniętą jego narzeczoną. Wypadek ten, bardzo zresztą szlachetny, służy za niewyczerpany temat dla artystów i poetów, którzy nie widząc zdarzających się wśród chrześcijan codziennie tysiącznych, większych i chwalebniejszych czynów, do znudzenia opiewają fakt w pogaństwie jedyny. P. Konopnicka opisała go po swojemu. Scypion stał po krwawem zwycięztwie w namiocie i — ktoby się domyślił — ,,drżał i szeptał przerywane słowa—I tak się płonił, jak młoda dziewica—Co po raz pierwszy ,,kocham“ wymówiła“. Wtem „purpurowego namiotu zasłona (NB. ten sam namiot przed chwilą był biały...)—Wzdęła się, niby wichrem parte żagle“. Mówiąc językiem śmiertelnych, podnio-

sła się, wszedł legionista, i bez żadnej ceremonii powiada: „Boski Scypionie“ — nic sobie z łupów nie wziąłeś, więc dla rozpędzenia nudów masz tę oto dziewczynkę—„Piękna, patrz tylko“—cukierek, co? Zupełnie jakby z hersztem opryszków rozmawiał—i poszed sobie z powrotem. A w namiocie zaczęły się najosobliwsze osobliwości: zjawił się jeden duch—ognisty, potem drugi—mglisto-sielankowy, nuż rozprawiać. Trwało to długo, wreszcie Scypio bardzo sentymentalnie uwolnił brankę i osłoniwszy swą tarczą, puścił wolno do domu.

„Romans wiosenny“ miał być naśladowaniem „W Szwajcaryi“ Słowackiego, to rzecz oczywista. Niestety, kiedy go porównywam z pierwowzorem, przychodzi mi na myśl pościg chartów asesora i rejenta za zającem. „Głowa już blizko lasu — ogony gdzie z tyłu!“. Ktoś bardzo młody i bardzo romansowy zakochał się „w niej“ pod dachem niziutkiego domku, „zgubionego“ (t. j. ukrytego) w zieleni drzew. Nic w tem nadzwyczajnego, osobliwością jest to, że do tego romansu najniepotrzebniej wścibiały nosy i ptaszki i motylki i kwiatki — wytworzyła się pozycya nie do zniesienia. Jak bo tu gruchać i flirtować, kiedy ptaszyna dosłuchała gruchanie i wszystko wypaplała; więc olszyna w śmiech, fijołki znowu w płacz, a słońce zgorszone takim niesłychanym skandalem „weszło odmiennie jaskrawe“. Zaczęła się następnie nieuchronna włóczęga—niech będzie zresztą spacer — „przez krzaki jerzyn, leszczyny i tarnie“ — z wielką zapewne szkodą dla ubrania; nic to jednak nie znaczyło wobec niesłychanej zazdrości, do której wszystko dawało powody; słońce bo, bezczelnie całowało ją w lica w oczach amanta, liliowe dzwonki tuliły się w sploty, sukienka

dotykała jej „nagich ramion“—było od czego oszaleć. Rzecz najstraszniejsza stała się na końcu. Panienka zasnęła na ławeczce a „tuż obok stanął kraśny maczek polny—I nie ręczę czy nie myślał sobie:—„Ej, pocałuję... ej, figla jej zrobię!“. W dzielnym młodzieńcu „krew zawrzała“,—i słusznie, wobec takiej zbrodni! Wahał się co tu zrobić — „Przebyłem, powiada, straszną godzinę“—i w końcu, jak się państwu zdaje, co zrobił? Ano, „zamordował mak“ i ocierając skrwawioną szablę, powiedział sobie: „Byłem surowy, ale sprawiedliwy“. Dzielny chłopak, śliczny kawałek rycerza.

Potem wszystko było dobrze, rozkochani do tajemnicy swojej dopuścili konwalię, powój, róże, a przytem pewną liczbę gwiazd, które w nocy „aż oczy mrużyły, żeby ją lepiej zobaczyć“. Zazdrosny panicz znosił to cierpliwie. Nie długo trwało szczęście, bo w ogrodzie rozmnożyły się okropne plotki (nie trzeba było wchodzić w konfidencyę z konwalią, różą i powojem); żółty tulipan znalazł się wprost wyzywająco, a brzydka makówka prawiła sąsiadce plotki i na migi, kto wie, może rozkochanym język pokazała; po takiej paskudnicy wszystkiego spodziewać się można. Skończyło się na tem, że idealną panienkę „duchy złośliwe porwały“, czyli mówiąc językiem zwyczajnym; pannę dyabli wzięli, panicz został desperując ślamazarnie.

P. Chmielowski utrzymuje, że zniknięcie bohaterki niczem nie wytłomaczone; ależ owszem, najzupełniej wytłomaczone. Panicz najwidoczniej miał źle w głowie i na punkcie ptaszków a kwiatków był skończonym maniakiem, dziewczyna to zmiarkowała i uciekła, a jemu się zdało, że ją „duchy złośliwe porwały“. Opowiadanie to nie udało się Konopnickiej; ciągłe

ożywienie i antropomorfizowanie natury rodzi ckliwość i sprawia wrażenie, jakby się słuchało obłąkanego. Sądzę, iż stało się tak dlatego, że poetka naśladowała; kiedy bowiem jest sobą, potrafi bardzo dobrze ożywić przyrodę, jak np. w wierszu „Co się stało". Cały sad naprawdę tam żyje i wiersz ten bardzo słusznie p. Kozłowski kładzie między najpiękniejsze w naszej poezyi.

Kiedyśmy zaczęli mówić o opowiadaniach i obrazkach, przepatrzmy i dalsze; jest ich spora liczba; rozmiarami jednak znacznie mniejsze od poprzedzających. Jeśli nie o wszystkich, to o przeważnej ich liczbie można powiedzieć, że powstały one nie z czary natchnienia, lecz z rozwagi, że rodzicem ich nie piękno, lecz tendencya. Ten grzech ich pierworodny jest przyczyną, że piękna w nich mało, prawdy bardzo niewiele, ale rozprawiania, gadulstwa, deklamacyi — co niemiara. „Co pocznie?" jest zagadnieniem socyalno-etycznem na temat podrzutków i nieprawej miłości. Zadawszy trzy stronnice pytań, poetka raz jeszcze woła:

O myślicielu! co pocznie ta matka?
To drobne dziecię?
Milczysz!—jak ciemną jest życia zagadka,
Ile łez w świecie!

„Myśliciel" jest u naszych filozofujących poetów osobą tak konieczną, jak poliszynel w ludowej włoskiej komedyi; on to zjawia się zawsze w porę, żeby jakąś mądrą sentencyę wygłosić, to też dziwna rzecz, że w danym razie milczał; może się zdumiał w obec nieprzeliczonych hypotez, jakie uprzednio wyliczała poetka. Zresztą w „Co pocznie?", jak i w innych tego rodzaju obrazkach np. „Sobotni wieczór", „Przed są-

dem", „Czy zginie?", p. Konopnicka rozwiązuje bardzo rozległe a głębokie kwestye społeczne, czy etyczne, za pomocą pytań, na które nie odpowiada. Wyjątek stanowi „Przed sądem", gdzie na wykorzenienie występków dzieciństwa podaje lekarstwo — w nauce czytania. Oprócz ślizgania się po powierzchni zawiłych kwestyj, które ani trochę od tego jaśniejszemi nie będą, poetka ma szczególne upodobanie w zdejmowaniu odpowiedzialności z grzeszących, a wkładaniu jej na karb społeczeństwa całego. Nie powiem, żeby w tem części prawdy nie było, ale poetka, idąc za modną swego czasu teoryą, zadaleko odpowiedzialność społeczeństwa posuwa.

W „Bez dachu" opowiada o zgonie ubogiego chłopca, który zmarł, modląc się przed kościołem zamkniętym „z litością i Bogiem". W obrazku tym nie spotykamy „Myśliciela" — gdyby był, toby może zapytał, dlaczego nasi współcześni poeci każą swym ubogim dzieciom zamarzać i umierać z głodu przed krzyżem, przed kościołem, a nigdy im się taki wypadek nie zdarzy przed klubem łyżwiarzy, przed bankiem żydowskim, albo przed magazynem damskich kapeluszy?

P. Konopnicka większą część swych obrazków osnuła na kanwie ubóstwa i nędzy; myśl w tem często jest zacna, ale strona artystyczna mocno szwankuje. Owa bowiem nędza czy ubóstwo stale jest malowane jednemi farbami i temiż samymi zawsze rysami widać też, że są to rysunki z pamięci, nie z natury robione. Wszędzie np. stale spotykamy też same łachmany, twarz bladą, głód; urozmaicać tych smutnych danych, poetka nie umie, czy nie chce; stopniowania w światłocieniu także zwykłe nie bywa. Odrazu wi-

dzimy najczarniejsze kolory i odrazu znajdujemy się na samem dnie nędzy i rozpaczy. Dlatego też wyradzają się sytuacye naciągane, przesadzone, np. „Chłopskie serce". Syna biorą do wojska, matka czeka nań dzień cały, gdy wreszcie przekonała się, że przyjęty i że odchodzi daleko, umiera ściskając go — pękło jej chłopskie serce. Zapewne położenie do przyjemnych nie należy, ale prawdę mówiąc, ani chłopskie, ani szlacheckie serce nie miało czego pękać w danym razie, wyjąwszy gdyby było oddawna chore. Idzie syn do wojska na trzy lata, może na dwa tylko, toż jeszcze nic tak okropnego, rzecz zwyczajna; ileż to codziennie bywa pożegnań na daleko dłuższy przeciąg czasu i z daleko trudniejszą perspektywą!

Jeżeli jednak p. Konopnicka pozbywszy się doktrynerstwa i tendencyjności pójdzie za swem poetycznem natchnieniem, tworzy obrazki piękne i prawdziwie poetyczne, szkoda tylko, że jest ich niewiele. Zaliczyłbym do takich krótkie opowiadanie o Janie III pod Wiedniem. „Ze starego raptularza", „Dziaduś" błogosławiący swoją chatę i wszystko wkoło niej; „Wichrem porwany", legenda o góralu, którego wicher porwał i nosi ustawicznie po świecie, a on:

Napróżno woła i wyciąga ręce,
Patrząc na wioskę i na dach swój stary,
Próżno się z burzą, jak z wrogiem szamoce,
Próżno błyskawic dusi złote węże
. . . .
On nigdy, nigdy ziemi nie dosięże
I z wichrem latać będzie w wiecznej męce.

Najpiękniejszym jednak z tych obrazków wydaje mi się „W piwniczej izbie" (serya czwarta). W suterenach gdzieś miejskich chore anemiczne dziecko

wypytuje się matki o wieś, a ona mu odpowiada, ale jak odpowiada!

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga;
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem oczkiem mruga...
A po mokradłach bocian szczudłuje
I żaby dziobem bierze,
A skowroneczek do Boga leci
I śpiewa swe pacierze—
A dziewczę idzie i krówkę pędzi
Chuścina i zapaska—
A krówka ryczy, a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska.
Brzeżkiem nad rowem złocienie rośnie
I wierzba na fujarki,
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa
Sznurkuje derkacz szparki.
A po przydrożku, pod leśną ścianą
Kosarze idą z kosą,
A te dziewczątka, jak gąski białe,
W dwojakach jeść im niosą.

Jest takich obrazków kilka, a po każdym dziecko milczy i wzdycha—i co w tem dziwnego? Każdy kogo wiążą miejskie mury, a kto kiedyś hasał po wiejskich błoniach i oddychał wonią pól i lasów, westchnie tak samo choć już nie dziecko i nie w piwnicźej mieszka izbie i powie sobie w duchu jak ono.

A jak mateńko, zobaczę kiedy
Wszyściutko, co mówicie,
One te ptaki w lesie grające.
One zajączki w życie.
A jaż mateńko nie taki samy,
Jako te inne dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słonko świeci?

„Do granicy“ opowiada epizod ze sławnych rugów pruskich; „Pod Dagali“ znowu z wojny włosko-abisyńskiej. Ktoś, kto ztamtąd powrócił, opowiada o zawziętej obronie oddziału włoskiego pod wodzą Christophorusa, w której wszyscy co do nogi wybici zostali.

Krótki ten obrazek kończy się apostrofą do słońca:

O słońce! Jeśliś ty widziało z góry
Ten wielki cichy skłon, te skwarne piaski,
I nie zczerniało kirem żadnej chmury,
Lecz na te trupy rzuciło swe blaski;
Jeśli to prawda, to wskroś tej natury
Nic niema oprócz zimnej pustej maski!

Tak źle znowu nie jest; pani Konopnicka jest wielką przyjaciółką zjednoczonej Italii, i dlatego ona, która nie dwuznacznie dawała nieraz do poznania, że Kościół, Papież, ba! sam Pan Bóg nawet, mijają się z miłością i sprawiedliwością, bo nie chcą u niej rady zasięgać, tym razem sama się z nią rozminęła. Przecież włosi napadali abisyńczyków, chcieli zdradą zabrać im ziemię, przemocą narzucić im swą masońską cywilizacyę. Abisyńczycy bronili swej ojczyzny i niepodległości, a bronili dzielnie. Włochom zdarza się czasami mężnie walczyć, pod Dogali bili się dobrze, ale słońce nie miało racyi pokrywać się kirem, przeciwnie cieszyć się mu należy, że biedni pół barbarzyńcy, uwolnili się od wyzysku Crispiego i jego towarzyszy. Jeśli włosi giną z głodu i nędzy, po co życzyć tej przyjemności i abisyńczykom?

Znajdujemy u pani Konopnickiej kilka utworów, do których treści dostarczyło Pismo Św. Z ich racyi p. St. Kozłowski w swem studyum o Konopni-

ckiej (Bibliot. Warszawska 1884) zapewnia, że zna ona Biblię. Na większą część twierdzeń p. K-go co do estetycznej wartości utworów omawianej poetki bardzo się chętnie godzę, powyższemu jednak stanowczo zaprzeczyć muszę. Jeśli p. Konopnicka zna Biblię, to tylko z okładek t. j. z pewnych oderwanych, a bardzo niedokładnych wiadomości, które jej ucha doszły, duch zaś Świętej Księgi pozostał jej zupełnie nieznanym, „Mojżesz“ ma wyobrażać oną chwilę z życia prawodawcy ludu żydowskiego, w której mu Bóg objawił, że za przewinienie w dolinie Siu popełnione nie wnijdzie do Ziemi Obiecanej, tylko ją z daleka zobaczy. Początek przedstawiający Boga oddalającego się po wygłoszeniu wyroku jest wspaniałym obrazem z punktu widzenia artystycznego.

Odszedł, jak przyszedł—w gromach.
Panie... Panie...
Wróć się, odwołaj w błyskach i piorunach,
Ognistej klątwy gorejące słowo,
Które nad moją przerażoną głową
W wichrach przelata—i w płomiennych łunach
Grzmi po przepaściach niebios: „Niech się stanie“!
Wróć się, o Panie!...
Oto się oddala
Na czterech wichrach spętanych, jak konie
W błysk, który w dłoniach dzierży, piorunowy...
A za nim chmura, jak czara z korala,
Z której ogniste węże piją, płonie
Od skier skrzesanych złotemi podkowy...

Prześliczne! Po tym jednak wysiłku poetka odrazu osłabła i dalszy ciąg ani trochę nie odpowiada pięknemu początkowi; zaraz bowiem potem znajdujemy dziwaczne i niezrozumiałe porównanie (jak to się zresztą u p. Konopnickiej bardzo często zdarza).

Ucichło; tylko pustynia łkająca
Tarza się w bólach (?) jako lwica płowa...

a dalej następują cztery kartki rozpaczliwej deklamacyi, która ma być szczytem rozpaczy, a robi (na mnie przynajmniej) wrażenie dość nudnego, napuszonego gadulstwa. Skarży się tam Mojżesz i przypomina swe zasługi, i wzywa burzy, i nie wiem już kogo i czego.

Z punktu estetycznego wydaje mi się to chybionem dlatego, że stan nadzwyczajnego naprężenia ducha i w rzeczywistości nie może trwać długo, i w sztuce powinien być krótki, inaczej słabnie, rozwadnia się i nudzi. Daleko więcej mam do zarzucenia z punktu widzenia prawdy historycznej. Przy odtwarzaniu postaci historycznych zostawia się artyście bardzo dużo wolności indywidualnej, wszakże ciąży na nim obowiązek zachowania swemu dziełu głównych rysów rzeczywistej osoby, inaczej bowiem może ono być arcydziełem, ale będzie przedstawiało zupełnie co innego, niż nazwa lub tytuł opiewa.

Mojżesz np. Michała Anioła jest arcydziełem, ale wcale nie Mojżesza przedstawia, lecz jakiegoś gwałtownego tytana, gdy tymczasem o postaci historycznej powiedziano, że był najłagodniejszym z ludzi. Podobnie rzecz się ma z Mojżeszem p. Konopnickiej. Przedstawiając go perorującego bez końca, powołującego się na swe zasługi i t. p., poetka rozmija się zupełnie z prawdą historyczną i znajomością charakteru ludzi biblijnych, wierzących, pełnych prostoty, nie mających wyobrażenia o pompatycznej deklamacyi naszych czasów. Nigdy nie mogę dość podziwiać tego rysu ich charakteru. Oto naprzykład arcykapłanowi Helemu młody Samuel powtarza straszną zapowiedź klęsk, czekających ród jego i naród cały: „Oto ja uczynię słowo

w Izraelu, które ktokolwjek usłyszy, zabrzmią obie uszy jego. Dnia onego wzbudzę przeciw Heli wszystko com mówił na dom jego pocznę i wykonam“ — zapowiedziano mu zaś było: „odetnę ramię twoje i ramię domu ojca twego... a będziesz patrzeć na przeciwnika twego w kościele we wszem szczęściu Izraelowem i nie będzie starca w domu twoim po wszystkie dni.... aby ustały oczy twoje i schła dusza twoja, a wielka cześć domu twego zamrze, gdy do lat męzkich przyjdzie... Ophni i Phinees (synowie jego) dnia jednego pomrą“. Taką to przepowiednię straszliwą przypomniał Samuel Helemu, a ten mu odpowiedział tylko: „Pan ci jest, co dobre jest w oczach jego, niech czyni!“ (I Król. III).

Zupełnie podobnie znalazł się Mojżesz; Pan Bóg powiada mu: „Wstąp na górę Abarim, a oglądaj stamtąd ziemię, którą dam synom Izraelowym. A gdy ją oglądasz, pójdziesz i ty do ludu twego, jako brat twój Aaron, żeście mnie obrażali na puszczy Siu w przeciwieństwie pospólstwa, aniście mnie chcieli poświęcić przed nim nad wodami... któremu odpowiedział Mojżesz: Niech opatrzy Pan Bóg duchów wszego ciała człowieka, którzyby był nad tem zgromadzeniem, mógłby wychodzić i wchodzić przed nimi, a wywodzić je albo wprowadzać, aby lud Pański nie był jako owce bez pasterza“ (Numer. XXVII. 12—17). I nic więcej — ani śladu narzekania, jedyna troska, żeby Bóg dał ludowi swemu innego wodza. Takim był Mojżesz rzeczywisty; kiedy czytam deklamacye p. Konopnickiej, razi mnie nietylko historyczna nieprawda, lecz jeszcze i błąd psychiczny. Jużci mogłoby być Mojżeszowi i przyjemnem stanąć choćby stopą na ziemi, do której szedł tak długo i świadomość, że do niej nie wejdzie, była zapewne karą, lecz karą łagodną bardzo. Mojżesz, pa-

trząc ze szczytu Nebo (w górach Abarim) na Ziemię Obiecaną, mógł jednak z westchnieniem ulgi zawołać jak później starzec Symeon: teraz puszczasz Panie sługę Twego w pokoju! Doszedł do celu i zobaczył go, nie potrzebował zaś staczać krwawych walk, jakie czekały jego następcę Jozuego, nie potrzebował zaczynać ciężkiej pracy organizacyi nowego społeczeństwa, ani dłużej męczyć się i mordować z takim ludem, jak ten, któremu przewodniczył.

Mojżesz, mający już 120 lat, doskonale rozumiał, że praca taka nad jego siły, ocenił też dobroć Boga, który mu jej oszczędził, a pozwolił jednak zobaczyć Ziemię Obiecaną; z pewnością więc umarł spokojnie, jak umierają święci, legł, jak kładą się długą pracą zmordowani ludzie na dobrze zasłużony spoczynek.

W tomie trzecim znajdujemy dwa utwory niby biblijne pod ogólnym tytułem: „Z ksiąg prorockich“ t. j. z księgi psalmów i czwartej księgi Ezdrasza. Tytuł to zupełnie fałszywy; księga psalmów do proroczych nie jest zaliczoną, z wyjątkiem niektórych psalmów t. j. mesyanicznych, psalm jednak 136, który p. Konopnicka ma zamiar parafrazować, wcale do takich nie należy, księgi zaś Ezdrasza są historycznemi, nie proroczemi. Otóż ów psalm 136, zatytułowany przez p. Konopnicką „*In exitu Israel*“, jest doskonałym okazem jej biblijnej znajomości. Psalm bowiem tak zaczynający się jest nie 136, który, jak powszechnie wiadomo, zaczyna się od słów: *Super flumina Babylonis*, lecz 113, i opiewa radosne wyjście żydów z Egiptu, jak to same słowa wskazują: „Gdy wychodził lud izraelski z Egiptu“. Psalm zaś 136 przeciwnie, opłakuje niewolę żydowską w Babilonie. Przytem zabawnem jest cytowanie jego: „Psalm 136, rozdział 1“. Psalmy nie mają

rozdziałów tylko wiersze, a tych w całym 136 psalmie jest tylko—dziewięć. Że kusił on niejednego poetę, nie dziwię się wcale, ale żaden z nich nie odda bezdennej głębi boleści i niedoli w tych dziewięciu wierszach zawartej—p. Konopnicka, która mniemane żale Mojżesza rozciągnęła na 8-iu stronicach, nie pominęła sposobności żeby się rozgadać i tutaj, wprawdzie tylko na 4 stronicach. O tej fantazyi na tle biblijnem powiem tylko, że jest ona o wiele gorszą od wiersza Ujejskiego na ten sam temat, który znowu ani w przybliżeniu nawet pierwowzorowi nie dorównał.

„Modlitwa Ezdrasza“ ma być wyjętą z czwartej księgi Ezdrasza, rozdz. VII; księga ta do Pisma św. nie należy, bo jest apokryficzną, a nadto w przytoczonym jej rozdziale niema żadnej modlitwy Ezdrasza, tylko niezmiernie długa i zawiła rozmowa z aniołem. Nie wiem więc co właściwie p. Konopnicka parafrazować chciała; ponieważ jednak mowa o modlitwie Ezdrasza, więc przypuszczam, że może być mowa tylko o tej, która znajduje się w IX-ym rozdziale pierwszej księgi Ezdrasza (kanonicznej i autentycznej), w niczem ona jednak wiersza p. Konopnickiej nie przypomina. U niej bowiem Ezdrasz skarży się i narzeka, że Bóg lud swój opuścił:

Przecz-żeś rozproszył, Panie, jedynaczka swego
I drapieżnym go wielu dałeś na zginienie?...
Przecz-żeś go Ty porzucił w pył drożny i w cienie,
Iż depczą po nim końmi i ci którzy biegą?

a dalej modląc się w stylu poetki, stale z rządów Boskich niezadowolonej pyta:

Azaż ziemia moc swoją z krwi tylko brać może?
Azaliż zwyciężony—przed tobą przeklęty?

Ezdrasz rzeczywisty, historyczny tak się modlił: „Boże mój wstyd imię, a sromam się podnieść oblicze moje do Ciebie, bo nieprawości nasze, rozmnożyły się nad głową naszą, i grzechy nasze urosły aż do nieba... bośmy niewolnicy, *a w niewolej naszej nie opuścił nas Bóg nasz*, ale nakłonił na nas miłosierdzie przed królem perskim, aby nam dał żywot i wywyższył dom Boga naszego i zbudował spustoszenia jego i dał nam płot w Judzie i w Jeruzalem... Panie Boże Izraelów, Tyś jest sprawiedliwy, żeśmy zostali, którzybyśmy byli wybawieni, jako dnia tego“ (I Ezdr. IX roz.). Sądzę, że porównanie poezyi z rzeczywistością nie zostawi żadnej wątpliwości co do biblijnej erudycyi p. Konopnickiej i doprawdy trudno zrozumieć dlaczego, będąc poganką, zechciała brać się do rzeczy zgoła sobie obcej, zamiast fantazyowania na tle pogańskiem, gdzie każdy może pisać, co mu się podoba, bo fałsz nie obawia się fałszu, ani brudna i splamiona suknia nowego brudu i nowej plamy.

Daleko liczniejsze są obrazki wzięte ze starożytności rzymskiej lub greckiej. Więc oprócz dwóch omawianych, wyżej spotykamy. „Tańczącego niewolnika—Sclavus saltans“. Maro pokazuje gościom niewolników swoich. Widzą tam Numida o „torsie jakby z bronzu i o włosach jak lwie grzywy“, o ryku tak wściekłym, że choć był na łańcuchu, goście pobledli i pogubili wieńce różane (odważnych miał gości Maro!). Byli tam i inni jeszcze, wreszcie „słowianin w pół dziki“, któremu jakoby «wszędzie dobrze i wszędzie mu chata—Byle miał pląsy i trochę muzyki». O tym prorokuje poetka: «Och, niewolnikiem ten był, jest—i będzie!» Proroctwo równie fałszywe jak i określenie, że słowianinowi wszędzie dobrze, byle trochę muzyki i

tańców; wiadomo, że jest i było wprost przeciwnie; podobnie się rzecz ma i z niewolą. Gdy Numidowie o torsie z bronzu, lwiej grzywie i głosie burzy, od bardzo dawna zniknęli z widowni dziejowej, słowianie są i mnożą się ciągle.

«Kaloskagatos» jest przeciwstawieniem wolnego i bogatego greka zbydlęconemu niewolnikowi. «W pirejskim porcie» zebrani sofiści wzajemnie sobie docinają żartami i przedrwiwaniem, aż wreszcie wychodzi na stół kwestya niewolników, których, jak w poprzedzającym obrazku, p. Konopnicka mylnie nazywa helotami, heloci bowiem byli specyalnością samej tylko Sparty.

Pyta tedy Atenogenes Charysta «ile dziś batogów dałeś swoim helotom? Czegóż się żżymasz? Wszak władzę, mówisz, sam od bogów masz, możesz bić». P. Konopnicka wierna pseudo liberalnym teoryom, chciała tu widocznie ukłuć zwolenników chrześcijańskiej zasady, że władza pochodzi od Boga. Zapomniała jednak, a może nawet zgoła nie wiedziała, że podług pogan władza pochodziła od ludu i że ci, którzy tę teoryę najwyraźniej sformułowali, t. j. Rzymianie, najokrutniejszymi byli dla niewolników ze wszystkich ludow pogańskich.

Dalej tedy Atenogenes kontynuuje: „ja ci tylko między nami, tak po przyjaźni powiem jedno słowo; z łez niewolników i z ich krwi, i z potu, wieki utworzą, jak z kropelek wody, ogromną, czarną chmurę piorunową, która pożarem ogarnie narody!“ P. Konopnicka i tutaj, jak wszędzie, okazuje się gorącą przyjaciółką nieszczęśliwych i uciśnionych, co jest bardzo pięknym rysem jej charakteru, szkoda tylko, że pojęcia wniesione i rozszerzone przez chrześcijanizm wkłada w usta pogan, którym przez myśl nigdy nic podo-

bnego nie przeszło. Jest to zresztą system stale praktykowany przez nieprzyjaciół naszej wiary: nie widzieć nic dobrego w chrześcijaniźmie, owszem przenosić nań wszystkie występki pogan, nie widzieć nic złego w poganizmie, owszem przenosić nań wszystkie blaski chrześcijanizmu.

Dobrym i dość wiernym obrazkiem jest „Demos Cezarowi“. „W rocznicę Termopilów“, rzuca cień poezyi na ostatnie dni poganizmu w Grecyi. W tomie 4-ym p. t. „Helenica“ znajdujemy kilka utworów: „Helios“, w którym poetka upadek Grecyi przypisuje istnieniu w niej Helotów, w czem jest sporo prawdy, ale nie ma całej; dalej ładny i smutny obrazek, Elektra, Cytara Tymona i wreszcie Augury, których Konopnicka z Rzymu przeniosła wbrew historyi do Grecyi; zamiast śmiechu jednak, obaj oni płaczą przy spotkaniu.

I łza po łzie padała wzdłuż
Z oranych lic spiekoty,
I trząsł się smętnie wieniec z róż
I trząsł się obręcz złoty...

Poetka robi co może, a nawet więcej niż może, żeby swój ukochany poganizm otoczyć aureolą poezyi, cierpienia, piękna, a nawet dobra i prawdy.

Z tego, co się dotąd powiedziało, widzimy, że p. Konopnicka w rodzaju epicznym nie celowała, zarówno jak jej męzcy koledzy w Apollinie. Na utwór o szerszym zakroju nie zdobyła się, poprzestając na małych obrazkach; te z nich, które są wyrazem poetycznego natchnienia, aczkolwiek drobne, piękne są i miłe, większość ich jednak jest tylko ciałem dla pewnej tendencyi, to też grzeszą konwencyonalnością, brakiem prawdy, deklamacyą, przesadą, jakkolwiek tendencya sama bywa czasami dobrą. Znaną jest prawda,

że jeżeli piękno zechce zająć miejsce nauki, to traci piękno, a nie nabywa nauki—staje się nudnem. P. Konopnicka chciała być propagatorką pewnych pojęć i zasad, wzięła się do tego nie po poetycku, lecz zbyt dydaktycznie, dlatego też jej utwory ucierpiały bardzo ze względu artystycznego, a o tendencyi — słów parę powiem nieco niżej.

Daleko mocniejszą niż w opowiadaniach jest p. Konopnicka w opisach przyrody. Już w I-ym tomie znajdujemy całą ich seryę p. t. „W górach." P. Chmielowski zdaniem mojem za surowo je osądził, bo, pominąwszy wszystko, co im zarzucić można, są one jednak bardzo ładne. Potem opisy podobne nie raz jeszcze wracają, to jako cała serya np. „Zdaleka" (t. II), „Na palecie" (t. III), „Po drodze", „Na jeziorze" (t. IV); to znowu pojedynczo, jak: „U okienka", gdzie poetka namalowała śliczny obrazek widziany przez małe wiejskie okienko. Później właściwe opisy rzadziej się spotykają, ale ten lub owy szczegół z przyrody daje poetce powód do utworów, które nie wiem jak nazwać, bo są po części obrazem, po części wylewem uczucia, ostatecznie zaś czemś bardzo, nieraz nawet skończenie pięknem. Nie wchodzi w mój zakres ocena estetyczna poezyj p. Konopnickiej, ale ten rodzaj o którym mówimy, ma ich tyle i tak pięknych, że prawdziwy przymus trzeba sobie zadawać, żeby nie mówić o takich ślicznych rzeczach, jak np.:

Nigdy ja was nie zapomnę
Pola moje przefaliste,
Lasy moje przeogromne,
Wody moje bystre, czyste! i t. d.

Albo o tej drugiej:

Na mroźnem niebie milion gwiazd
Iskrzy się, pali, mruga,
Samotna, pusta droga w dal,
Noc idzie cicha, długa. .

Jeszcze piękniejszym bodaj będzie:

Stepie daleki, stepie ty zielony!
Ach, otwórz mi się, jak drogie ramiona...
Niechaj polecę, jak ptak uskrzydlony,
Niech się rozpłynę w ciszy twej, stęskniona,
Tu, przy mnie, blizko, stań brzozo płacząca...
Tu, przy mnie, blisko stań konwalio biała!
Niech się traw fala, o pierś mi roztrąca,
Niechaj wiatr śpiewa, ja będę słuchała!

Musiałbym długo wyliczać, gdybym chciał nie pominąć żadnego z tych utworów, w których p. Konopnicka, posiadająca, jak widać, bardzo delikatne bardzo rozwinięte poczucie piękna w naturze, najmniejszy obrazek z niej wzięty, ozłaca światłem poezyi i prześlicznej formy; szczególnie dużo jest takich utworów w tomie IV-ym, a najpiękniejszym z nich może będzie „W piwnicznej izbie", gdzie matka z prostotą, ale i ze skończonym artyzmem maluje wieś przed oczyma chorego dziecka.

Otóż wieś i jej powaby są ulubionym przedmiotem, do którego p. Konopnicka często powraca, za nim tęskni, o nim śpiewa. Te opisy wsi, te śpiewy o niej, włożone w usta wieśniacze, są powszechnie znane, nie potrzebuję więc ich wyliczać. Niedawno nawet „Wieś i wieśniacy w poezyach Konopnickiej" były przedmiotem osobnego studyum p. Stanisława Ostrowskiego w „Tygodniku polskim" (1898 r.).

Na początku jego znajduję następne zdanie: „Jednym z najbardziej uderzających dowodów szczerości i głębi tego uczucia jest, zdaniem mojem, właściwa na-

szej poetce zdolność odczuwania przyrody na sposób ludowy, szczególna umiejętność podziwiania jej — prostotą serca wieśniaka“. Czy się jednak p. Ostrowski, tak sądząc, nie myli? Kto zna trochę wieśniaków, ten mógł zauważyć prawie zupełną ich obojętność na piękno przyrody. Zapewne, niektórzy z nich nieświadomie je odczuwają i kiedy zostaną zamknięci w murach miasta, tęsknią za szerokiemi wsi horyzontami, takich jednak jest niewielu, a i ci nawet nie odczuwają tych wszystkich subtelności, jakie opiewa i tak pięknie maluje p. Konopnicka.

Ogół wieśniaków patrzy na naturę z punktu utylitarnego, kocha wieś, bo własna, bo się do niej przyzwyczaił, kocha ziemię, bo bez niej nie pojmuje istnienia, ale owe błyski, jutrzenki, jaskółki, pajęczyny, świerszcze i skowronki dla niego chyba nie istnieją jako piękno. Miałem sposobność nieraz sprawdzić to, co mówię. Raz np., że to lubiłem dalekie, samotne wycieczki, zaszedłem w nieznany mi las o kilka wiorst od Żytomierza. Samotność była zupełną; nademną i koło mnie wznosiły się stare sosny i szumiały tajemniczo, rozlewając woń żywiczną dokoła, po pagórkach rosły brzozy i leszczyna, między pagórkami przewijał się strumyk, strojąc brzegi tatarakiem, miętą i niezapominajkami. Szedłem jak oczarowany. W tem posłyszałem za sobą skrzypienie wozu, który mnie wkrótce dopędził. Na wozie siedział zagonowy szlachcic z rodziną; wracali z miasta do niedalekiej w tym lesie osady. Powitał mnie: Niechże będzie pochwalony. — Na wieki.— Droga była piaszczysta, konie szły powoli, więc gawędziliśmy. Zostając pod urokiem zachwytu, powiadam do szlachcica: a śliczną drogę tu macie gospodarzu. Widzę jednak, że mój gospodarz patrzy ze zdumieniem

to na sosny, to na żonę, to na konie, wreszcie odzywa się: gdzie tam ona śliczna, proszę ojca *falebnego* (chwalebnego), sam piasek, ciężko na chudobę —Nie, ja nie o samej drodze mówię, ale że tutaj ładnie — A mój szlachcic znowu: nijakiej ja tu ładności nie widzę, proszę ojca falebnego, piasek i las taj tylko —Ależ las śliczny i stary, odpowiadam, nie dając za wygraną— Iii... co z tego lasu? Kazienny, to nawet łoszęcia wpędzić do niego nie można, bo zaraz straf. — A no, powiadam, jeżeli tak, to jedźcie z Bogiem—i odtąd z wieśniakami o pięknościach przyrody nie rozmawiam.

Wracając jednak do wiejskich poezyi p. Konopnickiej, sądziłbym, że piękno wsi i przyrody, odczuwa ona tylko sama, a jej sekretem jest umiejętność nadania rzeczom dla wieśniaka niezrozumiałym i niedostrzegalnym szaty i pozoru wieśniaczego. Jak wieśniak nie zrozumiałby mazurów Chopina, choć motywy w nich ludowe, tak też nie zrozumiałby mowy rzekomo wieśniaczej w utworach p. Konopnickiej, która w tym razie umiała połączyć dwie napozór sprzeczne rzeczy, prostotę mowy wieśniaczej z subtelną treścią, dla wykształconych tylko dostępną. Trzeba przyznać, że z tego zadania poetka wywiązała się znakomicie.

Rodzajem poezyi najbardziej odpowiadającym uzdolnieniu i kobiecej naturze p. Konopnickiej, jest poezya liryczna, tutaj też trzeba szukać tego, co ona najlepszego utworzyła. W ogólnej nazwie liryki, jest, jak wiadomo, wiele rozgałęzień i odmian, więc najpierwej pieśni, w których nasza poetka celuje. W początkach poetycznej twórczości p. Konopnickiej, nastrój liryczny wyrażał się w sposób o którym niżej będzie mowa; pieśni właściwych było mało; w I-ym tomie niema ich wcale, oprócz trzech p. t. „Ostatnie piosenki", w dru-

gim znajdujemy „Wieczorne pieśni“, oraz „Łzy i pieśni“; najpiękniejszą z nich wydaje mi się:

Idzie lirnik, w lirę trąca,
Budzi senny blask miesiąca
Srebrzącego mgły. .
Lirnik siwy, lirnik stary,
W świecie został nie do pary;
On - i pieśń—i łzy—i t. d.

Inne jużci tak samo są piękne pod względem formy, ale nie dorównywają późniejszym. W trzecim tomie „Z pieśni słowiczych„ są właściwie miłosną rozmową; „Pieśni nocy“ zaczynają się od dziwnie poetycznego opisu nocnej ciszy, zepsutego zresztą na końcu niezrozumiałem westchnieniem czy skargą:

Jak ciężko jest słuchać tej ciszy,
Temu, co głos jej rozumie złowrogi!
O, jak jest ciężko temu, który słyszy,
Jak chaos jęczy, pracuje i duszy,
I rodzi—karły i bogi!

Na taką skargę można odpowiedzieć tylko wyrazami współczucia i—dowolną liczbą znaków zapytania. Dalej następuje rozmowa z Bogiem, ale jakże różna od rozmowy Mickiewicza! U p. Konopnickiej jest jeden ustęp prawdziwie wstrętny, bo zawiera szkaradne bluźnierstwo, a sensu ani odrobiny.

„Piosenki i pieśni“, a jest ich XIV, zasługują na uwagę ze względu na śliczną formę, jak np.:

Sine lasy we mgłach drzemią,
Gaśnie jasny dzień,
Ach i tobie moja ziemio
Idzie mrok i cień!

Najpiękniejszą jednak będzie bodaj następująca:

Poszłabym ja na kraj świata
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi
W ciemną mroczną dal...
Tylko mi cię żal
Ty ziemio.
Gdzie kurhany ciche drzemią
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości
Tylko mi cię żal
. . . .

Do pieśni zaliczyłbym także dwa działy p. t. „Po rosie“ i „Z chaty“. W czwartym tomie najwięcej jest pieśni—i najładniejszych; powiedziałbym o tym tomie, że zawiera on to, co najlepszego napisała p. Konopnicka, nietylko dla tego, że talent jej dojrzał i wydoskonalił się, że pozbyła się wad z lat uprzednich, ale i dlatego także, że obraca się we właściwym sobie zakresie. Nie ma już pretensyi do podsłuchywania jak chaos rodzi bogi i karły, nie wdziera się w tajemnice bytu i niebytu, zarzuciła kwestye metafizyczne i kosmiczne, o wiele przewyższające siły jej umysłu i zasoby jej wiedzy; nie każe Bogu tłómaczyć się przed sobą; nie wysila się na pseudo postępową propagandę za pomocą tendencyjnych obrazków i fragmentów. Śpiewa o tem co jej blizkie, co kocha, co ją boli; a śpiewa prześlicznie, bo czuje i rozumie swój przedmiot. Forma wyrobiła się także znakomicie, pozbywszy się takich dziwolągów, jak np.: «otchłań—w koronie wszechmocy», nie ma włosów płowych, okalających dziewczynę kaskadą białą, nie ma srebrnych błękitów, ale zato takie pieśni, jak ta:

Po zielonych tych pokosach,
Cały w brzękach, cały w rosach,

Leci marzeń rój...
I opada w mgły liliowe,
Na schyloną moją głowę,
Na teorban mój...
. . . .
. . . .
Od zagona do zagona
Brzęczy struna poruszona,
Jedna, druga, w dal..
Piosnka dziwna, niesłyszana,
Z mgły wieczornej, z zórz uwiana,
Ni to śmiech, ni żal...

Nie jest pieśnią, ale wylewem uczuć i pragnień, ładny bardzo wiersz p. t. «Czem jesteś»?

Leciećbym chciała daleko.. daleko,
Gdzie z brzóz płaczących srebrne rosy cieką,
Kędy szum lasów pierś przejmuje drżeniem;
Czem jesteś szczęście?—wspomnieniem.

Tak po kolei poetka przechodzi rozmaite swe pragnienia, odpowiadając na nie bardzo zręcznie jednym wyrazem; zwykłe to są serca ludzkiego pragnienia i złudzenia. Jedno zresztą jest właściwe poetce i chyba bardzo niewielkiej liczbie ludzi:

Leciećbym chciała... sen cichy, sen złoty,
Prześnić samotna i konać z tęsknoty,
I „kocham" mówić dalekiem spojrzeniem...

Co prawda niebardzo rozumiem, jaką mieć można przyjemność w «konaniu z tęsknoty», ale jeśli kto ma takie szczególne upodobania, to nic łatwiejszego, jak uczynić im zadość.

Wierszy erotycznych u p. Konopnickiej prawie niema a te które są, nie przekraczają granic przyzwoitości, niektóre są nawet prawdziwie szlachetne i pod-

niosłe, jak np. «Pójdź ze mną, który się kończy takiem wezwaniem:

Pójdź ze mną wyżej, och, dalej od ziemi,
Niech mnie i ciebie pył jej nie znieważa,
My jako duchy, skrzydłami białemi
Lećmy w krainę cichą i pogodną,
Gdzie nikt uroków nie zburzy ołtarza,
Gdzie milkną żądze i krwi fale chłodną,
Gdzie się płomieniem nie zajmują lica i t. d

Po pieśniach warto wspomnieć o rodzaju elegijnym, do którego zaliczam wspomnienia poświęcone przez poetkę rozmaitym wypadkom i znakomitościom, jak np : «Staremu teorbaniście» (bardzo ładne), «Pamięci Bohdana Zaleskiego», «W rocznicę Irydiona», «W rocznicę Szopena», «Nad mogiłą Kraszewskiego». Wszystko to są rzeczy bardzo piękne, bardzo rzewne, pełne szczerego i poczciwego uczucia. Dla przykładu przytoczę kilka wierszy z «Pamięci St. Grudzińskiego».

Bracie śpiewaku, więc już tak wcześnie
Porzucić przyszło i lutnię i pieśnie?
Więc ci tak rychło przyszło skrzydła zwinąć
I na dnia jasność twarz zgasłą obrócić,
I taką cichość w sobie mieć, i rzucić
Ziemię i lecieć precz, i we mgłach zginąć,
Więc już tak wcześnie?
. . . .
Nie porzuciłeś, bracie, dla mogiły
Domu wesela, ani domu siły,
Ale odszedłeś z cichą, białą twarzą
Od chaty, której węgły są ruszone,
I kędy sprzeczne wichry gospodarzą
I sprzeczne siły—

Śliczne to jest, nieprawdaż? A ten wiersz «i na dnia jasność twarz zgasłą obrócić», przypomina mi coś,

jakby z prostoty biblijnej i jędrnej obrazowości klasycznej. Niestety, w tym pięknym wierszu brzmi nuta fałszywa i kończy się on akordem nie minorowym tylko, ale takim płaczem, jakim płakali poganie, którzy—«nadziei nie mieli». Grudzińskiemu podług p. Konopnickiej przyszło «lecieć precz i we mgłach zginąć», to też jakby nad zginionym i we mgłach rozwianym ubolewa i pyta:

A teraz cóż ci wyniesiem z tej chaty,
Gdyś już w odlocie od nas—duch skrzydlaty—
I jak cię żegnać będziem, bracie miły?...
Ach, dla śpiewaka, co żył między swemi,
Nie mamy więcej nic nad garstkę ziemi,
Nad wielką ciszę i spokój mogiły
I łzy—i kwiaty—

Gdyby poetka była chrześcijanką, toby miała jeszcze i Anioł Pański, i jałmużnę, i Mszę Świętą i dobre uczynki—i nadzieję światłości wiekuistej.

Cokolwiek więcej otuchy wieje z wiersza poświęconego pamięci jakiejś ogółowi nieznanej, ale widocznie zacnej niewiasty, która żyła cicho, spełniając swe obowiązki kobiety, żony i matki; widocznie spełniała je dobrze, bo poetka mówi:

Błogosławiona ścieżka ona cicha,
Którą chodziła po wszystkie dni życia,
Woń swą oddając, jak kwiat co oddycha,
Przez serca bicia . . . .
Czucia i myśli ku miłym skłonione,
Błogosławione . . . .

W końcu poetka pyta wiosny, czemu więdną jej najbielsze róże pyta życia, czemu w rozkwicie swej siły—sypie mogiły?

Cisza . . . .
W tej ciszy słyszę głos tajemny,

Wieszczący tryumf najwyższy miłości,
Co nad śmierć mocna, przenika świat ciemny
Nieskończoności . . . .
Cisza . . . .
Szczęśliwy, kto duchem w tej ciszy
Boga dosłyszy!

Zapewne, że szczęśliwy — dowie się wtenczas, że świat nieskończoności nie zawsze i nie dla każdego jest ciemnością, że owszem w tej nieskończoności jest światłość, której «oko nie widziało», jest harmonia, której «ucho nie słyszało», jest szczęście, «które w serce człowieka nie wstąpiło» tu na ziemi.

Zostawiłem na koniec najważniejszą stronę liryki p. Konopnickiej; to mianowicie, że w niej złożyła ona swoje wyznanie wiary—raczej niewiary. W rozmaity sposób wypowiada ona to, co się jej zdaje i co czuje; pierwsze, jakkolwiek o niem przeważnie mówić będziemy, nie przedstawia interesu nowości. P. Konopnicka jest echem prądów i przekonań, które rozmaicie się może nazywają, ale mają wszystkie jedną wspólną cechę, że są niekatolickie i niechrześcijańskie, znane zaś są powszechnie; natomiast drugie jest, dla mnie przynajmniej, bardzo zajmującem psychicznem studyum i—obrazem.

Nieraz myślałem i zastanawiałem się nad tem, jak też ludzie niewierzący radzą sobie w kwestyach obchodzących żywo każdego człowieka, a na które chemia i fizyologia odpowiedzi nie dają: co czują wobec zwątpienia i niby naukowych przeczeń, powikłań i ciemności, zastępujących «wstecznictwo i ciemnotę» t. j. wiarę. Poezye p. Konopnickiej dają na to odpowiedź. Straciła ona, czy nie miała wcale wiary katolickiej, ale zato wierzyła niezachwianie we wszelkie twierdzenia

swego obozu, a że te twierdzenia były właściwie przeczeniami, więc poetka straciwszy wszystko dodatnie, a nic natomiast nie otrzymawszy, cierpiała okrutnie i cierpienia swoje wypowiadała z otwartością *«d'un enfant terrible»*, jak mówią francuzi, nie bacząc na to, że mogła kompromitować swe zasady wobec każdego, kto zechce sądzić drzewo z owoców. Kto zna poezye pani Konopnickiej, zna też i to wszystko, o czem mówimy, bo wylewy rozgoryczenia, rozpaczy, tęsknoty, stanowią większą część poezyj p. Konopnickiej, tak, że ją niektórzy nazywają poetką tęsknoty i rozpaczy; ponieważ takie treny są dość znane, przytaczać ich wiele nie będę, nie chcąc być zbyt rozwlekłym.

Przypatrzmy się więc temu co nasza poetka myśli i czuje—w co wierzy. Otóż przedewszystkiem wierzy ona w Boga; z wiarą w Niego nietylko się nie kryje ale ją wypowiada otwarcie i nic zwyczajniejszego u niej, jak rozmowa z Bogiem. Inna już całkiem rzecz, jak Go ona pojmuje i jak się względem Niego znajduje—tutaj bardzo dużo znajdzie się do zarzucenia. P. Konopnicka pojmuje Boga—po pogańsku; cała różnica w tem, że wierzy w jednego a nie w wielu. Bóg jest u niej, jak i u pogan, istotą potężną, tajemniczą, straszliwą, owszem, zarzuca Mu bardzo często okrucieństwo; nie pamiętam zaś by w czterech tomach jej poezyj choćby raz jeden Bóg okazał się pięknem, prawdą, nadzieją, a przedewszystkiem miłością. Jak poganie tak i p. Konopnicka jednego tylko od Boga wymagają—dobra na tej ziemi. Z jej poezyj widać, że gdyby ludzie mieli chleb, swobodę i zdrowie, to by niczego więcej od Boga nie żądała dla nich, a już najmniej oglądania Twarzy Jego w szczęśliwej wieczności. P. Konopnicka wprawdzie ustawicznie mówi o duchach,

czy jednak przypuszcza istnienie duszy nieśmiertelnej nie widać dokładnie, w każdym razie o życiu przyszłem nie wspomina i nie jest ono dla niej, jak dla nas, osią całego istnienia naszego.

P. Konopnicka zna i pojmuje tylko życie doczesne, tu na ziemi chciałaby raju i nieba dla człowieka, a ponieważ go niema więc się buntuje, skarży, narzeka, rozpacza i bluźni. Tak, bluźni, i to bardzo często. Kiedy się czyta to wszystko, mimowoli przychodzi myśl do głowy, że jednak człowiek jest dziwnie oryginalnem stworzeniem; nie chce brać rzeczy jak one są, lecz uroi coś sobie i chce wszystko i wszystkich przerobić na swój sposób, a ponieważ nie może, klnie i złorzeczy wszystkim – oprócz siebie. P. Konopnicka powiedziała sobie, że na ziemi powinien być raj i że człowiek dla ziemi jest stworzonym, tymczasem codzienna rzeczywistość przekonywa, że jest zupełnie przeciwnie. Zdawałoby się, że logika nakazuje człowiekowi stanąć na stanowisku Tego, kto stworzył świat i ludzi i patrzeć na nich z Jego punktu widzenia. Nie, p. Konopnicka stoi przy swojem i gniewa się na Pana Boga, że dzieła swego nie chce podług jej wskazówek przerobić i że jej nawet nie odpowiada, gdy «rzuca pytania w błękity». To też jak ona Pana Boga traktuje, na jaki Go bierze egzamin, jakie Mu czyni wyrzuty, jakie daje rady, ba, jak Mu nawet dokucza, nie mówiąc już o skargach i narzekaniach! Za skargi, za gorżkie nieraz pytania, za upadek ducha lub chwile zwątpienia, ten chyba tylko może rzucić kamieniem na p. Konopnicką, kto sam w cierpieniu nie ugiął się, nie wątpił i na chwilę nie osłabł; czy się taki człowiek znajdzie, bardzo wątpię, boć przecie i prorok patrząc na tryumf niesprawiedliwości, pytał: «Sprawiedliwyś

Ty wprawdzie Panie, gdybych się z Tobą spierał, a wszakoż sprawiedliwości będę do Ciebie mówił; Czemu się szczęści droga niezbożnych, dobrze się mają wszyscy, którzy przestępują, a nieprawość czynią?. . Dokądże płakać będzie ziemia, a ziele wszego pola schnąć będzie dla złości mieszkających na niej?» (Jerem. XII. 1. 4). I psalmista w cierpieniu skarżył się: Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? a skargę jego powtórzył na krzyżu Zbawiciel; nie o to więc idzie, ale o to, że kto wierzy w Boga, powinien go jednak szanować, powinien jednak wierzyć, że jest On lepszym i rozumniejszym od człowieka; ale idzie o to, że p. Konopnicka swoje gorycze wyraża w sposób nietylko bluźnierczy, lecz nieraz tak naiwny, iż uśmiech wywołuje na usta.

Do takich sposobów zaliczyłbym podobne np. rzeczy, jak sławne wyrażenie, że kościół był zamknięty «z litością i Bogiem», że krzyż stoi milczący, «jak nieme wobec łez ołtarze», lub zapewnienie, że Bóg nie chce, by w Jego kościołach były drogie kamienie, kiedy są ubodzy i głodni. Na ostatni zarzut, bardzo stary, jeszcze sam Pan Jezus odpowiedział Judaszowi, który pozornie tak samo troszczył się o ubogich, jak i nasi współcześni ich karmiciele kosztem lampy przed krzyżem albo kamieni w monstrancyi. Judaszowi w rzeczywistości szło o pieniądze dla siebie, tym zaś panom idzie o to, by się lampy przed krzyżem nie paliły, by się nikt przed nim nie modlił, by wreszcie jego samego nie stało.

Z drugiej strony każdy o zdrowych zmysłach człowiek wie, że kościół dla tysiąca przyczyn nie jest miejscem noclegowem, że ołtarze przemawiać nie mogą, wie o tem jużci i p. Konopnicka — pisze jednak

jakby nie wiedziała. Czasami zdaje mi się, że czyni tak przez nienawiść do kultu katolickiego, czasami znowu, że w ten sposób okazuje swe niezadowolenie Panu Bogu. Słyszałem, że kobiety często tak postępują; wiedząc że racyi nie mają, robią jednak czy mówią po swojemu, niech ktoś wie, że się naraził, że są z niego niezadowolone. Kiedy tak p. Konopnicka poniża Pana Boga, jednocześnie spotykamy u niej parę razy próbę podniesienia szatana i przeciwstawienia go Bogu. Tak np. czytamy w № VIII «Po drodze» takie strofy:

Lucyfer! I twych skrzydeł pęd słyszę ogromny,
Po przepaściach lecący, na hymny rozbity,
I widzę potępione promienie twej głowy,
Jehowa chciałby zasnąć, uciszyć błękity,
Lecz ty, strącony, światłem walisz się przez szczyty,
W locie swym i w swej klęsce wiecznie świeży, nowy.

Zapewne dla ogromnej większości czytelników moich, przeciwstawienie szatana Bogu, przez człowieka wierzącego w Boga, wyda się nietylko czemś potwornem, ale przedewszystkiem arcy niemądrem. Że i jedno i drugie jest prawdą nie przeczę, ale jest tu, mojem zdaniem, coś innego jeszcze. Jakkolwiek p. Konopnicka pojęcie o Bogu ma bardzo przyćmione, wszakże nie wątpię, że nie doszła do takiego obłędu, by nie rozumiała, że szatan w obec Boga jest takim samym pyłkiem, jak odrobina piasku, ale idzie zapewne za tchnieniem, bardzo potężnem wśród masonów zjednoczonej Italii, której jest tak gorącą przyjaciółką. Panowie ci nie mogą jużci się pozbyć wiary w Boga, ale Go nienawidzą, bo umiłowali zło. Teoretycznie wiedzą, że szatan, istota *par excellence* zła, jest niczem wobec Boga, ale serce ich jest przy szatanie, więc go

podnoszą, na cześć jego układają hymny, ody i litanie. Nie posądzam wcale p. Konopnickiej o takie same tendencye, ale złe towarzystwo, tylko złego nauczyć może; nasza poetka widocznie miałaby sobie do wyrzucenia, gdyby nie uwzględniła choćby jednego objawu w świecie niechrześcijańskim.

Przyczyną główną narzekań p. Konopnickiej jest kwestya cierpienia. Niema co mówić, kwestya głęboka, trudna i pierwszorzędnej wagi, to też jak każdej trudnej rzeczy, trzeba jej uczyć się długo, a mozolnie. Jeśli po za życiem doczesnem, jest inne życie, stanowiące pierwszego koronę i nagrodę, cierpienie staje się, przynajmniej w ogólnej zasadzie, zrozumiałem. W takim razie jest ono koniecznem obrobieniem surowego materyału dla przyszłego arcydzieła, dniem pracy i krwawego potu dla wiekuistego szczęścia. Nawet wówczas ciężko i trudno cierpieć, jak trudno dać wyrwać sobie ząb bolący, by się więcej nie męczyć; pojmujemy jednak w takim razie znaczenie cierpienia. Jeśli wszakże człowiek tylko na ziemi może być szczęśliwym, a pomimo tego cierpi ciągle, oczywiście cierpienie staje się niezrozumiałem i słuszne budzi oburzenie. Dodam wszakże, że kto wierzy w Boga, logicznie na takie przypuszczenie zgodziłby się nie powinien. P. Konopnicka godzi się, ale wiadoma rzecz, że nasza poetka pisze śliczne wiersze, natomiast z logiką i konsekwencyą bliższej znajomości nie zawarła Przyjmuje tedy, że jest Bóg i że stworzył świat i ludzi, nie chce jednak przyznać, że ludzi stworzył do żywota wiecznego i za to gniewa się nie na siebie, lecz na Boga.

Powstawały z tego powodu w duszy poetki burze, po których, niestety, nie przychodziła pogoda; z czasem rzucanie się było coraz mniej gwałtowne, w to-

mie czwartym przeszło w łagodną, ale smutną rezygnacyę, promienia słońca jednak dostrzedz nie zdołałem. To też nie można obronić się uczuciu żalu i politowania, kiedy się czyta takie zeznanie:

Nie wiem jak długo zaduma ta trwała,
Gdym się ocknęła, na czole twem bladem,
W niebo zwróconem, cicha jasność grała,
Jak nieśmiertelnej potęgi dyadem...
Wzrok twój przebijał lazury, jak strzała..
Mnie łzy z źrenicy srebrnym biły gradem..
Aż wreszcie głosem, co duszę przejmuje,
Rzekłam: On przecież jest tam.. ja to czuję!

Cierpienie jest trudną kwestyą do badania, a można ją studyować nietylko ze stanowiska chrześcijańskiego, ale nawet przyrodzonego choćby i doczesnego. Nie wiem oczywiście, czy i jak poetka w tym kierunku pracowała, z poezyi jej widać tylko, że pytała ciągle Boga, błękitów i siebie i odpowiedzi nie otrzymywała. Zresztą nie dostrzega się u niej żadnego względu na konieczne skutki przyczyn dawniej istniejących; pyta np dlaczego teraźniejsze pokolenia tak cierpią i zdaje się nie znać odpowiedzi, jaką już dawno dała historya; nie wie nic o tem, że cierpienie jest nietylko sprawiedliwością, ale też bardzo często miłosierdziem, w niem hartuje się miękki, nauczy się pracy próżniak, w niem odrodzą się zwyrodniali, pogodzą się i połączą poważnieni, słowem nie słyszała widocznie zdania jakiegoś «myśliciela», iż w obecnym stanie człowieka cierpienie jest dla niego tak pożytecznem i koniecznem, że gdyby go nie było, trzebaby je było wynaleść.

Nic podobnego u p. Konopnickiej niema; rozum i rozwaga w jej rymach nie przemawiają nigdy, hartu

mężkiego, tej przepięknej odwagi, która walczy, cierpi, uczy się, z cierpienia korzysta, oczyszcza się, wznosi, uszlachetnia w ogniu walki i ofiary, ani śladu; jest tylko ciągły lament, niedołężne szlochanie, histeryczna nadczułość i upór kobiety, która o żadnych racyach słyszeć nie chce, tylko domaga się swego — cierpienia nie chcę, nie, nie, nie i nie!...

Co w tem wszystkiem jest prawdziwie... zajmującem, to zwykła logika poetki naszej Podług niej za wszelkie cierpienia na ziemi odpowiadają nie ci, którzy w 10-ciu wypadkach, dziewięć razy są sami ich przyczyną, ale Pan Bóg. O to jednak mniejsza, bo to zwykły system p. Konopnickiej; młodzi, czy niżsi, nigdy według niej nie winni, tylko wyżsi; więc gdy Bóg jest najwyższy, On winien wszystkiemu złemu, zupełnie jak u mahometan, nie uznających przyczyn drugich. Kiedy jednak tak z jednej strony Bóg za wszystko jest odpowiedzialnym, co ludzie zrobią, albo czego nie zrobią, jakby byli manekinami poruszanymi za pomocą sznureczka, z drugiej strony p. Konopnicka głosi, że Bóg ludzkości na nic niepotrzebny, bo ona sama sobie wszystko zdobędzie, że, owszem powinien się mieć wobec niej na baczności, bo może ocknąć się i zażądać od Niego rachunku; a wtenczas, kto wie, co być może.

Wiarę w taki samorzutny i konieczny rozwój ludzkości, p. Konopnicka w wielu miejscach wypowiada, jak np. w «Odpowiedzi»:

Lecz wiem, że w wiecznych następstwa ogniwach
Przerwy nie będzie.. że ludzkość nie stanie,
Na żadne klątwy i żadne wołanie,
Aż znajdzie prawdę—i Boga—

To znowu powiada do ludzkości w «Co jest życie»:

Ileż ty ra·y, o biedna ludzkości,
Wzniesiesz się jeszcze i padniesz znużona
Zanim podstawy dla swojej przyszłości
Wyczerpniesz z własnego łona!

Ta wiara w postęp ludzkości stały, konieczny i przytem «czerpany z własnego łona», jest, jak wiadomo, wymysłem szkół niechrześcijańskich, najzupełniej niezgodnych z rzeczywistością i prawdą. Niechrześcijanie popełniają tu rozmyślnie znany w logice sofizmat, rozciągając do całości to, co tylko o części da się powiedzieć. Ponieważ w części ludzkości, *idącej pod sztandarem Krzyża*, widzą postęp, więc zawyrokowali, że postępuje ludzkość cała i postępuje zawsze.

Cel tego oczywisty: zaprzeczenie Boskiego początku chrześcijanizmu i jego wpływu. Tymczasem faktem jest, którego owi myśliciele nigdy widzieć nie chcą, chociaż im go bardzo wyraźnie wskazują, że *cała* ludzkość bynajmniej nie postępuje, bo gdzie Krzyż nie świeci, tam panują ciemności — nie postępują ani arabowie, ani murzyni. Nie postępuje też ludzkość koniecznie, bo nawet chrześcijanie, gdy z drogi Krzyża zejdą - cofają się wstecz i w ciemności.

P. Konopnicka zdziwiłaby się niezmiernie, gdyby zobaczyła, jak my to widzimy, że i ona, rzeczniczka ciągłego postępu i prorokini błękitnej, złotej i białej przyszłości, razem z całym swym hufcem — niosącym «sztandary», cofa się wstecz ku pogańskim ciemnościom i pogańskiemu barbarzyństwu, przez to faktycznie zaprzeczając sama głoszonej przez się teoryi ustawicznego postępu. Wspomniałem o błękitnej przyszłości; p. Konopnicka prorokuje o niej i przepowiada ją z wszelką pewnością, a maluje farbami prawie takiemi, jak Ś. Jan w Apokalipsie Jeruzalem niebieskie. Jest to tak-

że niechrześcijańska antyteza chrześcijańskiego nieba; ponieważ jest ono dla nich teoryą «nienaukową», więc wynaleźli sobie niebo naukowe na ziemi.

Ludzkość idąca naprzód *koniecznie* i czerpiąca wszystko *z własnego łona*, dojdzie z czasem do zupełnej równowagi i wtenczas będzie raj na ziemi, nastanie przyszłość złota i błękitna, a jeśli kto woli, biała i różowa. Dla niej to tysiące pokoleń, zmieniających się na ziemi we łzach i cierpieniu, będą tylko podłożem, *humusem* dla pięknych owoców, których kosztować ani widzieć nigdy nie będą. Innego nieba i szczęścia ludzie mieć nie będą Pominąwszy już to, że ze wszystkich pseudo postępowych teoryi ta mrzonka jest najwięcej do bańki mydlanej podobną, nietylko bez żadnej naukowej podstawy, lecz na każdym kroku zaprzeczana przez doświadczenie, wydaje mi się ona najbardziej okrutną i oburzającą Miliardy ludzi mają ginąć w rozpaczy i otuchą jedyną ma być dla nich to tylko, że ktoś, kiedyś i gdzieś będzie szczęśliwy, szczęśliwością zwierzęcia! Wielką zaprawdę dla nas pociechą może być wiara, że za lat 2000 prusak nietylko będzie się zapychał kiszką grochową, ale jeszcze i szperkę będzie miał w dodatku!

P. Konopnicka nietylko wieszczy przyszłość ziemi, lecz zajmuje się dość pilnie losami całego wszechświata, bada źródła bytu i niebytu, rozprawia o światach i kometach, a zdarzają się jej przytem wypadki arcy ciekawe, przez nikogo jeszcze od kiedy świat światem niedoświadczane. Widzi np. jak chaos rodzi bogi i karły. to znowu czuje, że przepaść dyszy, raz nawet słyszała, jak otchłań toczyła jej nad głową «skały syzyfowe» — wszystko to niezmiernie zajmujące. Ile przytem wyekspensowała poetka jutrzenek, komet, pe-

rel, szkarłatów, ile szumu, huku, piorunów i błyskawic, ile otchłani, przepaści i chaosu, dokładnie wykalkulować trudno. Mogę wszakże prawdopodobnie twierdzić, że najwięcej wyszło przepaści i otchłani z niemałą domieszką chaosu. Przytem sprawiedliwość wyznać nakazuje, że tych wszystkich dalekich rzeczy, poetka zbyt do serca nie bierze; z ich racyi Panu Bogu nie bluźni, ani nad ich losami łez nie roni, zostawując je dla ziemi, co zresztą bardzo słuszna: bliższa koszula ciała, niż kaftan.

Tymczasem o najbliżej tyczącem się nas pytaniu, o nieśmiertelności duszy i życiu przyszłem, p. Konopnicka zdaje się nie mieć żadnego wyobrażenia; — owszem ma nawet o wierze pod tym względem naszej najdziwniejsze pojęcia. Tak np w wierszu «W Zaduszny dzień» poetka najpierwej z ogromnym impetem napada na tych, którzy «z zastygłą piersią i usty zimnemi, klękają dla zwyczaju na mogilnej ziemi»; i niewiadomo dlaczego, za co i po co zasypuje ich pytaniami: czy żyją, gdzie duch ich, w jakie ideały wcielił się płomień biały ich życia, gdzie ujście dla sił ich, gdzie ich dusza? Powiada, że chwyta ją nad nimi żal nieutulony, że kazałaby bić we dzwony i stać załamawszy ręce, jak głaz nad ich grobem; przepowiada im ni mniej ni więcej tylko – śmierć powtórną, jak w Apokalipsie.

Po tym niezrozumiałym dla mnie wybuchu następuje dowodzenie, że w mogile nie ma wiecznego spoczynku, bo natura wiecznie działająca nie da spokoju «prochom rozwianym, na które szereg odmian w grobie czyha». Kiedy się czyta takie i podobne im rzeczy, uparcie nastręcza się pytanie: gdzie jednak ta kobieta chowała się i rosła i jakim sposobem mogła

wychować się w kraju od lat tysiąca chrześcijańskim tak doskonała poganka, że nawet nie wie, iż «wieczny odpoczynek» nie stosuje się do ciała leżącego w grobie, lecz do duszy zbawionej? Zresztą z właściwą sobie logiką, p. Konopnicka, w kilka lat później, żegnając zmarłego St Grudzińskiego, powiada do niego:

Ach dla śpiewaka, co żył między swemi,
Nie mamy więcej nic nad garstkę ziemi,
Na wielką ciszę i spokój mogiły,
I łzy—i kwiaty . . . .

Zwykle tak bywa z ludźmi, że gdy się zajmą sprawami dalekiemi, z konieczności muszą zaniedbać bliższe; tak też stało się z p Konopnicką. Zajęta wszechświatem, bolejąca nad «nędzą myśli Bożej», zmuszona do poprawiania na każdym kroku omyłek i niedbalstwa Stwórcy wszechrzeczy, nic dziwnego, że nasza poetka nie miała czasu dowiedzieć się dokładnie o tem, co się działo na naszej mizernej planecie przed swojem przyjściem na świat. Pyta ona, i to nawet dość natrętnie Pana Boga, kiedy nareszcie da się ludziom poznać, kiedy z prawdy zerwie zasłonę, kiedy wskaże ludzkości cel jakiś i drogę do niego i ani się jej zamarzy, że to wszystko już dawno zrobione, że ludzkość do tego celu idzie bardzo dawno, że droga do niego już przepojona łzami jej i krwią, i potem. I znowu zapytać potrzeba, jak u nas wychowała się poganka, nie wiedząca o sprawie Odkupienia, o dziele Chrystusowem, o Kościele Jego? O tym ostatnim jednak p. Konopnicka wie, ale wie dlatego, żeby Go nienawidzieć i potwarzać.

Wspomnę tu tylko o tem, że podług niej «Kościół (albo świat chrześcijański) liczne ustawy kreślił zadumany — Prócz jednej tylko ustawy miłości». Nie

każdy wyobrazić sobie nawet potrafi, jakiego niezgłębionego trzeba było nieuctwa i razem jakiej niezachwianej wiary w swych nauczycieli, żeby można napisać coś równie niesłychanego.

A co to za traktowanie Kościoła! Np. w «Janie Husie» zapewnia: «Sobory nudzą Rzym, *daję wam słowo.* — Więc bez obawy bądźcie dobrzy ludzie». Jak jednak nizko trzeba cenić swoje słowo, żeby je dawać tak lekkomyślnie, jak gdyby to były wytarte dwa grosze.

Najjaskrawszym objawem nienawiści p. Konopnickiej do Kościoła, były trzy dramatyczne fragmenty. «Z Przeszłości» wydane w Wilnie w 1881 r. W nowych wydaniach jej poezyi tych sławnych fragmentów już nie ma; czy je autorka usunęła, wstydząc się niezmiernie lichej roboty, czy nie chciała może wojować zbyt widocznym paszkwilem, nie wiem; ale ponieważ wycofane zostały niejako z obiegu, więc i mówić o nich nie będę; natomiast słówko o «Janie Husie», wierszu napisanym z powodu obrazu Brożika. Zaczyna się on w sposób niezrównany:

Stoję przed wami i *milczę*. O sędzie,
Wy nie jesteście dla mnie sądem Boga!

I temu *milczącemu* Husowi gęba się nie zamyka przez całe dwie kartki; odrazu widać, jak dalece poetka jest przyzwyczajoną do logiczności we wszystkiem! Następują po tem różne rzeczy: porównanie Husa do Chrystusa (ba! przecież Go porównano kiedyś z Barabaszem) dalej konieczne zwalenie wszystkiego na Rzym i na «rzymskie pany», potem zapewnienie, że blednie (Hus), bo widzi «jak na ziemię czeską idą cienie,— Bo widzi groźnie strzaskane sklepienie nad własnym dachem» i t. d. i t. d. P. Konopnicka, powtarzając sta-

rą piosnkę, nic nie wie o tem, że w katolickiej średniowiecznej Europie herezya była tem samem, czem w obecnej jest anarchizm; heretycy tak samo burzyli podstawy społeczne wówczas jak dziś dynamitardzi, radykaliści, socyaliści i t. p. Prześladowało ich i karało prawo państwowe, a biskupi odgrywali taką rolę, jak dziś przysięgli. Nie mogli zaś powiedzieć że Hus, lub Wiklef nie byli heretykami, skoro nimi byli i to w bardzo niebezpiecznym rodzaju. Jakoż następstwa sprawdziły, że cesarz Zygmunt prześladując Husa i jego herezyę, miał zupełną słuszność. Historya świadczy, że nauka tego apoteozowanego męczennika krwią zalała, ruinami i zgliszczami pokryła biedną ojczyznę Husa i że on to sam był sprawcą owego «groźnie strzaskanego sklepienia nad własnym dachem», on to sprowadził owe cienie, które widząc, bladł rzekomo. W każdym innym razie sprawca tylu nieszczęść własnej ojczyzny zasłużyłby niechybnie na przekleństwo, no, ale on powstał przeciw katolicyzmowi... więc—męczennik.

Nie przeczę, że spalenie żywcem jest śmiercią okropną, ale czy to takie rzeczy działy się w onych wiekach?—Takim był duch czasu. Gdyby ktoś np. żyjący przed 500 czy 600 laty tak się odzywał o Bogu i tyle bluźnierstw przeciw Niemu powiedział, co p. Konopnicka, przebitoby mu język rozpalonem żelazem. podług ówczesnego kodeksu karnego; a współczesnym zdawałoby się jeszcze, że zbyt łagodnie z nim postąpiono.

Najlepiej jednak może swoją znajomość i pojmowanie chrześciaństwa wyraziła p. Konopnicka we «Fragmencie» (t. I str. 216).

Nie, to nie była grecka kolumnada,
Z której kaskadą jasność dzienna spada,

. . . .
O rzeźbę bogów nie biło tam morze,
Jak wino Cypru zamknięte w amforze,
Co, szumiąc, w perły rozpryskuje fale.
Nie, tam nie rządził Zeus ani Hero,
. . . .
. . . . i nikt niewolnikiem
Nie przyszedł na świat, klnąc jasności dzienne,
. . . .
Nikt na marmurze białym targowicy
Nie stawiał jeńcem męża ni dziewicy
Z wpół obnażonem, drżącem hańbą łonem—
Nikt nie rozdzielał matki z jej dzieciną,
Nikt na twarz starca pomarszczoną, siną,
Nie pluł z cynikiem Xenem ni Milonem,
. . . .
. . . .
Nie, to nie były te wieki zatrute,
Co mędrcom swoim dawały cykutę,
Nędznych helotów mnożąc zastęp blady...
Tam nie radzili wielcy myśliciele,
By niewolników piętnować na ciele,
Z bydłem u rzeki pojąc ich gromady.
Nikt tam za okup wolności bliźniego
Nie wziąłby miny złota ateńskiego,
By ją heterze rzucić na wonności. .
To był świat inny—chrześcijański, nowy
Co barbarzyństwa zarzuciwszy okowy,
Wiele i głośno mówił o wolności...
Stawiał świątynie, czcił Boga, kapłany,
Mnogie ustawy kreślił zadumany,
Prócz jednej tylko ustawy miłości.
. . . .
. . . .
To był świat ludzki, chrześcijański, nowy...
Tylko były tam całe tłumy ciemne,
Życia bez jutra wysiłki daremne,
Tylko tam były smutne, blade twarze,
Ręce bez pracy—bez bóstwa ołtarze (?)
. . . .

. . . .
Tylko nie wszystkich nakarmiał chleb ziemi
I źródła wiedzy wodami żywemi
Nie wszystkie usta poiły spragnione;
Tylko tam były ubogie poddasza,
Gdzie śmierć nikogo z nędznych nie przestrasza,
Bo życie nosi cierniową koronę. .
. . . .
Lecz świat był ludzki, chrześcijański, nowy
I dawno rzucił pogańskie okowy...
Nie—to nie była grecka kolumnada!

Ma to być gryząca ironia z *chrześcijańskiego* świata, ale poetka podjęła się (nie w tym tylko zresztą razie) zadania o wiele przewyższającego jej siły. Dla wojowania bowiem ironią trzeba dokładnej znajomości dwóch porównywanych z sobą przedmiotów, trzeba bystrego i dokładnie pojmującego stosunki umysłu, któryby trafnie uchwycił sprzeczność istniejącą między tem co jest, a co być powinno i uwydatnił ją w ironii. P. Konopnicka chciała zawstydzić świat chrześcijański, porównywając go z pogańskim, tymczasem każdy widzi, że nie mogła go bardziej pochwalić, jak mówiąc, że nikt się już nie rodzi niewolnikiem, nikt starcu w twarz nie plunie, nie naznaczy bliźniego piętnem hańbiącem, nie poi go razem z bydłem, nie sprzedaje jako jeńca na rynku i t. d. i t. d. Wszak to jest właśnie najpiękniejsza apologia chrześcijanizmu, lecz bynajmniej nie ironia. A że są ubodzy, i głodni, i ciemni, to najpierw nie odrazu Kraków zbudowany, a powtóre w krajach niechrześcijańskich jest tysiąc razy gorzej; potrzecie i chrześcijanie są ludźmi ułomnymi i jak z własnej winy często chorują, tak też i w nędzę wpadają. Dalej od początku chrześcijaństwa przeszkadzają mu to mieczem i torturą, to herezyą i prawami krępującemi; to szykaną i potwarzą; to modą i obojęt-

nością, a nawet, kto inaczej nie może, to choćby nieprzejednanemi wierszami.

To i wiele innych rzeczy pokombinować łatwo bardzo, nasza poetka jednak pokombinować nie może, bo najpierw w kombinowaniu nie jest zbyt biegłą, a co więcej, zaczęła się w nieprzyjaźni dla chrystyanizmu, i nie chce go widzieć jakim jest. Na to zaś niema żadnej rady.

P. Konopnicka bardzo często zajmuje się wsią i jej mieszkańcami, widzieliśmy już jak ją maluje, teraz słówko o stosunkach wiejskich, jak się w jej poezyach przedstawiają Poetka ustawicznie głosi wielką swą miłość dla ubogich «dla tych, co słabi i dla tych, co prości». Nie mam najmniejszego powodu powątpiewania o szczerości tego chwalebnego uczucia, wszakże zaznaczyć muszę, że i tutaj, jak we wszystkich swych tendencyach, p Konopnicka wybrała drogę i środki fałszywe. Wszystko prawie co ona o stosunkach wiejskich mówi, jest akordem, w którym nie ma ani jednego prawdziwego dźwięku. Najpierw tedy, co do samych wieśniaków—raczej włościan, bo tylko nimi zajmuje się p. Konopnicka. Zarzucano Brodzińskiemu, że chłop wygląda u niego świątecznie, zbyt idealnie; innym pisarzom i poetom, że go przedstawiali zbyt optymistycznie—p. Konopnicka zato zebrała u siebie tyle cieni i chmur nad chłopem i jego chatą, że możnaby je dla równowagi między wszystkich optymistów rozdzielić i jeszczeby zostało więcej, niż potrzeba. Cienie te zresztą tyczą się nie charakteru chłopskiego, lecz jego doli. Chłopi owszem, są podług niej najnieszczęśliwsze, ale też najlepsze i najosobliwsze istoty. Takie to wszystko rozśpiewane i rozpłakane, takie ślamazarne i niezaradne, takie proste, a szczere, a poczci-

we! Przytem nieszczęśliwe nad wyraz; woły im wyzdychały, po chacie wiatr świszcze, ojciec padł w polu koło sochy z głodu i nędzy, w komorze pustki — biedni chłopi p. Konopnickiej nigdy nie jedzą, wiecznie głodni— tylko śpiewają, a zawodzą. Słowem wieś polską przedstawia poetka tak, jakby to było w Irlandyi, i to za najgorszych czasów. Niewarto nad tem się rozszerzać, bo wiemy wszyscy, jak rzeczy stoją, wiemy, że to—nieprawda. Jużci jest między włościanami ubóstwo, może się zdarzyć i nędza, ostatecznie jednak położenie ich coraz lepsze i coraz więcej majątków szlacheckich przechodzi w ręce włościańskie. Drugą nieprawdą jest stosunek chłopa do dworu; podług poetki dwór jest urodzonym wrogiem chaty; batogiem uczą chłopa zdejmować czapkę przed dworem, pan odebrał chłopom wszystko, nawet gwiazdy z nieba, do dworu na służbę zabierają jedyne dziecko starej wdowie i t. d. i t. d., dwór zaś ze swej strony do żadnych względem chaty nie poczuwa się obowiązków. Oto np. przylatuje «Jaskółka» i zaczyna szczebiotać o potrzebie założenia szkoły dla chłopów, wstawia się za nią do pana i pani, ale pan słyszeć nie chce o niczem, tylko czyta gazetę i odpowiada, że «chłopu nauka, co najmniej ryzyko».

P. Chmielowski utrzymuje, że w całym zbiorku poezyi p. Konopnickiej z 1881 r. ten jeden tylko wiersz wydał mu się dobrym «w którym forma romantyczna nie zepsuła pięknej i zacnej myśli». Pozostawiając na stronie niezrozumiałe dla mnie pytanie, dlaczegoby myśl zacną miała psuć forma romantyczna, choć w niej tyle nieśmiertelnych arcydzieł zostało odlanych, dozwolę sobie wątpić, czy myśl w «Jaskółce» zawarta, jest naprawdę piękną i zacną. Jeśli idzie o pożytek ze szko-

ły, to p. Chmielowski ma słuszność, czy jednak jest pięknie i zacnie zwalać odpowiedzialność na kogoś za rzecz, której on uczynić nie może albo nie ma prawa? P. Konopnicka, jak o wielu innych rzeczach, nic wiedzieć nie chce o wyzwoleniu włościan, chociaż już prawie czterdzieści lat, jak się ono dokonało. Przedstawia więc tendencyjnie dawno minione stosunki, jako obecne, idąc w tem za przykładem takich przyjaciół ludu, jak dawniej Darasz i Mierosławski, jak dziś Kozakiewicz, Daszyński i osławiony ks. Stojałowski.

Zamiast gojenia waśni stanowej, wznawiają oni pamięć krzywd niegdyś doznanych, powiększają je nawet — bo właściwie nietyle są przyjaciołmi ludu, ile wrogami klas wyższych; miłość chłopa jest u nich orężem przeciw właścicielowi większemu, którego nienawidzą. P. Konopnicka przez jaskółkę dopomina się o szkółkę dla chłopa, p. Chmielowski twierdzi, że to zacnie i pięknie; – zapewne, zapewne, ależ zapytajcie oboje państwo obywatela wiejskiego najpierwej, czy to dlań możliwe, a powtóre czy ma za co? Ja bo znam i znałem niejednego obywatela wiejskiego, który w obecnych ciężkich czasach nie zawsze ma czem opłacić naukę własnych dzieci.

Na fałszywy akord stosunków wiejskich złożyły się nietylko nuty, które p. Konopnicka wzięła, lecz i te także, które opuściła. Ciągle ona śpiewała o krzywdach wyrządzanych chłopu przez obywatela na ziemi i na niebie, nie wspomniała nigdy o doświadczanych przez ostatniego od swych młodszych braci, o co jeszcze mniejsza; więcej dziwną może się wydać następująca okoliczność. Poetka znalazła trzy drogi wiodące z chłopskiej chaty: do dworu, na cmentarz i do karczmy, ale nie dopatrzyła dróg wiodących z karczmy do

chałup chłopskich, a szkoda, zobaczyłaby siatkę, przy której—w kąt pajęczyna. Poznałaby w karczmie bardzo inteligentnego obywatela, bez żadnych zacofanych skrupułów i uprzedzeń etycznych, zobaczyłaby, że on nie zabiera wprawdzie chłopom gwiazd z nieba, jak pan, proboszcz i organista, bo to dla niego żaden interes, ale chłopa rozpoi, zadłuży, oplącze, zabierze mu konie, bydło, chałupę, pole, a samego puści z torbami na los, jaki spotkał starego Pypcia z opowieści Junoszy (z Antropologii wiejskiej). Poznałaby czcigodną małżonkę owego pobożnego obywatela, mistrzynię w wydobywaniu od wiejskich gospodyń przędziwa i jaj, i kur, i jarzyn z ogrodu, i na co stać chłopskie gospodarstwo. Poznałaby bardzo delikatne dzieci obojga szlachetnych rodziców, które wedle sił i możności, za pomocą cukierków, papierosów i wódki, starają się wpłynąć na wiejskie dzieci, wykorzeniając z nich zasady zacofanej etyki chrześcijańskiej o własności, uszanowaniu rodziców i t. p., a zastępując je zdrowemi zasadami moralności «stadowej».

Gdyby zaś poetka nasza chciała śledzić dalej drogi wydeptane przez mieszkańców karczmy, ich krewnych i rodaków, dostrzegłaby, że po tych ścieżkach przeszły wszystkie konie skradzione, przelało się zboże, drzewo i wszystko, co bez wiedzy i woli właściciela, wyszło z jego posiadania; zobaczyłaby idąc temi ścieżkami, wiejskie okręgi, podzielone między lichwiarzy; spotkałaby na tych drogach młode dziewczęta wiezione na wschód i południe i nie potrzebowałaby pytać «Czy zginą»? Zobaczyłaby przytem podpalone osady, podsycane procesy, fabrykowane napoje i mnóstwo innych nieźmiernie dowcipnych praktyk, wymagających bardzo delikatnej głowy.

Cała ta tak obszerna sfera wiejskich stosunków wydaje się całkiem obcą naszej poetce; obcą zapewne nie jest, ale poetce niechrześcijańskiej nie godziło się źle mówić o najwalniejszych sojusznikach swojego obozu, a ponieważ dobrego nie było nic do powiedzenia, więc wolała wcale nie wspominać o pladze wsi i miast naszych.

Inną znowu zamilczaną nutą, jest religijność w życiu chłopa polskiego. Czy on zachwyca się mgłą wstającą nad rzeką, albo skrzeczeniem żabek w stawie, można wątpić; nie można wszakże nie wiedzieć, że religia stoi w jego życiu na pierwszym planie. P. Konopnicka stale tę stronę życia pomija milczeniem, czasami tylko z konieczności znajdzie się krótkie wspomnienie o Najświętszej Pannie, o kościołku i Krzyżu przedewsią, jak o dekoracyi wiejskiej, i nic więcej. Jeśli zatem to, co p. Konopnicka śpiewa o wieśniakach, jest fałszywem i konwencyonalnem, jeśli to, co opuszcza, jest rzeczą istotną, to oczywiście obraz wieśniaków w jej poezyi niewiele będzie lepszym od portretu, w którym malarz nie namalował ust, oczu i brody, a reszta twarzy chociaż namalowana, należy nie do tej osoby którą portret ma przedstawiać.

Wreszcie warto wspomnieć, że poetka, tyle razy zapowiadająca, że kocha wszystko, co swoje, wszystko, co biedne, cierpiące a nieszczęśliwe, nie spotkała się ani w mieście, ani na wsi z ludźmi bardzo cierpiącymi, bardzo nieszczęśliwymi, upokorzonymi, poniewieranymi. Na ludzi tych spadły cierpienia zasiewane oddawna; urodzeni i wychowani w dostatku, zeszli na poniewierkę i nędzę, ale poetka o nich nie wie, bo pochodzą z klasy obywateli wiejskich, bo to szlachta; owszem przedstawia ich jako pijawki i gnębicieli ludu.

A jednak jakie rozdzierające sceny odgrywały się w tych rodzinach!—jakie nieraz krzyże dźwigali i dźwigają ci ludzie!

Pani Konopnicka nic o tem nie wie, chociaż to także mieszkańcy wsi--tak, ale w jej obozie obywatele wiejscy i surdutowi wsi mieszkańcy, są na to tylko, aby prenumerowali pisma i kupowali poezye, w których ich z błotem mięszają, jednej uczciwej na nich nie zostawiając nitki.

Na tem kończę analizę poezyj p. Konopnickiej, opuszczając wiele bardzo—wszędzie zresztą znajdziemy to samo: niewolnicze posłuszeństwo hasłom bezwyznaniowego obozu i przejęcie się niemi do szpiku kości. To jednak, cośmy przepatrzyli, wystarczy do naszego celu. P. Konopnicka, jak na początku zaznaczyłem i jak wszyscy wiedzą, ma świetny talent poetycki, można jednak do niej zastosować czyjeść powiedzenie: wielką jest w swoim rodzaju, ale rodzaj jej mały. Ma ona talent kobiecy; to co czuje, potrafi bardzo pięknie wyśpiewać, to co widzi, bardzo ładnie opisać, czasami coś krótkiego zręcznie opowiedzieć—więcej nic. Daru twórczego nie wykazała wcale i próby w tym zakresie wypadły bardzo nędznie. Gdyby z temi zdolnościami p. Konopnicka pozostała w zakresie naturą jej talentu wskazanym, gdyby pozostała na gruncie całemu narodowi znanym i rodzimym, gdyby kochała to, co on kocha, gdyby pisała o tem, co rzeczywiście znała i rozumiała, nie widziałaby zapewne, jak chaos rodzi bogi i karły, aniby słyszała jak przepaść toczy nad jej głową skały syzyfowe zwątpienia; zato zamiast oglądania tych bezsprzecznie ciekawych osobliwości, byłaby dla wszystkich zrozumiałą, miałaby jedno serce ze swym ludem, byłaby jego słowikiem; — pieśń słowika

zaś tak jest miłą, tak słodką w dniach wesela, a może jeszcze więcej w dniach smutku! Na nieszczęście, p. Konopnicka ze swem wątłem czółenkiem puściła się na wody nieznane i obce, które do nas przypłynęły z Zachodu, potok niedowiarstwa porwał ją i zatopił zupełnie.

Jak gąbka wsiąka wodę, tak p. Konopnicka przejęła się zasadami modnemi wówczas; a chociaż one nieraz zostawały z sobą w sprzeczności, poetka je wszystkie przyjmowała pod jednym warunkiem: żeby były niechrześcijańskie i niekatolickie. Niema też bodaj ani jednego punktu, w którym byłaby w zgodzie z naszą Wiarą, oprócz istnienia Pana Boga. Ten tedy potok porwał ją i na całą jej wpłynął poetycką działalność. Prąd ten, skierowany przeciw Bogu i Jego Wierze jest przedewszystkiem objawem pychy ludzkiej, więc też pod jego wpływem p. Konopnicka wydęła się niepomierną pychą i zarozumiałością. Nie było przedmiotu na niebie i na ziemi, o którymby nie mogła rezonować, a ponieważ, jak z owych rezonowań widać, ani siły umysłu, ani przygotowanie naukowe, tak górnej pretensyi nawet w części wyrównać nie mogły, więc kończyło się wszystko na pytanich rzucanych na każdym kroku (to się nazywa poruszaniem najważniejszych i najgłębszych kwestyi) na nadętych frazesach, na doborze słów i zdań dziwacznych, których ani autorka, ani czytelnicy nie rozumieli. Po całej tej logomachii pozostawało to, co po bańkach mydlanych — odrobina rozwodnionego mydła. Tą nieznośną zarozumiałością nadęta, rozpoczęła prokuratorskie dochodzenie przeciw Panu Bogu, radząc Mu, wstydząc Go i ostre czyniąc wyrzuty, a tak była siebie pewną, że nawet kiedy się

przed Nim upokarzała, to jednak miała odwagę przemawiać do Niego w ten sposób:

Ciebie — co wszystko wiesz — ja się nie boję,
Sam zostań ze mną — i zamknij podwoje!
Ja wobec Ciebie mam dosyć odwagi
Stanąć jak posąg przed mistrzem swym — nagi!

Przedewszystkiem jużci razi nietrafne porównanie, bo posąg nagi jest wprawdzie takim wobec mistrza swego, ale i przed obcymi nie ubiera się w surdut i nie naciąga szlafroka, lecz o to mniejsza; najwięcej rażą one przechwałki nad któremi możesz tylko z politowaniem kiwać głową i westchnąć do Boga, żeby autorce dał promyk łaski do odmówienia raczej: «Zmiłuj się nademną Boże, według wielkiego miłosierdzia Twego, a według mnóstwa litości Twoich zgładź nieprawość moją».

A co już mówić o ludziach? Do ludzi bez żadnej ceremonii wołała p. Konopnicka: *ja* wam to mówię — *ja* mówić mam siłę», — jak gdyby nadzwyczajną rzeczą było, że się znalazła kobieta, która mówić ma siłę. Kiedy więc p. Konopnicka rozprawia o pytaniach kosmicznych lub metafizycznych, kiedy mówi do Boga, prawie zawsze brzmi struna fałszywa; tak samo w kwestyach historycznych, socyalnych, psychicznych, bo na wszystko patrzy przez szkła swoich pseudo-postępowych zasad, które są fałszywemi. Ponieważ fałsz zostaje w sprzeczności z prawdą, a często i z samym sobą, więc poezye p. Konopnickiej roją się od sprzeczności najjaskrawszych. To też p. Jeske Choiński słusznie powiedział, że przy czytaniu jej poezyj myślącemu mężczyźnie włosy na głowie powstają. To prawda, powstają, ale w gruncie rzeczy nie całkowicie z winy poetki, wszak ona powtarzała to tylko, czego ją nau-

czyli jej mistrzowie, czemu ona święcie wierzyła, nie mogąc pokombinować, ani dopatrzeć owych sprzeczności. Wypowiadała wszystko ze szczerego serca, nie umiejąc owijać i nie wiedząc, że trzeba owijać w bawełnę i co mianowicie.

Takim sposobem ogromna większość poezyi p. Konopnickiej jest zbiorem dyssonansów w niczem śpiewu słowika nie przypominających; pięknem pozostało to tylko, co odpowiadało jej zdolnościom i naturze, do czego się przecisnąć nie zdołała trucizna bezwyznaniowości: opisy natury, trochę liryki i trochę obrazków.

Taki był wpływ pseudo postępowych pojęć na twórczość p. Konopnickiej, a jakiż był na jej duszę? Obszerną na to odpowiedź dają jej własne zeznania; ze swojemi mniemanemi prawdami, ze swoją wiarą w błękitną przyszłość ludzkości, z gotowością stanąć przed Bogiem, jak posąg przed mistrzem, poetka świadczy o sobie:

Ach czemuż burzą tęsknoty porwana
I uniesiona przez wieków podmuchy,
W wiecznej pogoni za widmem znikomem
W namiętnych marzeń i porywów szumie,
Jako zaklęte, latać muszę, duchy
Po nad tą ziemią, która mi jest domem,
I wiecznie pragnąć i wiecznie się smucić,
I tak się trawić, jak płomień skrzydlaty.—
Czemu nie mogę spocząć?..

To też powiada ks. J. Gnatowski: «ta bezmierna tęsknota, ten smętny niepokój duszy i ciągły wewnętrzny rozdźwięk, to główna treść uczuć i umysłowego nastroju p. Konopnickiej». Dodam, że tęsknoty, rozdźwięku, smutku, zadużo już nawet. Ktoby w poezyi p. Konopnickiej szukał czegoś dodatniego, doznałby zawodu,

znalazłszy tylko jęki, płacz, desperacyę i ani jednego promienia jasnego, bo nawet owa błękitna era szczęścia na ziemi, gdzieś tak jeszcze daleko, że wiara w nią nawet jej apostołce nie przeszkadza opuszczać rąk i upadać na duchu; ktoby szukał u p. Konopnickiej pociechy, znalazłby ją w następnym rodzaju:

Nie płaczcie smutni!. . .
. . . .
Czy wy myślicie, że ust waszych skarga
Jakieś marzenie wieczności potarga,
I że rozdźwiękiem bić będzie w błękity,
Aż Bóg się zbudzi ukryty?
Oh, świat zbyt wielki! wy na nim zbyt mali!
Choćbyście łzami krwawemi płakali,
Nic się nie wzruszy – i nic się nie zmieni
W wiecznie pogodnej przestrzeni!
Krzyk uciśnionych nędzarzy nie sięga,
Gdzie nieskończoność atomów ruch słyszy...
Żaden głos do was nie ozwie się w ciszy;
Milczenie—bogów potęga!

Nie ma co mówić, zachęcająca perspektywa—równa potężnej logice, podług której, nieskończoność słyszy ruch atomów, ale nie słyszy krzyku nędzarzy, chociaż krzyk, to także ruch atomów. Jakież jednak mogą być owoce błędu, fałszu, zaślepienia pychy, jeśli nie najgorsze? «Nie może drzewo złe owoców dobrych rodzić» i niemałą jest zasługą pani Konopnickiej, że tak bez osłon żadnych, tak szczerze i otwarcie opowiada przed ludźmi, co się w jej sercu i umyśle dzieje, odkąd pogrążyła się w fali «prądu postępowego», jak go zwać lubią jego zwolennicy.

Zresztą trzeba każdemu oddać sprawiedliwość: główną winą p. Konopnickiej jest to, że odwróciła się od chrześcijanizmu—nie znając go; że go osądziła—nie

słuchając go; że uwierzyła prądom pogańskim na słowo, a uwierzyła tak głęboko i szczerze, iż nic nie mogło wiary tej zachwiać; z tej głównej winy, poszło i to, że choć w «Co ja sieję?», zdaje się jej, że sieje «ciszę i pogodę i ciepło», że «siew rzuca w rolę przyszłości», że jej «kamień mogilny mieć będzie napis—braterstwo i zgoda»—to jednak w rzeczywistości siała chłód i zwątpienie, chmury i mgłę; że rozżarzyłaby, gdyby lud jej wiersze czytał, uspokajające się nienawiści, że w przyszłości nic nie zbierze, prócz dwóch, trzech chwastów z jej zasad wybujałych. Jedno tylko możliwe, to ów napis na grobie; jeśli egzekutorowie testamentu każą go wykuć na kamieniu mogilnym—to będzie.

Jeszcze o jednym kamieniu wspomina p. Konopnicka na końcu tego wiersza, mówiąc: «a teraz rzućcie, gdy chcecie kamieniem. ale jeżeli ja wzruszę choć jedną zaskrzepłą w lód duszę... kamień u stóp mych upadnie ze drżeniem». Nie życzę poetce kamienowania, owszem pragnę dla niej zupełnie szczerze przebaczenia ze strony Boga i bliźniego, ale przyznaję, że gdyby doszło do egzekucyi, byłoby niezmiernie zajmującą rzeczą widzieć owo drżenie kamieni; byłby to fenomen nigdy bodaj dotąd nie obserwowany!

Pomimo jednak wszystkich win i wad naszej poetki, trzeba jej oddać sprawiedliwość i przyznać pewne zalety, jak np. miłość dla cierpiących, chociaż jednostronną i chorobliwą jakąś, i wielką miłość swej ziemi; nie widzi ona wprawdzie dróg, któremi pająk w szynku siedzący, ulubionych jej chłopków oplątał, ale przynajmniej nie zwala na nas odpowiedzialności za czynności semickich naszych współ-lokatorów, nie rzuca społeczeństwu swojemu w twarz krwawej obelgi, że

prześladuje żydów za śniady kolor ich twarzy i za miłość swej sławnej dziejowej przeszłości. W pieśniach miłosnych p. Konopnicka jest zawsze przyzwoitą, nie pozwala sobie na wybryki swawolne, jak jej męzcy koledzy; wreszcie, co do mnie, czuję dla niej prawdziwą wdzięczność jeszcze i za to, że pomimo swej niewiary, pomimo predylekcyi dla pogaństwa, nie poważyła się jednak nigdy napisać: «Wenero, ty *madonno grecka*»! Oby jej to zaliczonem i porachowanem zostało! Jakkolwiek bądź, sama poetka najlepiej może określiła swoją działalność i swój stan duchowy:

. . . . Ty sam wiesz, o Panie!
Że serce moje nakształt harf pękniętych!
Jest zawsze pełne—i jęków—i krzyków—
I *zaduszonych*, wiosennych *słowików!*

Tak, p. Konopnicka mogła być słowikiem naszym, dał jej Bóg wszystko potemu, ale ją zdusiło niedowiarstwo i ta stęchła, trująca atmosfera duchowa, w której żyje przeważna część naszych poetów i literatów. Kilka zaledwie słowiczych dźięków ów słowik wydał, reszta wyrodziła się w syczeniu nienawiści, jęku, bolu, westchnieniach znękanego serca — a szkoda, nieodżałowana szkoda!

Na zakończenie przytoczę bardzo trafne słowa ks. Gnatowskiego z jego studyum «Jeden z prądów naszej poezyi współczesnej»: «Dla nas, patrzących z dołu, losy tej postaci, pełnej uroku i piękna, pomimo jej stron ujemnych, przypominają jej własne poetyczne porównanie do człowieka porwanego wichrem i unoszonego po nad ziemią Bóg wie dokąd i dopóki. Ach, i ją porwał także wicher, któremu nie umiała się oprzeć i odrywając złote pióra z jej skrzydeł, niesie ją w dal ku nieznanym brzegom, po nad ciemne otchłanie i ska-

liste urwiska. I smutno się robi, myśląc, że ten duch biały, któremu Bóg położył na czole znak swoich wybranych, wolał stać się kometą błędną, latającą bezcelowo wśród chłodnych i pustych przestworów, niż jedną z gwiazd złotych, okrążających słońce".

ROZDZIAŁ VI.

Adam Asnyk.

Kiedym przed kilku laty, wracając z Jerozolimy, wstąpił do Egiptu, zdało mi się prawie, żem się dostał do raju ziemskiego. Po pustej, spalonej, dzikiej Palestynie, znalazłem się w Egipcie zaraz po wylewie Nilu; kraj cały zielony i kwitnący, ludzi wszędzie jak mrowia, a żelazna ręka anglików zaprowadziła ład i porządek, przynajmniej na oko.

Nie był to jeszcze mój rodzinny Wołyń, zawsze jednak po Palestynie—istny Eden. Podobnego uczucia, czy wrażenia doznałem, gdy przestudyowawszy cztery tomy poezyj p. Konopnickiej, zabrałem się do Asnyka. Nie powiem, żeby mnie wszystko w nim zachwycało, żebym się godził na wszystkie jego zdania; nie jest to poeta, którego pieśni mógłbym zawsze powtarzać, ale po histerycznem miotaniu się p. Konopnickiej, po jej rozstrzelonem rozumowaniu, jej wznoszących włosy na głowie sprzecznościach, nieznośnych bluźnierstwach i płaczliwych lamentacyach, poezye Asnyka wydały mi się źródłem wody i drzewem cienistem w pustyni.

U El...ego spotykamy nieraz fałszywe dźwięki, i on także cierpi, walczy, szuka, ale widzimy też u nie-

go wytężoną pracę wyższego, męzkiego umysłu; widzimy hart w cierpieniu i myśl latającą po takich wyżynach, jakich nawet nie dojrzała nigdy poetka egzaminująca Boga za pomocą „pytań rzucanych w błękity“.

W Warszawie, w 1899 r., pod redakcyą p. St. Krzemińskiego wyszły poezye El...ego (Asnyka) w 5-ciu tomach, z których dwa ostatnie zawierają utwory dramatyczne; wydawca uważał za stosowne podzielić je podług treści na XII działów. Takiemu układowi można zarzucić, że nie daje choćby przybliżonego pojęcia o chronologicznym rozwoju pojęć i uczuć poety, jakoteż, że nie zawsze dokładny podział jest możliwym (to też znajdują się liczne pod tym względem niedokładności), z drugiej za to strony przedstawia tę dogodność, że pozwala łatwiej się oryentować w spuściźnie poety, a dla mnie jeszcze i tę, że łatwiej mi ją będzie analizować. Pójdę więc za wydaniem warszawskiem.

W pierwszym dziale znajdujemy utwory wskazujące jakie Asnyk miał wyobrażenie o swej sztuce, jej zadaniu i naturze. Najpierw spotykamy znane powszechnie: „Publiczność do poetów“ i „Poeci do publicznosci“. Publiczność prawi poetom srogie *verba veritatis,* których sens główny na tem zależy, że już jej się sprzykrzyły ckliwe pienia o cierpieniach miłosnych, w których „Pełno lamentów, zniszczenia, zagłady— Zmarnowanego życia i papieru“—co wszystko snuje się z jednego wątka, „Z kapryśnej pozy ładnego dziewczątka“—że się jej przejadły poematy zaprawne ironią—„bardzo piekielne, choć niegramatyczne“ i kończy zdrową radą:

«Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości;
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem,
I budźcie w sercach pragnienie piękności».

Skruszeni poeci odpowiadają z budującą pokorą i przyznają się do winy; tłómaczą się jednak, zaczynając od bardzo smutnej, ale arcy rzeczywistej prawdy.

„Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,
. . . .
Wieku, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył".

wieku, który „żadnej świętości marzeń nie przebacza", a dalej, rozwijając myśl swoją, malują współczesne społeczeństwo—ale takiemi farbami, że mimowoli nasuwa się przysłowie o kimś, kogo zanadto czarno malują! Obraz ten przypomina mi mowę jakiejś żydówki z powieści Junoszy do męża swego: powiedziała mu ona tylko kilkaset wyrazów, ale ani jednego poczciwego, i tutaj niema ani jednego dodatniego rysu. O tym obrazie pomówimy jeszcze w rozdziale następnym. Obronę swoją, z wielką werwą wypowiedzianą, kończą poeci dwuwierszem:

«Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
Tacy poeci, jaką jest publiczność»!

Zapewne jest w tem sporo prawdy, ale gdzież w takim razie owo przewodnictwo, o którem tak ciągle marzą i śpiewają synowie „w dal godzącego" Apollina, gdzie potęga pieśni, gdzie budzenie społeczeństwa? Co na to powie Tyrteusz, tytany i różne inne potężne duchy, nie dające spać spokojnie pokornym piastunom Orfeuszowej lutni?

„Napad na Parnas" w pierwszej swej części drga życiem i lśni blaskiem niezrównanego humoru. W drugiej Apollin prawi napastnikom morały; oczywiście czytamy w nich pojęcia samego autora o stosunku poezyi

do nauki pozytywnej. Zasadniczemi strofami zdają mi się następujące:

Tej krainy śpiewnych marzeń (t. j. uczucia)
Nietykalną jest potęga,
I wśród wszystkich przeobrażeń
W ideału sferę sięga:
Gdyż królewska pieśni władza
Wieczne swoje panowanie
Na uczuciach tych zasadza,
Co nie mogą uledz zmianie.
Idealnych snów przędziwo
Wiecznie snuje dla człowieka;
Serc tęskniących walkę żywą,
W strój piękności przyobleka.

Napastnicy mogliby odpowiedzieć „w dal godzącemu“, że wyśpiewanie swoich uczuć nie spełnia jeszcze całego zadania poezyi i że kraina „śpiewnych marzeń“ bynajmniej nietykalną nie jest, lecz owszem w bardzo ścisłym zostaje związku z pojęciami i zasadami indywidualnemi, lecz odpowiedzieć nie mieli czasu. Apollo zamknął im usta przemocą, kazawszy jednemu z nich wyć „romans dwóch komórek w pacierzowym tkwiących rdzeniu“. Piewca dobył głosu tak wdzięcznego, że napastnicy się rozpierzchli, pokój zapanował na Parnasie i „tylko wieszcze dotąd wodą—okładają swoje boki“.

„Zmierzch melodyi“, oraz „Przeminął czas“ zawierają skargę na zanik poetyczności w społeczeństwie, i rozpanoszenie się trzeźwych, owszem poziomych nawet pojęć i pragnień. W drugim utworze pociesza się poeta nadzieją, że „błyśnie dzień, w którym duch ludzki na nowo ożywi uschły życia pień—girlandą kwiecia różową“—

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży,

I z labiryntu ciemnych snów
Na światło dzienne wybieży.

W „Odpowiedzi przeszłości" poeta ulega złudzeniu, podzielanemu przez wielu, mało znających pogańską przeszłość, i widzi starożytną Grecyę, w której jakoby „wszędzie zdrój życia jasnym nurtem płynie—każdy wesoło w błękity spoziera—Bez skargi żyje, bez jęku umiera"!

Wywołany cień grecki powiada, iż działo się tak dlatego, że wszyscy żyli nie dla siebie, lecz dla drugich, „że szli wiedząc, gdzie dążą i po co, z obróconemi do światła oczyma". Oczywiście jest to sobie fantazya poetyczna, z rzeczywistością ani trocha niezgodna—niewiadomo też co robi wśród utworów illustrujących opinię Asnyka o poezyi.

„Na zgon poezyi" również jak „Przeminął czas", zapowiada powrót poezyi, która nie umarła, lecz „w obłoku—na chwilę tylko uszła ludzi wzroku".

„Odpowiedź" jest namiętną repliką na jakieś nieznane mi zarzuty i zawiera poglądy raczej na życie, niż na poezyę. Z początku poeta wyśmiewa wierszopisów, zajętych tylko sobą, obojętnych na wszystko, co się w koło nich złego lub dobrego dzieje, radzi im „z aniołami wejść w przymierze—I wyjednać nam, co czarni—I skalani i poczwarni — długą mękę co grzech gładzi".

Lecz tu w ciemnej piekieł kuźni
Moc zuchwała niebu bluźni —
. . . .
Ezechiela wtórząc głosem,
Urągając się niebiosom,
Każe nowym duchom zstąpić
I ożywić prochy łzawe
. . . .
. . . .

Takim duchom więc przystało
Nie przebrzmiewać dawną chwałą,
. . . . ,
Lecz w zawodów ciągłej kaźni
Bez litości bez bojaźni,
W niebo wściekłą pięść podnosić.

Podobne usposobienie wypowiedział raz jeszcze Asnyk w wierszu „Do. . . .“ (podług p. Chmielowskiego był to ktoś z przyjaciół poety). „Przekleństwa synu, co Kaina piętnem—Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę—Przybywaj do mnie‘ ! A dalej znowu:

Lepiej ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębie,
. . . .
Niżli do boju stanąwszy z Jehową,
Przeglądać bytu i nicestwa głębie —
. . . .
Razem więc z tobą, synu potępienia,
Nad Babilonu wodami usiędziem
A nieśmiertelni wielkością zwątpienia,
Z swej piersi głosu strasznego dobędziem i t. d.

Obydwa te utwory są zapewne wybrykiem jakiegoś chwilowego rozdrażnienia, jakiegoś stronniczego sporu. Asnyk zbyt był uczciwym człowiekiem, żeby się bratał z synami potępienia, napiętnowanymi znamieniem Kaina, a nadewszystko zbyt był rozumnym, żeby nie wiedział że w tem, co w chwili uniesienia napisał, niema sensu za grosz jeden. Zaprawdę łatwo „mocy zuchwałej, co niebu bluźni“ kazać nowym duchom ożywić prochy łzawe, ale żaden duch rozkazu nie usłucha i prochy prochami zostaną.

Jeżeli kto wierzy w Jehowę, rozumie to dobrze, że tylko obłąkany może Mu wściekłą pięścią wygra-

żać, że wojna z Nim nigdy do zwycięztwa nie doprowadzi. Kto wierzy w Niebo i w Jehowę, rozumie nadto, że jest On nietylko mocą, lecz także prawdą, dobrem i pięknem, że więc bunt przeciw Niemu jest nietylko niedorzecznością, lecz także grzechem, nikczemnością, fałszem i brzydotą. Zwątpienie zaś, choćby największe, nigdy do nieśmiertelności prawa i tytułu nie da, bo i za co? Wszak o nic nie jest łatwiej, jak o zwątpienie; jeśli wreszcie poeta sprobował kiedy „przeżuwać życie na pokory zębie", to się przekonał, że nie jest to rzeczą tak łatwą; że owszem, pokora jest cnotą najtrudniejszą może, a w każdym razie należy do najpiękniejszych, niczem bowiem innem nie jest, tylko prawdą i sprawiedliwością.

Z tego, co się dotąd powiedziało, trzebaby było wnioskować. że Asnyk za zadanie poezyi uważał tylko prawdziwe i oczywiście estetyczne wyśpiewanie uczuć ludzkich. Zresztą z rozrzuconych wszędzie wyrażeń wypadałoby jeszcze, że poezyę uważał on za jakieś bardzo przyjemne łudzenie się, za sen siły, marzenie czarodziejskie, słowem za baśń—tęczową wprawdzie, ale zawsze za baśń tylko. Wobec tego nie możnaby tak bardzo znowu mieć ludziom za złe, że nie chcą się łudzić, ani marzyć, ani słuchać baśni; złudzenie niepotrzebne nigdy i nikomu, bo najlepiej żyć prawdą; marzenie ujść może młodym panienkom, a baśń dobra tylko dla dzieci.

Dział drugi poezyj Asnyka zawiera utwory powstałe pod wpływem uczuć osobistych; więc najpierwej spotykamy kilka prześlicznych wspomnień z dzieciństwa i młodości. Najpiękniejszem z nich bodaj jest „Rodzinnemu miastu". Obrazek malowany ślicznie, a wyłaniający się z po za mgły rzewnej i serdecznej tę-

sknoty. Jest kilka wspomnień treści miłosnej o kolorycie łagodnie elegijnym, trochę żalu po minionej młodości, rozwianych snach i marzeniach. Wszystko to wypowiada poeta bez miotania się, bez bluźnierstw, nie grożąc niebu buntowniczą pięścią, ani wmawiając w ludzi, jak p. Konopnicka, że Bóg też ma noce bezsenne, gdy się smuci, patrząc jak liście z pięknej róży opadają. Ten jednak spokój smutku sprawia dziwnie głębokie, przejmujące wrażenie. Ile np. prawdy i tęsknoty jest w przyznaniu się, że gdy się dawnemi wspomnieniami odświeży,

— — zapominam com cierpiał i przeżył,
Byłem jeszcze chwilę dłużej wierzył.
I zapominam, że mi już nie wolno
Powrócić w przeszłość jasną i szczęśliwą;
Że muszę naprzód iść drogą mozolną
I snuć z swej piersi pajęcze przędziwo.

Najpiękniejszym utworem w tym rodzaju wydaje mi się „W cichej przystani“. Podziwiam też intuicyę poety, który tak dobrze umiał wnikać w duszę zmęczoną, skołataną, a stojącą już u progu śmierci, i z taką prostotą opowiedzieć ten stan, w którym ze zbytku bólu, nic już człowieka nie boli.

Kiedy już umrę, każ mi matko miła
Włożyć do trumny białe ślubne szaty;
Będę o cichych zaślubinach śniła,
Ubrana w mirtu i pomarańcz kwiaty.
. . . .
Nie wiem dlaczego, lecz w ostatniej chwili
Inaczej patrzę na życia koleje,
Serce już losom oprzeć się nie sili,
Przebyta boleść cichnie i maleje.
. . . .
Dziś gdyby Anioł, co stoi nademną,
Dał mi moc, losem rozsądzić do woli

I po swe szczęście wrócić w przeszłość ciemną,
Jużbym nie chciała. . . . .

Podobny duch łagodnej melancholii wieje z wiersza „Zmarłej dziewicy"; wielka znowu siła charakteru z „Rezygnacyi", którą poeta kończy zapewnieniem, że „żadna rozpacz i nadzieja żadna—nad mojem sercem niema już dziś mocy".

Kiedy po kwileniu i miotaniu się pani Konopnickiej, przeczyta kto Asnyka „Sam na sam", dozna wrażenia, jakgdyby widział olbrzyma z granitu, stojącego wśród karłów zniewieściałych, taka moc męzka i taki rozum jest w tym wierszu.

. . . .
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą . . . .
Więc przy ognisku wygasłem, zczerniałem,
Sam na sam tylko z nieszczęściem zostałem,—
Gość to surowy; czuwa on przytomnie,
Bym chwilę w słodszem nie spoczął marzeniu.
. . . .
. . . .
Gość to surowy; serca nie rozpieści,
Ani mu nie da we łzy sie rozpłynąć;
. . . .
Ja mu zaś mówię: pozostań na straży
Mojego życia, jak wierny towarzysz;
Do twojej groźnej przywykłem już twarzy
I do tych ciosów, któremi mnie darzysz,
I skorzystałem wiele z twej wymowy
Nauczycielu wielki! choć surowy!

Czy coś podobnego można spotkać u p. Konopnickiej? Czy w jej rymach jest choćby dalekie przypuszczenie, że cierpienie, a nawet nieszczęście, to nauczyciel choć surowy, lecz wielki?

Tak piękne usposobienie musiało poprowadzić poetę wyżej i poprowadziło rzeczywiście „Pod stopy Krzyża". Opowiada tu autor swoją biografię, jak wierzył z początku, jak potem błądził, jak wreszcie znowu do Krzyża powrócił, w końcu powiada:

I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem,
I drogi życia przeszedłem ciernistę . . . .
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

I Chrystus go nie odepchnął. Asnyk umarł jak na chrześcijanina przystało i opatrzony Sakramentami przeszedł do żywota w którym niema ani łez, ani smutku, ani wołania żadnego.

Ostatni w tym dziele utwór „Asceta" nie udał się Asnykowi, bo zbyt mało znał on te wysokie sfery, które opisywać zamierzył. Pierwsza część niejasna i bałamutna, w drugiej widzenie Nieba zostaje zaćmione widokiem dawnej kochanki (stara piosenka); w trzeciej ten sam skutek wywiera widok: „ostatnich mojego ludu".

Nie trzeba być bardzo biegłym w ascezie i mistyce, żeby odrazu zrozumieć, że taki asceta był jeszcze bardzo lichym ascetą, a jeśli miewał jakie widzenia, to z pewnością nie niebiańskie, lecz z własnej fantazyi wysnute.

Po uczuciach indywidualnych następuje dział zawierający poglądy Asnyka na świat, ludzi i ich dzieje, ubrane w szatę wierszowaną. Jak zwykle bywa w podobnych razach, na jedne z tych poglądów można się pisać, na inne zgodzić się nie sposób, jak np. na skargi „Aszery", że teraz ludzie ostygli dla zmysłowej mi-

łości i na nawoływanie do niej, jakoteż na jej zapewnienie, że

Gdy rycerski proch grobowy
Mym uściskiem rozpłomienię,
Wyjdzie silne pokolenie
Chananejski zyskać ląd!

Wśród innych wierszy, znajdujemy tu znany powszechnie: „Szkoda kwiatów, które więdną w ustroniu", oraz bardzo ładny sonet „Zejdź jasna jutrznio! rozlej światła płomień". Pomijam jednak te utwory, jako, mojem zdaniem, nie przedstawiające większego interesu pod względem poetycznym ani filozoficznym i przechodzę do cyklu sonetów p. t. „Nad głębiami".

Nie wiem w jakiej epoce pisał je Asnyk, zawierają one jednak tyle głębokiej mądrości życiowej, noszą taką cechę dojrzałego poetycznego talentu, że prawie pewny jestem, iż powstały pod koniec życia poety. Jak wiadomo, filozoficzne rozprawy, mądre dyskusyc rzadko nadają się jako treść dla poetycznego utworu. „Nad głębiami" należą do nielicznych wyjątków.

Pierwsze z tych sonetów opowiadają niesłychaną trudność ujęcia w jakąś całość wszechświata i jego zjawisk:

Próżno nad głębią schyleni—jej
Obraz chwytamy, gdyż ruchliwa fala
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic
Własną twarz naszą ukazuje zdala.

Ten ustęp podobny jest do sonetu XXV, w którym poeta twierdzi, że

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa,
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie:

Więc wiecznym prawom, co w swem łonie chowa
I konieczności, co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,
Na ludzki język tłomacząc jej słowa.

Słyszymy tu echo filozofów pewnej szkoły, która zaprzecza celowości w naturze, twierdząc, iż tak jesteśmy przyzwyczajeni do upatrywania celowości w czynnościach człowieka, że narzucamy tę samą cechę naturze, chociaż rzeczywiście żadnej w niej celowości niema. Jest to teorya wymyślona *ad usum Delphini* Ponieważ celowość w naturze służyła i służy za dowód istnienia Pana Boga, więc mędrcy, którzy przy Nim mogli nieco stracić na wielkości, powiedzieli, że to, co celowego w prawach wszechświata znajdujemy, nie jest bynajmniej celowością, lecz tylko „odbiciem własnej naszej twarzy".

Ciż sami uczeni nie wątpią, że np ciała niebieskie naprawdę są w ruchu i nie mają go za złudzenie naszego wzroku, przyzwyczajonego do ruchu na ziemi, nie wątpią, że $2 \times 2 = 4$ tak samo tutaj, jak i w konstelacyi Wielkiej Niedźwiedzicy, i uważaliby za kandydata do czubków tego z pomiędzy siebie, któryby nie wierzył w chemiczny skład spadłego na ziemię aerolitu, obawiając się, iż może mu się tylko zdaje, że są w nim metale i minerały, które przywykliśmy widzieć na ziemi, więc mimowoli na ziemski język tłómaczy słowa ze sfer empirejskich.

Dziwną jest nędza i nielogika mędrców ziemskich starających się swą niedołężną dłonią zatrzeć ślady Boga w naturze! Ten sam uczony, który obawia się, że „naszą własną twarz" przenosimy na wszechświat i na nasz język tlómaczymy słowa natury, zapewnie może co innego znaczące; ten sam, powiadam, uczo-

ny, za boki trzyma się ze śmiechu, gdy mu kto powie, że w piekle jest ogień rzeczywisty, trawiący dusze bez ciał jeszcze zostające—bo na ziemi ogień może działać tylko na ciała; i tak ciągle przedstawia rozmaitym dogmatom swoje *veto*—dlatego, że na ziemi dzieje się inaczej.

W tych dwóch sonetach Asnyk poszedł za fałszywą filozofią, chociaż nawet i tutaj pod pewnym względem miał słuszność, bo aczkolwiek teorya powyższa jest błędną, to tylko dlatego, że przesadziła zjawisko prawdziwe i rozszerzyła je do wszystkiego. Człowiek naprawdę skłonnym jest do przenoszenia ziemi i siebie na niebo i na całą naturę, ale stąd jeszcze nie wypływa, żeby nie miał sposobu kontrolowania siebie i rozpoznania prawdy. Sposoby takie są, a bez nich nie wartoby było zgoła uczyć się, myśleć, pracować. Prawdą jest także, że zostawiony samemu sobie człowiek, nie może objąć myślą całej natury, ani poznać jej ostatecznego celu; to prawda, ale dlatego tak samo nie można zaprzeczać celowości w naturze, boć ją na każdym przecie kroku widzimy, jak nie można upierać się, że niema drogi, po której w danej chwili stąpamy dlatego, że nie widzimy jej końca, ani wiemy dokąd prowadzi.

Sonet IV zawiera prześliczne porównanie narodów idących po arenie dziejowej i niknących gdzieś bez wieści, do ptaków, które

Bez przerwy ciągle w dal przestrzeni siną,
I horyzontu granicę widoczną
Raz przekroczywszy, gdzieś bez śladu giną.

W tym i innych także sonetach tego cyklu pisarze, widzący w nich wyraz współczesnej nauki upa-

trują pesymizm, prawie desperacyę nawet, Jakkolwiek na niejedną rzecz w nich zawartą nie pisałbym się, niejedno wyrażenie uważałbym za niezrozumiałe lub dwuznaczne, to jednak chętnie godzę się na to, że jest w nich wyraz nauki współczesnej. Jej niedostateczność dla rozwiązania podstawowych pytań, jej suchość, niesłychana małość w stosunku do tego, co rozjaśnionem być powinno, jest w nich nadzwyczaj plastycznie —i poetycznie uwydatnioną. Najgłębszy współczesny uczony, jeśli traci wiarę, nic innego nie może powiedzieć, tylko powtórzyć początek VIII sonetu:

> Noc, noc wieczysta gluszą przedbytową
> Otacza kręgi drgające istnienia —

Powinien to powtórzyć i rozszerzyć do wszystkiego. Tylko wiara może nam coś pewnego powiedzieć o celu całego stworzenia i rozwiązać, zagadkę, dokąd dążą narody ginące w dali sinej i dokąd idzie każdy z nas, co się z nami dzieje, gdy przekroczymy „horyzontu granicę widomą“.

W sonecie V znajdujemy niezmiernie trafne i piękne porównanie. Jeżeli wśród ciemności, ktoś światło roznieci, to

> Dokoła miejsca, które blask oświeci
> Otchłań ciemności jeszcze większą będzie;
> Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
> W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
> Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie.
> I to co dostrzedz możemy, jest niczem
> Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
> Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

Złote słowa, mądrość zdobyta doświadczeniem życia! A nasi mędrcy chcieli rozjaśnić tajemnice bytu i niebytu, za pomocą latarni, w którą wstawiali nie-

dołężnie przez siebie odlane świeczki darwinizmu, pozytywizmu i t. p. „izmów“. A jest też poetka, która tak święcie wierzyła i zapewniała, że przy śmierci tej latarni, ludzkość o własnych siłach znajdzie „prawdę i Boga“ — i to pomimo tego, że najstaranniej Go omijać i niewidzieć usiłuje.

Musiałbym chyba wszystkie sonety *per extensum* cytować, chcąc wykazać zawarte w nich piękności.

Jaka np. wielka jest prawda i jak pięknie wypowiedziana w sonecie XII-tym, gdy poeta mówiąc o tem, jak wszystko co drogie, piękne, kochane, mija i znika bez śladu, konkluduje:

Napróżno serce chce zatrzymać w głębi —
Gdy szron jesienny kurczy je i ziębi —
Wdzięczne obrazy błogości dziecięcej;
Próżno chce wskrzeszać bieg minionej chwili
I tych, co z nami wspólnem życiem żyli:
To, co już przeszło, nie powróci więcej!

Kilka sonetów poświęconych jest opiewaniu wielkiej, a bardzo często zapomnianej prawdy: ciągłości i wzajemnej odpowiedzialności pokoleń ludzkich. Gdyby je przeczytała p. Konopnicka, możeby wraz z Asnykiem powiedziała: „Na dzieci spada win ojcowskich brzemię—Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza—Każde gwałcące sprawiedliwość plemię—Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza“ — a poznawszy przyczynę cierpień i nieszczęść pokoleń dzisiejszych, nietylko w ich własnych winach, ale może jeszcze więcej w grzechach ich przodków, przestałaby o to obwiniać Pana Boga; miałaby odpowiedź na swe nieustanne: d l a c z e g o?

Śliczne i prawdziwe są słowa sonetu XIX-go: „Dopiero w związku z wszechświata ogromem —

Człowiek granice istnienia rozszerza". Każdy teolog podpisałby słowa te obydwiema rękoma, tylko trochę szerzej i inaczejby je komentował, niż poeta w dalszym ciągu to uczynił. Wiara nasza, właśnie broni łączności człowieka nietylko „z wszechświata ogromem", ale z ogromem całego stworzenia i co więcej — z Twórcą; Wiara odkrywa naszemu oku, sercu i rozumowi tak niezmierzone horyzonty, że żadne ludzkie życie nie wystarczy do ich zbadania, żadne serce do ich objęcia, rozum do ich wyczerpania. Cóż, kiedy panowie „z przeciwka" utrzymują, że prawdziwa nauka ogranicza się do ziemi i do tego, co z ziemi przez teleskop zobaczyć można, a odrzucenie łączności „z ogromem" stworzenia i nieskończonością Twórcy, nazywają wcale poważnie rozszerzeniem horyzontu myślowego.

Asnyk kończy ten sonet niby panteistycznie i twierdzi, że człowiek uznający się za cząstkę wszechświata „odzyskuje odwagę żołnierza, co wie, że za nim stoi armia cała"—bo może „żyć w tem co było, co jest i co będzie". Jak jednak taka zabawka myślowa mało jest pocięszającą, najlepszym dowodem jest sam Asnyk, któremu ta pewność odwagi nie dodała i smutku nie ujęła.

Sonet XX-ty stanowi doskonałą odpowiedź na bluźniercze pytania p Konopnickiej: „Czy Tobie (Boże, imię) śmierć i wytępienie — Że się krwi leją strumienie?—Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy—Iskrą Ci przyszła z źrenicy?"

Nasz poeta z męzkim spokojem i jasnością mędrca powiada:

W nieprzerwalności zbiorowego bytu
Duch, współistnienia wieczystego świadom,

Może z spokojem z jasnego błękitu,
Swego pochodu przyglądać się śladom:
Cząstkowym zgonom, pozornym zagładom,
Burzliwej fali, ciemnemu korytu,
Lecącym w otchłań stuleci kaskadom,
Pomrokom nocy i jutrzenkom świtu.
Jemu nie wydrze błogiego spokoju
Ziemskich męczarni małoduszna trwoga,
Nie wprawi w rozpacz dziki zamęt boju,
Ani dziejowej klęski moc złowroga —
Gdyż mu widnieje pewna w przyszłość droga
Gdzie śmierć jest stopniem wyższego rozwoju.

Asnyk miał tu widocznie na myśli mędrca-człowieka i został w sprzeczności z tem, co powiedział w sonecie IV-ym o nieznanej drodze narodów. Człowiek nie może mieć tej pewności, chyba, że się oprze na Bogu, Który wie dokąd dążą narody, pewny jest że celu swego dopnie i umie z cierpienia i śmierci tworzyć radość i nowe życie.

Jeszcze ciekawsze i piękniejsze rzeczy opowiada sonet następny o śmierci:

„Śmierć—to ciągłego postępu chorąży"
. . . .
Z jego opatrznej, choć surowej łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią,
I w coraz nowe przystraja się blaski —
I coraz dalej mknąc po fali chyżej —
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

W sonecie XXVII poeta powiada, że smutnym jest „schyłek roku w mgieł pomroce... Smutniejszy koniec bezsilny żywota".

Lecz najsmutniejszy jest duchowy schyłek
Zamierającej powoli epoki,
Gdy w niwecz poszedł pokoleń wysiłek,

Strawiwszy wszystkie żywotniejsze soki,
A w spadku — szereg błędów i pomyłek
Na dni ostatnie rzuca cień głęboki!

Nic dziwnego, że patrząc na schyłek wieku i porównywając go z początkiem, zasuwamy się sercem w cień głęboki. Gdzież bo się podziały owe piękne marzenia, rojone na początku, owe ideały braterstwa i sprawiedliwości? „Wszystko to przeszło jak mgła nad rzeką—czas ten daleko, szczęście daleko“ (Grudziński). Na piersi cierpiącej ludzkości, stoi moloch zwany „*Faust vor Recht*‘—ideały braterstwa spoczęły w portfelach żydowskich bankierów, a piękne marzenia ograniczyły się do używania—bardzo nizkiego.

Jest nad czem płakać, ale trzeba powiedzieć: *tu l'as voulu Georges Dandin!*... Ludzkość odeszła od Krzyża, którego jarzmo słodkie, a brzemię lekkie, — musi teraz dźwigać żelazne jarzmo starego pogaństwa, do którego powróciła.

Ostatni sonet zawiera prawdę, do której Asnyk zapewne doszedł po długich walkach i rozmyślaniach: „Taką jak byłaś nie wstaniesz z mogiły...—Musisz zatracić nie jeden rys miły. — I wdzięk w dawniejszym uwielbiamy czasie. — Lecz nową postać wziąć i nowe siły—I nowych wieków oręż mieć w zapasie... — Musisz być inną, choć będziesz tą samą“. Gdyby nasz poeta od początku wiedział był o tem, gdyby zawsze pamiętał, że „śmierć — to ciągłego postępu chorąży“, możeby nie był napisał:

Widziałem trwogę i niemoc konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek,
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania,
I próżnych męczeństw przerażony świadek

Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.
(„U stóp Krzyża").

Walkę wewnętrzną, jaką prowadził z sobą poeta po stracie wiary i nadziei, widać w utworach działu V-go. Po snach mesyanicznych, znalazłszy się wśród zimnej i strasznej rzeczywistości, Asnyk musiał dostrzedz, że przeszłość taką katastrofą zakończona nie była świetną, lecz przeciwnie — pełną błędów i grzechów, to też żal i miłość zamieniały się w nim niekiedy w rozpacz i przekleństwo. Tak np. woła w „Apostrofie".

Więc kiedy zdradzasz dziś — giń bez chwały!
Nie łez ci dłużnym, lecz urągowiska.

Taż sama zapewne przyczyna każe mu w „Śnie grobów' widzieć tylko karłów bez głów i bez rąk. Poemat ten zresztą mający być poetyczną filozofią naszej historyi, jak słusznie uważa prof. Zdziechowski, niejasnym jest w założeniu, niejasnym też być musi i w wykonaniu. Do tego działu wydawca włączył niektóre utwory, nie mające widocznego związku z jego treścią, jak np. „Wierzba na pustkowiu" (zebrała się pod nią gromadka złych duchów, których podziemny władca wysyła w różne strony dla szkodzenia ludziom) — jak „Replika" (gromiąca purytańską surowość zabraniającą śmiechu), a także satyryczne obrazki, karcące zastarzałe egoistyczne poglądy pewnej części szlachty: „Dzień wczorajszy" i „Na przedpieklu".

Dział VI stanowi obrazki o treści rzekomo starożytnej, w rzeczywistości jednak Asnyk nie silił się, jak inni poeci i pisarze na idealizowanie pogaństwa, robił to niekiedy jedynie dla artystycznego kontrastu.

Nie troszczył się też wcale o zgodność z rzeczywistością, bo w szaty o starożytnym zakroju ubierał zupełnie nowoczesne pojęcia. Jego więc greckie czy rzymskie opowiadania są w rzeczywistości filozoficznemi rozprawami o tematach współczesnych. Warto jednak wśród nich zauważyć dwa obrazki niezmiernie piękne ze względu artystycznego, t. j. pochód Thetydy po morzu do syna swego Achillesa (Thetyda i Achilles) i „Fresk pompejański". Pełne jest także siły i grozy „Król Juba", który znalazł naśladowców w naszej poezyi. Juljan Apostata znowu otrzymał poklask w kółkach niewierzących, za apostrofę skierowaną przez umierającego Apostatę do Chrystusa.

Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku
Lecz jutro!... Gdzie jutro świata?

I poeta i jego chwalcy pomylili się tutaj, bo wyobrażali sobie panowanie Chrystusa nad światem i „jutro świata" pogańskie. Wydaje się im, że Chrystus walczy z szatanem o panowanie nad ziemią w taki mniej więcej sposób, jak bogowie walczyli pod Troją. Kto zwycięży, wypędzi przeciwnika i sam panować będzie za pomocą siły.

Chrystus Pan jest królem pokoju *(rex pacificus)*, panuje nad tymi tylko, którzy Go dobrowolnie przyjmą i słuchać będą, a dla takich „krzyż otworzy swoje ramiona i tułacza rzesza narodów w cieniu jego spocznie strudzona". Panowanie Chrystusa nad ludźmi podobnem jest do zbawienia: kto je szanować zechce i prawa odpowiednie zachowywać będzie, posiądzie zdrowie, kto zaś nie będzie tego czynił, zdrowym też nie będzie. Jak więc można na ogół powiedzieć, że zdrowie człowieka od niego zależy, tak też panowanie

Chrystusa w sercach ludzkich i wszelkie błogie skutki jego od ludzi samych zawisły. Chrystus stoi u drzwi i puka (Apokal.) i wchodzi tylko wtenczas, gdy mu otworzą; od tego też zależy „jutro świata“.

Gdyby Zbawiciel chciał za pomocą siły panować ziemi, to wszyscy razem pozytywiści tak samo nie zdołaliby temu przeszkodzić, jak nie zdołał Apostata, jak nie zdołają sprawić, by ludzkość, która nie wpuściła do siebie Chrystusa, nie była chorą i nieszczęśliwą. „Królestwo Boże w was jest“, powiedział Zbawiciel, a jeśli ludziom panuje nie Bóg, lecz szatan i złe namiętności, to i cóż dziwnego, że jeden jęk, płacz i narzekanie bije z ziemi do Nieba — inaczej być nie może, co się posiało, to też i wschodzi.

Cykl „W Tatrach“ zaczyna się od pięknego i rzewnego ustępu, a raczej apostrofy do „matki ziemi, dobrej karmicielki“. Potem następuje szereg obrazów górskiej przyrody. Najlepszym z nich bodaj będzie „Noc pod Wysoką“. Do opisów Tatr dołączył wydawca parę podobnej treści utworów z dawniejszej wycieczki do Włoch. Szczególnie żywo czarem dawnych wspomnień przemawia „Teatr w Tusculum“.

„Z motywów ludowych“ (dział VIII-my), dowodzi, jak zauważył trafnie pan Chmielowski, że Asnyk nie był wcale poetą ludowym. Nie jemu, zatopionemu w rozmyślaniach historyozoficznych, zstępować było do prostoty wieścianej. To też nie wszystko, co tam umieścił wydawca (a może i sam autor), mogło mieć pretensyę do ludowej pieśni, jak np. „Nie będę cię rwała—Konwalijko biała“. Inny znowu wiersz: „Siedzi ptaszek na drzewie“ jest bardzo ładnym i prawdziwym, zawiera jednak prawdę z filozofii życia, o któ-

rej chyba nikt pod strzechą wieśniaczą piosenki nie składał.

Dział IX-ty zaczyna „Baśń tęczowa“; streszcza ona w formie bajki nieszczęśliwą pogoń autora za ideałem poetycznym, uosobionym w zaklętej księżniczce, mieszkającej w niedostępnym kryształowym pałacu. Pomimo upadku i ran poeta jednak zapewnia.

Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi
Za tą piękną na błękicie.

Już wyżej zaznaczyłem, że wiersz ten, stwierdzać się zdaje, że Asnyk patrzył na poezyę jak na sen, ułudę, baśń, jak na rodzaj bardzo pięknej i estetycznej zabawki. Czy jednak wartoby w takim razie poświęcać życie dla bańki mydlanej?

Rzeczywiście, bywają sny piękne, ale prawda jest piękniejszą, nieskończenie piękniejszą, bo prawda, to właśnie ideał. Czy więc nie lepiej trzymać się starej dewizy: *vitam impendere vero?*

Po „Baśni“ następują pieśni i opowiadania miłośne. Niektóre z nich jak „Legenda pierwszej miłości“ i „Scherzo“ są zabarwione ironią, która i w innych pomniejszych się znajduje. To może dało powód do porównania Asnyka do Heinego. Jest to zdaniem mojem szczera niesprawiedliwość i krzywda dla pierwszego; Heine pisał wprawdzie śliczne wiersze, ale wszystkie one (mówiąc o erotycznych) są powierzchowne, oprócz zmysłowości nic w nich niema. Ze wszystkich, a przynajmniej z większej części, słychać to nieznośne, niepoczciwe szyderstwo ze wszystkich i ze wszystkiego, które z początku bawi, potem nuży i nie-

podoba się. W całem „*Buch der Lieder*“ znalazłem jeden tylko ślad lepszego uczucia w krótkim zresztą bardzo wierszu: „*Du bist wie eine Blume*“.

U Asnyka zdarzy się czasami jakiś wybryk, nie wiem, rozpaczliwy, czy namiętny, jak np. „Pijąc falerno“; czasami odezwie się ton namiętniejszy, ale na ogół jego miłośne spiewy zdają się zawierać wyraz uczucia rzeczywistego i szlachetnego. Że zaś nasz poeta czasami ironicznie zaśpiewa o zmienności płochych panienek, to nic w tem złego. Ironia jego jest bardzo niewinną, widocznie jedną miarą stosował do kobiet i mężczyzn, (za co na wszelką pochwałę zasługuje). Trudno o coś bardziej nudnego, jak pioruny i anatemy rzucane przez bladolicych poetów na biedne panienki, które nie widząc ich przez lat kilka, nie chciały czekać, lecz poszły za mąż za czerwonego i tęgiego właściciela wioski czy browarku. Nudna to rzecz, powiadam, i niesprawiedliwa; poetom wolno zmieniać swoje bożyszcza tyle razy, ile się im zamarzy (jakoż wiemy z ich dziejów, że sobie hojnie pozwalali), a biedne bożyszcze ma siać rutkę i schnąć samotna aż do śmierci, dlatego że długowłosy syn Apollina raczył na niem wzrok swój wieszczy zatrzymać, obiecał jej podzielić się z nią swem sercem — i włościami na Parnasie – obiecał i zapomniał.

„Kwiaty“ komuż nieznane? Stanowią one najpopularniejszą część spuścizny po Asnyku, a błyszczą nietylko wszystkiemi czarami mistrzowskiego wykonania, lecz także oddychają dziewiczym spokojem, jak one lilie wodne co kwitną „na jeziora przejrzystym lazurze“,

Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czemś tęsknią i gonią i marzą.

Widocznie sfera duchowa w krórej się te perły naszej poezyi poczęły, była owym, przez Mickiewicza wspomnianym krajem „niezakurzonym błędów przypomnieniem—Nie podkopanym nadziei złudzeniem—Ani zmienionym wypadków strumieniem". Niema w nich śladu burz, szalejących w duszy poety; niema zwątpienia, ani wahania się w tę lub ową stronę; są obrazy całkowite i skończenie poetyczne.

W pozostałych poezyach znajdziemy jeszcze niejedno cacko i klejnot, niejedną mądrą radę i uwagę, czasami żartobliwy obrazek, jak np. „Karnawałowy lament poety"—czasami znowu smutny i rzewny jak „Przy kominku", albo „Śpiew łabędzi", lub „Rozłączeni"; nowych jednak kierunków myśli i uczucia nie znajdziemy. Możemy więc, opuściwszy te drobniejsze rzeczy, przystąpić do ogólnego wniosku o charakterze utworów omawianego poety.

Asnyk wychowany był, jak sam zeznaje, po katolicku; modlił się i wierzył, nadto, jako wychowaniec czasów snujących złote marzenia, wierzył, wraz z innymi, w ich rychłe spełnienie, owszem, wierzył silniej niż inni, bo był młody i poeta. Nadeszły ciężkie burze, sny złote prysnęły jak szkło kruche, przyszły doświadczenia życiowe twarde, smutne, okrutne; poeta dotknął, się rzeczywistości, poznał ludzi ze strony życiowej i wszystko to razem wzięte oddziałało na niego bardzo zgubnie:

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie — nie widziałem kary;
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie widziałem i zbrakło mi wiary,
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą. —

Widziałem trwogę i niemoc konania,
Widziałem duchów walkę i upadek;
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania.
I próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję
(„U stóp Krzyża").

Zwykle ten duchowy upadek Asnyka, przypisywanym bywa strasznemu zawodowi, jakie jego wierzeniom i nadziejom zadały wypadki polityczne. Nie mam podstawy do przeczenia temu, zdaje mi się jednak, że to nie był powód jedyny. Z tego co się wie o życiu i stosunkach Asnyka, jeszcze bardziej z jego poezyj, a nawet z przytoczonego wyżej ustępu widać, że poeta wpadł wraz z innymi w potok niedowiarstwa, zabarwionego pozorami mądrości i nauki. Wiarę i nadzieję zachwiały w nim nietylko boleści serca, ale może jeszcze bardziej sofizmaty i wątpliwości umysłu. I on poznał się z ową nauką o ciasnym horyzoncie myśli, która wszystko chciałaby ograniczyć i zakończyć na ziemi i materyi; uwierzył ciemnym karłom, nie widzącym słońca w samo południe, którzy też pewność i prawdę umieścili na końcu palców swoich i nie widzieli nic w świetle dnia Bożego, twierdząc, że to tylko istnieje, czego się oni dotknęli.

Umysł Asnyka był jednak zbyt silnym, a serce zbyt szlachetnem, żeby im wciśniętym w takie buty hiszpańskie, mogło być dobrze, a choćby tylko znośnie. Rozpoczęła się długa i mozolna walka. Widać ją w całym literackim plonie Asnyka; umysł targany zwątpieniem i sprzecznościami nie mógł tworzyć jednolicie; najlepsze siły swoje zużył poeta w tej walce z ogromną szkodą dla poezyi. Czem mógłby być Asnyk, gdyby nie owo rozdarcie wewnętrzne, świadczą

„Kwiaty“, poezye miłośne i wspomnienia. W tej sferze, której jasności nie mąciły poglądy filozoficzne ani religijne, poeta nasz obracał się z wszelką swobodą i tworzył rzeczy nieporównanie piękne; po za tem była mgła, niepewność, burza i walka, które też odbiły się w utworach poety. Znowu więc stwierdzić musimy niesłychaną szkodę, jaką nam wyrządziły i wyrządzają ciągle rozkładowe prądy mniemanej mądrości. Wśród tych prądów i orkanów zabłąkana kobieca łódka pani Konopnickiej zawirowała jak w Malsztromie—bez wyjścia i ratunku; męzki umysł Asnyka wydobył się z nich jednak i wypłynął na spokojniejsze wody. Mam zaś tu na myśli nietylko chrześcijański koniec samego poety, lecz także i jego utwory. Więc najpierw zdobył sobie rezygnacyę—smutną, ale spokojną. Nie jest to wielka pociecha, zawsze jednak pociecha i oznaka wielkiej duszy, która umie cierpieć z godnością. Potem w dalszym pochodzie ku górze, Asnyk zdobył mnóstwo prawd życiowych i filozoficznych, tak dalece, że zrozumiał niedostateczność sławionej „współczesnej nauki“ do rozwiązania najważniejszych dla człowieka pytań; zrozumiał, że śmierć to początek nowego życia, doszedł do tego samego wyniku, co Bossuet, chociaż innemi wyraził to słowami, że jeżeli Bóg co zmaże, to dlatego tylko, żeby natomiast coś lepszego napisać.

Takie i tym podobne prawdy, bardzo głębokie, bardzo filozoficzne, nie wystarczały jednak sercu umysłowi poety, bo też i nie mogły wystarczyć; zbyt były suche, oderwane, a tu życie z jego wątpliwościami, smutkami i walkami wymagało wskazówek bliższych, wołało o światło, ciepło, o szczęście; do tego Asnyk nie doszedł. W poezyach jego, nawet tak filo-

zoficznych jak „Nad głębiami"' wszędzie widać wiarę w Boga, choć Go wyraźnie nie wymienia, ale ten Bóg pozostał gdzieś daleko za chmurami, jeszcze nawet dalej — za granicami wszechświata i nie zstąpił na ziemię, nie zamieszkał między nami, nie wniósł pociechy światła i miłości. „Uczuciom Asnyka, powiada prof. Zdziechowski, zabrakło tego ożywczego pierwiastku i tej potęgi, którą nadaje im wiara, jednocząc je z ich czystem źródłem i zapalając duszę nieskończoną żądzą zlania swego życia wewnętrznego z twórczą wolą, kierującą światem". (1)

Dlatego też powiada w innem miejscu ten sam autor: „wpatrzona w błękit, w szukaniu prawdy zatopiona, rozmyślaniem o drogach ludzkości w jej dziejowym pochodzie pochłonięta, ale pozbawiona ognia żywej wiary, nie wywarła poezya Asnyka tego wrażenia, jakie przy potężnym talencie poety wywrzeć mogła. Wiał z niej chłód filozofii, zabrakło tego ciepła serdecznego, które czarem niezrównanej i nieśmiertelnej rzewności opromieniało Syrokomlę, poetę z siłą niezaprzeczenie mniejszą niż Asnyka. Wreszcie pomimo chwalebnej dążności poety do podniesienia pieśnią ducha narodowego i do gojenia ran przeszłości, utwory jego mroziły nieraz ukrytym wewnątrz sceptycyzmem: czuło się, że pod pozorem wyniosłej filozoficznej rezygnacyi drgały niepokoje pustoszących duszę zwątpień".

Pod tym względem zgadzam się zupełnie z szan. profesorem; natomiast nie zdaje mi się, żeby miał słuszność, gdy twierdzi, że „Asnyk wytknął kierunek nowoczesnej poezyi polskiej, t. j. kierunek roztrząsa-

---

1). Twórczość liryczna Asnyka.

jący, badający, wątpiący t. z. refleksyjny". Wpływ Asnyka na innych poetów widoczny dla każdego, o ile się tyczy formy, pewnych tematów i sposobów, natomiast ów kierunek niby filozoficzny, nie jest bynajmniej jego dziełem. Asnyk, jako najstarszy, najpierwej też na drogę roztrząsań i dociekań wkroczył, bo najpierwej uległ rozkładowym wpływom „ducha czasu". Ten to właśnie sceptyzm ducha czasu, „wytknął kierunek nowoczesnej poezyi polskiej", działając jednakowo i na Asnyka i na innych poetów.

Asnyk bynajmniej nie zasługuje na ciężki zarzut wytknięcia fałszywej drogi swym towarzyszom; on tylko pierwszy wszedł na błędne drogi. Zdaje mi się, że niema dotąd dowodów, żeby on oddziaływał w danym razie na swych towarzyszów, jak niegdyś Mickiewicz na poetów romantycznych. Tego wreszcie nie było potrzeba, — duch sceptyzmu i niewiary owionął wszystkich poetów, więc broniąc resztek wiary i chcąc dojść czegoś pewnego, lepsi z nich szukali, rozumowali, jak kto umiał i mógł. Nauczyć czegoś dobrego i rozumnego można z trudnością tylko, dlatego nauczyciel i przewodnik jest tu potrzebnym, a takim był Mickiewicz. Błądzić zaś, wątpić, prawić brednie, bluźnić — potrafi każdy bez nauczyciela.

Nauczycielem i przewodnikiem naszych poetów był tutaj „duch czasu", który też wywarł swój wpływ i przyniósł owoce zupełnie podług reguły. Jak było gdzieindziej i w innych miejscach, tak samo stało się u nas i teraz. Ów duch czasu z początku wzbudzał ogromne, namiętne burze; potem, gdy pod jego wpływem umysły malały i nikczemniały serca, coraz mniej było refleksyi, coraz więcej płytkości i zmysłowości, i gdy bezpośredni następca romantyków pisał jeszcze

„Nad głębiami", obecnie Przerwa-Tetmajer wzdycha do Niwany i opiewa „Narodziny Afrodyty, nimfy, Ledę, Lesbos i różne inne wszeteczeństwa, zupełnie jak ów wyśmiany przez p. Chmielowskiego poeta, co to nucił: „życie tak smutne — nóżka tak malutka", tylko trzeba dodać, że tamten był jeszcze idealnie wzniosłym, przy przewodniku najnowszej szkoły.

ROZDZIAŁ VII.

Wnioski z przesłanek.—Ogólne cechy poezyi przedostatniej doby. —Bałwochwalstwo nauki i wiara w jej sprzeczność z religią.— Niedokładne pojęcie o Bogu, nieznajomość Chrystusa i chrystyanizmu, cześć dla poganizmu, rozchwianie się zasadniczych pojęć — Jak poeci patrzą na stosunki społeczne?—Skutki zwątpienia: upadek twórczości i zacieśnienie jej zakresu do osobistych wrażeń. — Dlaczego społeczeństwo straciło upodobanie do poezyi? — Kto winien, publiczność czy poeci?—Pieśń „o niczem".— Zakończenie.

W poprzedzających rozdziałach starałem się zapoznać czytelników moich z treścią, a jeszcze bardziej z kierunkiem pojęć kilku poetów, wybranych z całego ich grona; sądzę że te przykłady wystarczą, u innych bowiem znaleźliśmy to samo, z pewnemi indywidualnymi odcieniami i zmianami. Z owego streszczonego obrazu poetyckiej twórczości przedostatniej doby widzieć możemy, że panuje w niej przeważnie kierunek nazwany „refleksyjnym", t. j. badającym, albo raczej zastanawiającym się. Jest on nowością w naszej literaturze Nie można już ci powiedzieć, żeby u dawniejszych poetów, przeważnie zaś u romantycznych, nie było myśli poważnych — i oni nieraz rozmyślali, filo-

zofowali, nauczali, wszakże robili to inaczej niż współcześni. Zastanawiali się nieraz nad losem i przeznaczeniem własnem, nad kolejami, przeszłością i przyszłością swego kraju i społeczeństwa, rozumowali i filozofowali, ale widać było, że czują stały grunt pod sobą, że stoją na pewnej niezachwianej podstawie.

Dlatego też, mając grunt pod nogami, mogli śmiało zajmować się właściwym poezyi przedmiotem—pięknem. Malowali obrazy, jedni wzniosłe i genialne, drudzy piękne tylko i proste, wylewali swe uczucia, opiewali piękności ziemi i nieba. Teraz dzieje się—raczej działo—inaczej. Poeci zaczęli zajmować się nietylko sobą i swoimi, nietylko całą ziemią, ale przetrząsnęli całe niebo, wszystkie gwiazdy, stałe i niestałe, z piekłem zawiązali ścisłe stosunki, a z szatanami weszli w konfidencyę—czasami nawet próbowali przeciwstawić ich Panu Bogu; owszem, tem nawet nie zadowolili się: zachciało im się „do boju stanąwszy z Jehową—Przeglądać bytu i nicości głębię"... Tylko tyle!—powiedziałby Papkin.

Pomimo tak niezmiernych zachceń i pretensyj,—może właśnie z ich powodu—wieszcze nasi nie znaleźli odpowiedzi na żadne z pytań najbliżej ich własne, ludzkie, osoby obchodzących; a jeśli znaleźli, to w wierszach swoich do publicznej wiadomości tego nie podali.

Poezye omawianej doby, z całą swą „refleksyą", nie zawierają nic pozytywnego, stałego, pewnego; — autorowie ich ciągle pytają, szukają, badają — i nie znajdują. Podobni są do człowieka, który nagle, wśród dnia białego, stracił wzrok, maca na wsze strony i kroku jednego na pewne nie zrobi; albo też do tonącego, wyrzucającego rękami, wołającego ratunku i

nie mogącego tchu złapać. Widocznem jest, że stracili grunt pod sobą. I tak było w istocie. Cały system religijny i filozoficzny, który służył za granitową podstawę poetom romantycznym, zapadł się całkowicie, a przynajmniej w znacznej części, pod nogami ich następców. Powiał wiatr z Zachodu, niosąc na skrzydłach systematy, nieraz między sobą niezgodne, ale zgodne w przeczeniu chrześcijanizmowi, i zrodził w duszach ferment powątpiewania, albo niewiary, jak fermentuje dobry napój, gdy się do niego szkodliwe mikroby dostaną. Jednak ferment ten umysłowy, to szukanie i utyskiwanie, jakkolwiek smutne i grzeszne (dla racyi o której niżej), były jednak oznaką nie całkiem jeszcze zepsutego zdrowia, niezupełnie utraconych przekonań. Po pokoleniu wątpiącem, ale jeszcze tęskniącem i *niby* szukającem, miało przyjść i przyszło inne, które już nie tęskni i nie szuka, jak wino skwaśniałe, już nie fermentuje.

Kiedy tak wszystko zachwiane, kiedy, według przysłowia, co głowa to rozum, zdawałoby się, że nie można znaleźć nic ogólnego i wspólnego wśród ludzi, z których każdy chce iść własną drogą, własnym rozumem ją zamierza oświecać i swoją osobistą chce kierować się wolą. Tak jednak nie jest; pomimo pozornej rozmaitości, ulegają oni jednakowym prawom, są też pewne ogólne cechy ich utworów, które wskazać zamierzam. Pierwszą z nich wydaje mi się zamiana jednej wiary na drugą — zamiast wiary Chrystusowej, o której zwątpili, przyjęli nasi „reflektujący" poeci wiarę w niezachwianą siłą nauki; a co więcej, w jej druzgoczącą moc względem zasad chrześcijańskich. Podług nich, nauka zimna, bezlitosna, nietylko wykurzyła muzy z Parnasu, nietylko zniszczyła państwo

„czarownych rojeń“, ale jeszcze z kretesem obaliła panowanie Chrystusa na ziemi:

Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie
I wieżycami pną się między chmury,
I dym kadzideł jeszcze w niebo płynie,
I lud się modli, zimny i ponury;
Lecz nad tym jękiem, co bez echa ginie
Nie ulatuje anioł srebrnopióry
I w chore serca pociechy nie leje —
I chłód śmiertelny z ciemnej nawy wieje.
Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
Który ożywiał niegdyś mężów dawnych ..
(Asnyk).

W opinii naszych piewców dogmaty chrześcijańskie nie mogą być nawet brane pod rozwagę i są poprostu tylko „wierzeniami“; fakty z historyi chrześcijańskiej, z dziejów Objawienia Bożego, to tylko legendy, które rozwiała nowoczesna nauka.

Nazwałem takie usposobienie wiarą w naukę, ale tego za mało, powiedziećby należało — bałwochwalstwo nauki. I rzeczywiście, cały ten kult oparty jest na — wierze naiwnej, nieoświeconej, najzupełniej godnej „nieoświeconych prostaczków“. Człowiek znający naprawdę naukę, kiwać tylko może z politowaniem głową nad taką ślepą ufnością, wie bowiem najpierwej, że postępy astronomii, chemii, fizyki i t. p. ani na odrobinę nie rozjaśniają tych sfer i tych spraw, które stanowią wydział religii. Asnyk to doskonale i pięknie wypowiedział w sonecie V-tym z cyklu „Nad głębiami“.

. . . .
Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę jak widzień krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy jest niczem
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

Rzeczywisty uczony wie także, że zdobycze nauki nie mogą wcale zaciemnić kwestyj religijnych, i dlatego, że nauka i wiara, obracając się najczęściej w sferach odrębnych, oddziaływać na siebie b e z p o ś r e d n i o rzadko mogą, i dlatego, że stykają się z sobą w nielicznych stosunkowo pytaniach, które przez rzeczywistą wiedzę zgodnie z religią rozwiązane zostały, i wreszcie dlatego, że najmniejszy dogmat jeszcze nie został przez naukę obalony.

Rzeczywisty uczony wie, że wszystkie hałasy rozbudzane przeciwko wierze w imię nauki były robione za pomocą niedowiedzionych hypotez z jednej strony i źle zrozumianych zasad wiary z drugiej, a źródło swe miały i mieć zawsze będą tylko w powierzchownej nauce i szczerej chęci zrzucenia z siebie krępującego obowiązku wiary nadprzyrodzonej.

Otóż nasi poeci z przedostatniej doby święcie uwierzyli w nieprzepartą moc nauki, w jej istotną sprzeczność z wiarą i w ten oklepany frazes, że wierzyć może tylko naiwny prostaczek. Niezadali oni sobie pracy sprawdzenia faktu, że jednak najdzielniejsi — najświatlejsi ludzie obydwóch półkuli wierzą po dawnemu, że jednak nauka chrześcijańska istnieje i coraz większe czyni postępy, nie zechcieli osobistą pracą i doświadczeniem sprawdzić, jak też naprawdę rzeczy się mają z ową mniemaną niwelacyą religii przez naukę, czy jest jaka między niemi rzeczywista sprzeczność, a co najgorsza, nie spytali co ze strony wiary odpowiadają na zarzuty sofistów: woleli desperować i narzekać i błądzić.

Tak smutne usposobienie nie przeszkadza im jednak ani trochę wyobrażać sobie, że oni to właśnie, sam kwiat i śmietanka narodu, bujają na orlich skrzydłach (nigdy u mniejszych ptaków skrzydeł się nie pożycza), wysoko pod słońcem i z tej wysokości z pogardą i politowaniem patrzą na nas wierzących, pełzających po ziemi i dobrych tylko do kupowania zbiorów poezyj, z których dowiadujemy się, że ziemia i my na niej, jest tak podłą i głupią, iż p. Tetmajer, odchodząc w świat podziemny, nawet głowy ku nam nie odwróci. Więc jeden z poetów utrzymuje, że jesteśmy gąsienicami, a on, „wzleciawszy pod słońce orlemi skrzydłami", życiem gąsiennic żyć więcej nie może. Drugi twierdzi, że jesteśmy trzodą, przeżuwającą życie na pokory zębie. Pani Konopnicka znowu, widząc raz modlących się ludzi w dniu Zadusznym, wybuchnęła namiętnym wierszem:

Wy, co włóczycie senną istność swą po świecie
Czy wy żyjecie?
Och! mnie nad wami chwyta płacz nieutulony,
I modlićbym się chciała i kazać bić w dzwony
I załamawszy ręce, stać po was w żałobie
Jak głaz na grobie!

Czułe serce, bo czułe, ale czy nie należałoby szanownej poetce zastosować do siebie i swoich — słów Zbawiciela do płaczących nad Nim niewiast: „Córki jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale same nad sobą płaczcie i nad synami waszymi". (Łuk. XIII 28).

Ponieważ jednak każdy człowiek ma obowiązek przyrodzony, od którego zależy cała jego przyszłość i cała jego wieczność, — poznania swego stosunku i obowiązków swoich względem Boga i wyjaśnienia zdarzających się wątpliwości, nie za pomocą rzucania pytań

w błękity w czasie przejażdżki czółnem po Dunaju, lecz przez posłuchanie co się mówi z drugiej strony — *audiatur et altera pars*. Ponieważ nadto poeci, jak i wszyscy piszący, wzięli na siebie odpowiedzialność za oświecanie lub bałamucenie swych współbraci, więc też taka ich jednostronna wiara w nieprzyjazne Chrystyanizmowi teorye o naukowem zabarwieniu, takie lekkomyślne wyzbycie się wiary prawdziwej, utrzymywanej i bronionej przez ich ojców przez długie pokolenia i wieki, taka owszem kompletna jej nieznajomość, jaką na każdym kroku zdradzają, jest owym grzechem, o którym wyżej wspomniałem, grzechem ciężkim i wielkim.

Powiedziałem też, że poeci *niby* szukali prawdy; bo jeśli badali, wertowali, to tylko przeciwne wierze systematy, ale nigdy wiary samej. Mógłby mnie kto zapytać, zkąd ja wiem o tem? Stąd, że jeżeli kto nie zna czterech działań arytmetycznych, to widocznie albo ich się nie uczył, albo nauczyć się nie mógł; tak samo zupełnie rzecz się ma ze znajomością religii. Rzeczą jest widoczną ze współczesnych poezyj, że ich autorowie wiary nie znają: ponieważ niema żadnej racyi do przypuszczenia, że jej poznać nie mogli, dla braku umysłowych zdolności, zatem oczywiście poznać jej — nie chcieli.

Tak więc, z zasad chrześcijańskich pozostały w umysłach poetów tylko ułamki i strzępy; u jednego naturalnie pozostało ich więcej, u drugiego mniej, u niektórych nic nie pozostało. Spróbujmy określić to, co zostało jeszcze.

Wiarę w Boga zatrzymali chyba wszyscy, tylko że bardzo niezupełne i jednostronne mają o Nim pojęcie. Wyobrażają Go sobie jako początek bytu, scho-

wany gdzieś w przepaściach niepojętych i niedoścignionych, obojętnego na losy ziemi i ludzi; niektórzy, jak np. p. Konopnicka, przedstawiają Go sobie nie o wiele mniej krwawym i okrutnym od dawnego męksykańskiego Huitlicipoktli. Ponieważ sam jest szczęśliwym, więc nie dba o to, że ziemia we krwi pływa. Nieraz znaleźć można u nich rzewną modlitwę i chwilowe podniesienie ducha ku Bogu, ale najczęściej Bóg jest im potrzebny tylko dla saspokajania potrzeb doczesnych, by dawał „dużo zboża, dużo chleba“ (Konopnicka), nie pamiętam jednak, czym kiedy spotkał pojęcie o Bogu, jako ostatecznym końcu i szczęściu człowieka.

To też niedokładnie wyraziłem się, mówiąc, że poeci *wierzą* w Boga, prawdziwszem byłoby wyrażenie: *wiedzą*, że Bóg jest, to bowiem, co oni o Nim wiedzą, nie wyczerpuje nawet wszystkiego, co o Bogu powiedzieć nam może rozum, z tego zaś co nam podaje Objawienie, niewiele możnaby u nich znaleźć. Bóg ukazuje się we współczesnych poezyach jako mocarz, jako siła, nigdy prawie (może nawet zgoła nigdy) jako miłość, piękno, prawda. Domagają się od Niego ciągle czegoś nowego, a zdają się nie mieć najmniejszego pojęcia o tem, co już zrobił; uporczywie bronią ludzkiej niepodległości, — człowiek sam sobie wszystko zdobył i zdobędzie, — a kiedy widzą gorzkie owoce ludzkich czynów, pretensyę roszczą do Pana Boga.

Czy wierzą w Chrystusa Pana, Syna Bożego i Boga? Trudno odpowiedzieć. Niektórzy, jak Cz. Jankowski, otwarcie przyznają się, że Chrystus umarł w ich duszy, inni tego nie mówią, ale czuć, że tchnienie Renana przeszło przez ich serce. Mówią oni o Chrystusie z szacunkiem, ale mają Go, to za idealne-

go marzyciela, to za filozofa, to znowu za wielkiego „altruistę“, w każdym razie za osobę szczytnego charakteru i niezmiernego wpływu na ludzkość. O Bóstwie Jego zwykle milczą—a jak godzą genialny rozum i nadludzką cnotę z pretensyami do Bóstwa, co myślą o Jego cudach i proroctwach, na to zarzucają zasłonę dyskretnego milczenia.

To też, czytając poezye omawiane, wyniosłem wrażenie (oby mylne), że ich twórcy przeważnie w Bóstwo Chrystusa Pana nie wierzą, albo też mają ogromne co do tego wątpliwości, których otwarcie nie wypowiadają, ze względu na drażliwość przedmiotu. Nie uznając Bóstwa Chrystusowego, albo o niem wątpiąc, oczywiście nie znają Kościoła Jego, nie rozumieją go, o posłannictwie jego na ziemi, o znaczeniu w dziejach nie mają najmniejszego wyobrażenia—przynajmniej nigdzie tego w ich pismach nie widać. Większość wydaje się obojętną i tyle troszczącą o Kościół, co o różnicę między północnym i południowym buddyzmem; niektórzy, jak pp. Wysocki i Konopnicka, są mu otwarcie i nienawistnie wrodzy. Ta ostatnia miała odwagę napisać, że świat chrześcijański „mnogie ustawy kreślił zadumany, prócz jednej tylko ustawy miłości“.

Nie znają też i nie rozumieją ducha dziejów chrześcijańskich; widać ze wszystkiego, że jeśli czytają jaką historyę, to tylko bezwyznaniowych lub protestanckich autorów, uważają protestantyzm za pierwszy dodatni objaw epoki chrześcijańskiej, rewolucyę 1793 roku za jutrzenkę prawdziwej cywilizacyi, a współczesny nam rozkład wszystkiego, za pełnię życia i zapowiedź „błękitnej, czy też różowej“ ery, mającej kiedyś uczcześliwić ludzkość. Więc też świat chrześcijański jest przez nich pomijany milczeniem; jeśli potrzeba wzoru mę-

twa, poświęcenia, cnoty, szukają go w starym pogańskim klasycznym świecie. I ta nieznajomość chrześcijanizmu, pomijanie wszystkiego, co on dobrego zrobił i robi, owszem, kładzenie na karb jego wszelkich wybryków jego przeciwników, z drugiej znowu strony cześć dla klasycznego pogaństwa, widzenie go w chwale i jasności, pomijanie wszelkich jego stron ciemnych, wmawianie weń doskonałości o których mu się nigdy samemu nie śniło, jest stałą i znamienną cechą naszych współczesnych poetów. Jest ona nietylko dowodem nieznajomości chrześcijaństwa i pogaństwa, ale także bardzo wymowną wskazówką ich usposobień i upodobań — „gdzie skarb twój, tam i serce twoje“.

Na współczesny stan świata poeci wypowiadają poglądy nadzwyczaj smutne i krańcowe, patrzą na to, co się na nim dzieje, przez szkła bardzo czarne. Mówią prawie zawsze tylko o gwałtach, przemocy, upadku moralnym, podłości, tak, że gdyby im wierzyć, to należałoby pójść za panem Przerwą-Tetmajerem co najrychlej w świat podziemny, jak on, nie odwracając nawet głowy, by raz jeszcze ujrzeć świat podsłoneczny. Jest to pogląd jednostronny, a zatem fałszywy. Nie można jużci nie wierzyć poetom, że spotykali tylko takich ludzi, o jakich mówią, ale też nic dziwnego: wybrali sobie do towarzystwa sfery niewierzące, oświecane jedynie nauką nowoczesną i nowoczesną moralnością, więc rzecz naturalna, że znajdują tylko ciemności moralne — sami jednak temu winni, bo nie chcą wyjść po za te zaciemnione koła. Jest bowiem jeszcze świat cały oprócz nich, a na nim ludzie biedni wprawdzie, ułomni, często grzeszni, ale doprawdy nie tak już czarni, jak ich poeci nasi malują. Owszem, nawet wśród niewierzących znajdowałem nieraz ludzi w gruncie wcale do-

brych, w stosunkach z drugimi uczciwych, dla rodziny idealnych; pesymizm naszych wieszczów zdaje mi się pochodzić z innej przyczyny.

Jak za czasów klasycyzmu u nas i we Francyi poeci czepiali się dworu i ulegali jego zepsutej atmosferze, tak coś podobnego dzieje się i teraz. Obecnie zasklepili się oni w kołach o atmosferze duchowej, może jeszcze bardziej zepsutej niż dworska, w kołach inteligencyi wielkomiejskiej bezwyznaniowej, zarozumiałej, stronniczej, nie uznającej oprócz siebie żadnej wielkości, nauki, zdolności — w kółkach bogatych bankierów, goniących za złotem, aferzystów, żydowskich wydawców i zasymilowanej z żydami szlachty; — w kółkach mody, szyku, reklamy, rozgłosu i blagi, to jest w świecie bardzo wprawdzie postępowym, bardzo wolnym od przesądów, więc arcyniechrześcijańskim, ale całkiem sztucznym, fałszywym i doskonale zepsutym.

Te szumowiny pływające po wierzchu ludzkiego morza biorą poeci za morze samo — nic więc dziwnego, że tak niepochlebne mają o niem wyobrażenie. A tymczasem w tem morzu jest życie prawdziwe, rzeczywiste, dzieje się wiele dobrego, wiele rzeczy arcy poczciwych, w tem morzu przedewszystkiem żyje, działa, rozszerza się życie katolickie, ale co do tego nasi poeci nie mają najmniejszego podejrzenia nawet. Podzielają zresztą pod tym względem gusta ogromnej części naszego oświeconego społeczeństwa, które o katolickiej sztuce, nauce, życiu, o chrześcijańskiem miłosierdziu i działalności, nigdy nawet nie słyszało; co innego romans Zoli, wiersze dekadenta, proces sensacyjny, choćby gdzieś na końcu Europy, występy modnej śpiewaczki, modna premiera w teatrze, a choćby tylko koń-

skie wyścigi... o tem każdy „inteligentny“ człowiek wiedzieć powinien.

Ostatecznie więc z dawnego zakresu pojęć i zasad, regulującego pogląd człowieka na świat i życie, u współczesnych poetów naszych nie zostało nic, oprócz pojęcia o istnieniu Boga. U niektórych widać jakieś niepewne płomyki dawnej wiary, ale tak są one wątpliwe i chwiejne, że nic oświecić nie zdołają. Został także—ktoby się spodziewał? — żal za utraconą wiarą. Przyznaję, że tej najosobliwszej nielogiczności nigdy sobie wytłomaczyć nie zdołałem. Jeśli wiara katolicka jest prawdą, to do niej powróćcie; jeśli fałszem i złudzeniem, to niema czego żałować, jak nie żałujemy wiary w Lelum i Polelum naszych przodków. Nietylko tego zresztą, ale i innych rzeczy, nauczanych przez poetów, pojąć nie mogę, np. dlaczego mając prawdę nieomylną „nowoczesnej nauki“, tak mało zdają się z niej być uradowani, że żałują czasu „legend i złudzeń“. Dlaczego owa naukowa prawda tak zabójczo działa na poezyę, jak wiatr suszący na rośliny? Na czem oparte nadzieje ponownego rozkwitu poezyi? Przecież chrześcijanizm, podług nich, w proch się już rozsypał; jeszcze sterczą „gotyckie wieżyce“, ale jeno patrzeć, jak i one się rozsypią, panować już będzie aż do końca, a raczej bez końca, nauka, więc oczywiście suszyć będzie jeszcze bardziej, skądże zatem powstaną i jak się ostoją kwiaty poezyi?

Wreszcie, jeszcze jedno. Jeśli runął „przesąd“ t. j. chrześcijanizm, jeśli w końcu zapanowała prawda, tolerancya, a przedewszystkiem postęp, ów milionami trąb głoszony postęp, dlaczego coraz jest gorzej, podlej, czarniej na ziemi, ale to tak źle, podle i czarno,

że nawet p. Kazimierz Przerwa-Tetmajer nie na żarty zapewnia:

> Gardzę i nienawidzę—gdybym dziś z tej ziemi
> Odchodził w świat posępny patrząc zagrobowy,
> Odchodziłbym z oczyma jako stal zimnemi,
> Nie odwracając nawet raz ostatni głowy.

Poeci, a najbardziej już p. Konopnicka, bez żadnego wahania się twierdzą, że ludzkość ciągle idzie ku „błękitom“, ku jakiejś białej i różowej światłości: zdawałoby się więc, że powinno być z każdym krokiem jaśniej ludziom; tymczasem wieszcze płaczą, że jest coraz ciemniej. Jak to oni sobie tłomaczą, chociaż niezmierniem ciekawy, nie mam najmniejszego wyobrażenia.

Otóż jedną z cech nowszej poezyi naszej, jest wiara w jakąś błękitną erę, raj na ziemi, który ludzkość niezawodnie sobie zdobędzie, wiara w nowy rozwój i rozkwit ideałów i poezyi. Na czem jednak taka wiara i takie przepowiednie oparte, powiedzieć nie umiem, chyba na słowie p. Konopnickiej: „ja wam to mówię—ja mówić mam siłę“. Możnaby o tem niejedno powiedzieć, ale nie chcę nikomu psuć humoru — jeśli kto wierzy w przepowiednię i owszem, niech wierzy; złego w tem nic niema, tylko że uczeni twierdzą, iż teraz wiara nie popłaca (oczywiście, oprócz u naiwnych prostaczków) i że na wszystko trzeba dowodów naukowych, czarno na białem.

Stosunki społeczne są bardzo uwzględniane; czyta się dużo i często o potrzebie zajęcia się robotnikiem i ubogim, wiele się w tym kierunku prawi morałów i niejeden na tle społecznem namalowany został jaskrawy obrazek, jednak czytając to wszystko doznałem wrażenia, jakbym czytał rymowane wypracowanie

na zadany temat. Wiał z nich duch nieszczerości i nieznajomości przedmiotu, obrazki poetyczne wydały mi się robionymi szablonowo i na obstalunek; widać było, że poeci nie zżyli się ze swoim przedmiotem, że im te utwory nie wytrysnęły z serca same, lecz je pracowicie sfabrykował rozum. Czy te wszystkie biadania nad chłopską lub wyrobniczą dolą, zdołają znieść porównanie z „Lalką“ Syrokomli, czy nie lepszy pierwszy z brzega obrazek chłopa przez Klemensa Junoszę, niż większość wiejskich obrazków p. Konopnickiej? Bardzo możebne, że się mylę, ale ja widzę w tych utworach fabrykaty na *Wink vom Oben,* t. j. wskutek wymagań ducha czasu, każącego zajmować się demosem, opiewać demos i pełzać przed demosem. Jest to tak dalece modnem, że p. Chmielowski z niejakim wyrzutem wspomina, iż Asnyk za mało tym przedmiotem zajmował się (str. 136). Utwierdza mnie w tem przekonaniu następująca jeszcze znamienna cecha. Poeci poprzedzającej i dawniejszych epok zajmowali się prawie wyłącznie szlachtą; było to oczywiscie jednostronnem. Teraźniejszy duch czasu zato przerzucił się w drugą ostateczność. Wolno zajmować się tylko ludem, szlachtą zaś, a tembardziej panami o tyle tylko, żeby im plunąć w twarz obelgą, albo kopnąć nogą. Dobro wolno widzieć tylko w pospólstwie, w warstwach wyższych można można tylko zło. To też u poetów omawianej doby nie pamiętam, czy raz jeden spotkałem się z panem nie wyśmianym i nie oplwanym: p. Konopnicka i p. Wysocki zaszli nawet pod tym względem daleko, bardzo daleko — aż do nienawiści i szkalowania. To też ponieważ owa miłość i zajęcie się ubogimi przeważnie zdaje się pochodzić z mody i ducha czasu, przeto wyraża się w formie i treści dydakty-

cznej, jak wiadomo bardzo niewiele mającej w sobie poetycznego.

Co się tyczy zasad moralności, możnaby w pojedyńczych wypadkach bardzo dużo znaleźć do zarzucenia nowszej poezyi; na ogół jednak główne przynajmniej zasady moralne są utrzymane. Mówi się bardzo dużo i pięknie o sprawiedliwości, o miłosierdziu i miłości bliźniego (oczywiście za wyjątkiem herbowych, utytułowanych i majętnych ludzi), zalecają się dobre obyczaje, a nawet poświęcenie; zbytki, egoizm, marnotrawstwo, jak i być powinno, są ganione i potępiane, cóż z tego, kiedy jest tu kardynalna wada, że niema żadnego fundamentu. Bo niech mi kto wytłomaczy, dlaczego człowiek ma się stale poświęcać dla drugich, nie dbać o siebie, pamiętać, że każdy zły czyn jego, odczuje kiedyś jego społeczeństwo, jak to opiewa Asnyk? Jeśli jesteśmy pewni, że z każdego słowa i uczynku zdamy rachunek przed Bogiem, że za wyrzeczenie się siebie i ofiarę znajdziemy duszę naszą w wieczności szczęśliwej—pojmuję, że można poświęcać się, ale i w tym razie nawet z ogromną trudnością. Jeżeli jednak nic niema po za tem życiem, jeśli tylko to nasze, czego na ziemi użyjemy, to jakiem prawem wymagać można, żeby się człowiek wyrzekł tej odrobiny światła i ciepła, jaka mu się w udziale dostanie, dla kogoś, kto kiedyś tam narodzić się może? Byłoby to wymaganie i niemądre i nieludzkie. Gdyby ktoś Piotrowi kazał poświęcić się dla dobra Pawła, miałby zupełną racyę odpowiadając: taki dobry Piotr jak i Paweł; dlaczego ja mam się koniecznie dla niego poświęcić, a nie on raczej dla mnie?

Moralność poetów z przedostatniej doby nie jest, ogólnie mówiąc, złą, ale nie ma żadnej sankcyi ani po-

wagi. Dlaczegoby ktoś miał być miłosiernym i sprawiedliwym, słuchając Asnyka, Konopnickiej, Gomulickiego, jeśli oni nie chcą słuchać Kościoła i który Go posłał, Jezusa Chrystusa? Pani Konopnicka powiedziała wprawdzie: „*ja* wam to mówię“, ale takie zapewnienie może tylko jej dzieciom i uczennicom wystarczyć—do czasu.

Z tego, co się dotąd powiedziało, widoczną, jak myślę, staje się rzeczą, pod jaką chorągiew zaciągnęli się poeci nasi około 1870 roku. Walczyli oni pod znakami tak zwanego postępu, zależącego w gruncie i istocie rzeczy, na wyrzeczeniu się zasad chrześcijańskich a nawróceniu do poganizmu, mniej lub więcej jasno sformułowanego. Poszli oni za prądem, który w owym czasie runął na nas z zachodu i południa, a nie znajdując w sobie siły odpornej, dotąd nad nim biedzą się i lamentują (o ile nie potonęli).

Zapewne tego samego czytelnicy moi sami już oddawna się domyślili; jest to zresztą rzeczą dosyć jasną i wiadomą, a i poeci sami przyznają się do tego wyraźnie przez usta Asnyka:

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,
Obojętnego na widok piękności,
A więdnącego z nudy i przesytu—
Wieku, co wczesnej doczekał starości—
Sam podkopawszy prawa swego bytu—
Wieku, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.

Tak jawne przyznanie się nic do życzenia nie pozostawia; zobaczmy teraz jakie dziedzictwo wzięły rymujące dzieci po swoim miłym rodzicu.

Przedewszystkiem prąd niedowiarstwa religijnego, popęd do mędrkowania o wszystkiem na słowo pierw-

szego lepszego zagranicznego profesora albo warszawskiego redaktora, sprawiły w umysłach i sercach poetów i nie poetów niesłychany zamęt i chaos. Zaczęło się szukanie, łapanie, wynajdywanie jakiejś ostoi, jakiegoś światła; światło co chwila gasło, cel okazywał się przepaścią, zamiast pewnej przystani znajdowano bezdenne i cuchnące bagnisko. Szukano dalej, biegano znowu, zapalano nowe ogarki, mające słońce zastąpić, i tak te biedne tłumy krążyły w jakiejś mętnej, smutnej, ciemnej próżni, jak dusze potępione latające w „Boskiej Komedyi“ naokoło piekła, lamentując i biadając jak one.

Badania takie, dociekania, uczenie drugich tego, czego się samemu nie umiało, tysiączne walki i szarpania się, znalazły oczywiście odbicie w utworach poetów, owszem, zajęły w nich bardzo dużo miejsca, nadając nawet koloryt całej epoce. Był to jednak nabytek wcale niepożądany. Filozoficzne dociekania, doktrynerskie spory, to materyał dla poezyi bardzo wątpliwej wartości, odrazu więc ruch wsteczny ku niedowiarstwu, wniósł do niej mnóstwo balastu niepoetycznego, który z wielką korzyścią mógłby być wyrzuconym za burtę.

Nie dosyć tego, poeci bowiem, zaplątawszy się bez wyjścia w labiryncie pseudonaukowych teoryj, wątpliwości i przeczeń, odrazu odjęli sobie możność spełniania tego, co sami za swe zadanie i obowiązek głosili. Oni sami w zbytku modestyi nazywali się królami-kapłanami, przodownikami ludów, oni pieśnią mieli budzić drzemiące społeczeństwo, oświecać ciemności, słowem naśladować Orfeusza, który, kiedy bywało zagra na lirze, to kamienie same z miejsca się zrywają,

kładą się jedne na drugie i czynią bardzo foremne mieszkania.

Tymczasem jakże mieli oni świecić, kiedy sami narzekali, że otacza ich „noc, noc wieczysta"—jak mieli przewodniczyć, kiedy sami drogę stracili, jak mogli drugich nauczać, kiedy sami nic napewno nie widzieli? Kiedy jeden mówił, że trzeba iść na lewo, drugi twierdził, że na prawo, owszem ten sam nauczyciel w jednym roku uczył, że na — lewo, a w następnym, że — na prawo; czasami zaś jednocześnie i na prawo i na lewo, naśladując doskonale szambelana z komedyi Fredry, co to radził córce: wiesz co? moja rada — idź za Janusza, a tuż zaraz: moja rada—nie idź za Janusza.

Zresztą choćby nawet związali w końcu jakiś system negacyi, choćby zapalili jakąś smolną pochodnię, nie mogliby ani uczyć, ani oświecać gdyż sami odcięli łączność z narodem całym. Oni bowiem stroili swe rozstrojone lutnie i śpiewali swe mądrze urytmione piosenki dla klasy wątpiącej jak sami; my jednak, ogromna większość społeczeństwa, my pozostaliśmy przy wierze ojców naszych, serca nasze pozostały przy Krzyżu Chrystusowym i Najśw. Pannie, a kiedy p. Czesław nazywa Afrodytę *madonną* grecką, kiedy pani Konopnicka pustelników czy zakonników czyni podżegaczami mordu, kiedy Wysocki szydzi cynicznie z naszych ojców, to my czujemy tylko wstręt i obrzydzenie.

Kiedy czytamy rozpaczliwe wołanie o światło i prawdę, czujemy wprawdzie smutek, że ludzie nie chcą oczu otworzyć, aby zobaczyć słońce świecące w całej pełni; ale co masę wierzącą może obchodzić szukanie tego, co już dawno posiada, dochodzenie drogi, po

której już od wieków idzie? Cały ów balast pseudo poetyczny może być zajmującym dokumentem ludzkim dla przyszłego badacza, ale poetycznego ma w sobie bardzo niewiele, może zgoła nic, cały zaś ten kierunek umysłu jest dla wierzącego społeczeństwa zupełnie obcym, a najczęściej wprost wstrętnym.

Poeci więc, idąc za prądem bezwyznaniowym albo tylko wątpiącym, sami zmniejszyli swe audytoryum; nietylko jednak zmniejszyli liczbę słuchaczy, lecz także i pole swojego poetycznego widzenia t. j. liczbę i rodzaj opiewanych przedmiotów. Stracili cały niezmierzony świat religijny i o nim albo nic nie mówią (co w danym razie jest jeszcze najpożądańszem) albo jeśli zaczną śpiewać, to sprawiają taki skutek jak w „Napadzie na Parnas“ śpiew „o romansie dwóch komórek, w pacierzowym tkwiących rdzeniu“ — słuchać nie można i jak o łaskę prosi się wieszcza: zlituj się przestań!

Dalej, straconym jest dla nich przy obecnym kierunku cały obszar życia chrześcijańskiego i chrześcijańskiej historyi; lubią wprawdzie bardzo zwracać się do klasycznego poganizmu i wedle sił idealizować go, — niebardzo im się to jednak udaje, bo klasyczność mało kogo obchodzi, a zresztą znajomość historyi o tyle się rozszerzyła, że nikt już tak bardzo w owe mniemane złote czasy nie wierzy. Cóż więc biednym poetom zostało? Chyba człowiek współczesny—ale i z tym sobie rady dać nie mogą. Straciwszy bowiem duchowe oko t. j. jednolity pogląd na świat i na ludzi, a nie znalazłszy innego, podobni są do człowieka, który chce swoją twarz zobaczyć, ale lustro ma potłuczone na drobne kawałki. W jednym z nich ujrzy część czoła, w drugim kawałek nosa, w trzecim guzik od kamizelki, ale całego obrazu nie zobaczy.

To też poeci nasi współcześni nie mogą objąć całego człowieka, bo go nie rozumieją; nie są w stanie stworzyć nietylko jakiego eposu, ale nawet ani dłuższego a jednolitego opowiadania. Jedyna rzecz, na którą ich stać, to urywki i kawałki; jakiś króciutki szkic, drobniutki fakt, chwilowy nastrój duszy, słowem takie drobiazgi i fatałaszki, jakie zdobią półeczki, biórka i stoliki w światowych salonach i buduarach.

Do tak nikłych rozmiarów sprowadzoną być może rzeczywista siła współczesnych poetów pomimo ogromnych pretensyj, o których na początku wspomniałem. Zachciewa się im stawać do walki z Jehową i przeglądać bytu i niebytu głębie, a kiedy przyjdzie czas pokazania swej „tytanicznej“ siły — powstaje erotyczna piosenka, albo opisanie „niezabudki kwiecia“. *Parturiunt montes—nascitur ridiculus mus.* Jeśli się zaś który porwie na coś większego, to albo niedokończywszy zaniecha, albo stworzy coś ni pięć ni w dziewięć. Tak np. Asnyka „Sen Grobów“ i nieskończony i niejasny, Włodzimierza Zagórskiego „Król Salomon“ w każdej części poematu inny. Jankowski w „Psyche“ z mitologii i chrześcijanizmu sklecił coś tak dziwacznego, że zlepek kobiety i ryby na herbie Warszawy jest jeszcze bardzo racyonalnym w porównaniu z nim; czego zaś warte opowiadania Konopnickiej już widzieliśmy.

Los taki zresztą podzielają poeci z innymi artystami, którzy dla tych samych powodów skazani są na takąż samą niemoc stworzenia czegoś większego i oryginalnego. Wspomnę tylko o lepiej mi znanem malarstwie. Tam równie jak w poezyi zwrócono całą uwagę na stronę zewnętrzną i techniczną; dbają bardzo o dobry rysunek, prawdziwy koloryt, z pedancką troskliwością pilnują najdrobniejszych odcieni w refleksach,

ale stworzyć coś wyższego niezmiernie trudno. Cała Europa zalaną jest portretami, widokami i scenami fotografowanemi z codziennego życia. Ponieważ jednak ludzie ulegają tej słabości czy złudzeniu, że siebie uważają za miarę i normę wszystkiego i utrzymują np., jeśli są głuchymi, że inni za cicho mówią, gdy się starzeją, że świat się zepsuł, a dawniej było lepiej, więc i wśród malarzy powstała szkoła, bardzo swego czasu pewna siebie i głośna, dowodząca, że cała mądrość malarska zależy na dobrem namalowaniu przedmiotów i głosująca za zniesieniem podziału na historyczne, religijne, rodzajowe malarstwo, a pozostawieniem tylko jednego rozróżnienia na dobre lub złe malowidło.

Ta kampania za skasowaniem wyższych rodzajów malarstwa przypomina mi bardzo lisa z bajki, który na wielkim sejmie lisim doradzał współbraciom, żeby się pozbyli ogonów, jako rzeczy zbytecznej, uciążliwej i nawet niebezpiecznej, tylko, że gdy wstał pokazało się, że sam był kusy, bo ogon w jakiejś pułapce zostawił. Poeci wprawdzie wojny eposowi nie wypowiedzieli, ale także na drobnych tylko utworach poprzestać musieli; wiemy już dla jakiego powodu: pozbywszy się możności działania na innych polach, skazawszy się na niemożność stworzenia czegoś większego i rozleglejszego, z konieczności musieli się ograniczyć do samych siebie; stąd owa nadobfitość wynurzań i wywnętrzań o tem co każdy z piewców cierpiał i co mógł cierpieć, co czuł i co może czuć kiedyś.

I ten jednak, tak skromny zakres, uległ najściu złego gustu; poeci nużyli słuchaczów nietylko ciągłem śpiewaniem o sobie i swoich przygodach, ale o gorszych jeszcze rzeczach. Jeżeli kto cierpi lub raduje się, a opowiada o tem pięknie i niezbyt często, może to

jeszcze nas interesować, co jednak może kogo obchodzić gust pana Przerwy-Tetmajera, gdy w wierszu „Lubię kiedy kobieta“, opowiada o swoich lubieżnych upodobaniach? Takie same upodobania ma z pewnością pierwszy lepszy, spotkany na ulicy rozpustnik, ale ani poetycznego w nich nic niema, ani najmniejszej racyi do zawiadamiania o nich publiczności, z wyjątkiem lekarza, który musi sobie potem łamać głowę, jak skutkom owych upodobań zapobiedz. Kiedy więc i to jedyne pole poetycznej działalności zaczęło gęsto porastać chwastami rozpusty, nieprawdy, pozowania, blagi, lepsi i rozumniejsi poeci zaczęli nawoływać: „chciejcie być skromni, zrozumiani, prości“—czy z dobrym skutkiem nawoływali, to już jest rzecz inna. W każdym razie osobiste uczucia i opisy przyrody są zwykle najlepszą cząstką nowożytnej poezyi i nic dziwnego. Gdy słońce ideału zgasło i nie oświeca im już dalekich horyzontów, maleńki płomyk światła naturalnego wystarcza jeszcze do zobaczenia tego, co tuż jest przy człowieku, pokąd brudne namiętności i tego nie zaciemnią. Jeśli sobie to wszystko uprzytomnimy, zrozumiemy dlaczego poeci tak narzekali i narzekają na zanik poetyczności w naszem społeczeństwie. Nie dbało ono o ich literackie utwory i mało się o nie troszczyło, bo poeci poszli zgoła innym szlakiem, niż cała masa społeczeństwa. Prawili oni o rzeczach nieznanych mu, obcych, albo nawet niemiłych i wstrętnych— nie było racyi zachwycać się niemi, dlatego tylko, że w poprawnych rymach wypowiedziane zostały.

Drugą przyczynę widziałbym w tem, że poeci śpiewali o drobiazgach albo o sobie, co znowu kół szerszych tak bardzo interesować nie mogło; wreszcie pamiętać potrzeba, że śpiewali dla sfer, które wyzbyły

się ideału razem z wiarą i tyle się troszczyły o poezyę, co pierwszy lepszy chłopek o losy Sezostrisa Wielkiego. Dla nich pożądany był czasami swawolny a dowcipny wierszyk dla zabawy i śmiechu, panegiryk poświęcony jeśli nie ich osobie to stronnictwu lub kierunkowi – i nic więcej. Mieli więc słuszny powód do narzekania biedni słudzy Apollina, że czasy niepoetyczne, ale któż temu winien? Podług mego skromnego zdania, oprócz pewnych wyjątkowych okoliczności, w których publiczność miała co innego na głowie, winni byli bezwarunkowo poeci. Oni to popłynęli z prądem, który ich od narodu oddzielił, twórczość w nich wysuszył, pole działalności do minimum obciął, na nudne przeżuwanie osobistych uczuć skazał; oni wreszcie dobrowolnie i z rozmysłem uczepili się sfer obcych poezyi i zepsutemu ich gustowi hołdują, więc poetów pretensye do publiczności nie mają żadnej podstawy. Niech nam zaśpiewają jak słowiki, a będziemy ich słuchali z lubością jak słowików; teraz możemy im tylko powtórzyć Molierowskie „*tu l'as voulu Georges Dandin*“ — coście posieli, to zbieracie.

Poszedłbym nawet jeszcze dalej, twierdząc, że nietylko nie mam za złe publiczności, iż niebardzo dbała o poezyę *taką, jaką jest obecnie*, lecz owszem mam to jej za zasługę i za pocieszającą uważam oznakę.

Z tego bowiem, co człowiek kocha, co mu przyjemność robi, można wnioskować o jego moralnej wartości. Jeśli upodobania poziome, poziomym jest też umysł i charakter; czyje serce w wyższych sferach przebywa, wyższym też bezsprzecznie jest człowiekiem. Nasze społeczeństwo nie dało się wziąć na lep pięknych wierszy, w których oprócz formy nic więcej najczęściej nie było rzeczywiście pięknego; nie lgnęło

sercem do zwątpienia, niedowiarstwa i innych ujemnych rzeczy, stanowiących, jak to wyżej wspomniałem, przeważną treść współczesnej poezyi. Nietylko z tego powodu nienależy mu czynić wyrzutów, lecz owszem cieszyć się wypada. Że w ogromnej większości naszego społeczeństwa goreje po dawnemu miłość dla poezyi, oprócz innych dowodów, może przekonać rosnąca wciąż znajomość poezyi romantycznej i niezmieniająca się dla niej miłość, pomimo znacznie zmienionych pojęć i przekonań społecznych, politycznych, historycznych.

Te same względy wytłomaczą nam i drugie dziwne napozór zjawisko, t. j. dlaczego poeci mają sami tak nikłe wyobrażenie o poezyi i tak szczupłe zakreślają jej granice. W poprzedzających rozdziałach nieraz miałem sposobność zaznaczyć, że wymagają oni od poety tylko by był prawdziwym w oddawaniu własnych uczuć, które wydają się im całkowitą i jedyną treścią poezyi—przynajmniej na teraz. Nic w tem nie znajdziemy dziwnego, jeśli pamiętać będziemy, że wskutek wiadomych już nam powodów ta jedyna prawie treść pozostała dostępną poetom. Jak więc magnat gdy strwoni liczne posiadłości i zostanie mu biedny dworek z kawałkiem ogrodu, musi to uważać za cały swój dobytek, tak też poeci, straciwszy wszystko inne, muszą opiewanie swoich uczuć uważać za całe swoje bogactwo.

Po za tem poezya, jak uważaliśmy nieraz, jest dla nich czarującem rojeniem, snem na kwiatach, baśnią tęczową, marzeniem wiośnianem—słowem, czemś bardzo miłem i słodkiem, ale pozbawionem rzeczywistego istnienia; czemś pośredniem między widzeniami

po zażyciu haszyszu a rojeniami egzaltowanej panienki, w każdym razie zabawką i niczem więcej.

My, ludzie wierzący w ideał i dążący do niego jako do arcyrzeczywistego i koniecznego celu każdego człowieka, patrzymy na poezyę zupełnie inaczej (jak o tem w pierwszych rozdziałach mówiłem); dla tych jednak, którzy wierzyć przestali, niczem innem ona być nie może, tylko zabawką. Bo i jak może być inaczej?

Czy może poezya mieć u nich jaką podstawę rzeczywistą, kiedy nic niema w ich opinii rzeczywistego, ani pewnego; wątpią o Bogu, o sobie samych, nic pewnego nie wiedzą o celu swoim, ani narodów, które jak ptaki przelotne «bez śladu giną za linią horyzontu, gdzieś w dali sinej» — skąd żeby wzięła się pewność i jakąś rzeczywista podstawa dla poezyi? Bajka, zabawka—i nic więcej; tylko, w takim razie, poco pretensye do ludzi, że zbyt mało zajmują się poezyą? — że znowu zapytam, skąd marzenia o przewodniej jej roli w życiu społecznem?

Z takiem zmniejszeniem poetycznej treści w ścisłym zostają związku skargi poetów, że nie mają o czem śpiewać. Nie mówią już oni jak Krasiński: „co ujrzysz, jest twojem—brzegi, miasta, ludzie, tobie się przynależą — niebo jest twojem. . .“ Owszem, podług nich, wszystko tak zprozaiczniało, tak wyjałowiało, że niema o czem śpiewać. Jako przykład takich skarg zamierzyłem przytoczyć dwa utwory: p. Kazimierza Glińskiego „Piosnka o niczem“ i Asnyka „Poeci do publiczności“. (Pierwszy z tych wierszy wypisuję z książki p. Chmielowskiego „Współcześni poeci Polscy“).

O niczem śpiewać?... Czy nie za śmiało?
Ano, o niczem!... Cóż chcecie?...

Może do pieśni wątku nie stało
Nic z Bożej łaski poecie;
Może się serce życiem znużyło
I dusza w senność zapadła,
Coś się urwało, coś się zamgliło,
Mar dawnych pierzchły widziadła?
A może ktoś mi szepnął do ucha—
Poeta o tem pamięta—
Że dzisiaj piosnek nikt już nie słucha,
Ni chłopcy, ni też dziewczęta.
Nie wiem!—Serc kilka bije w mym domu,
Na losy trudno się gniewać,
I może śpiewać byłoby komu,
Lecz nie wiem o czem mam śpiewać.
Minęły czasy, gdy w wieczór letni,
Kończąc słów tkliwych szermierkę,
Pasterz czarował dźwiękami fletni
W pieśń zasłuchaną pasterkę—
Gdy księżyc schodził, a po za dworem
Trzykrotnie brzękło klaśnięcie,
Później szept cichy biegł pod jaworem,
Wiecznej miłości zaklęcie.
Flet! pasterz! jawor!—Stare to dzieje,
Przebrzmiała dawno piosenka!...
Dziś się młodzieniec szczerze zaśmieje,
W rytm mu zawtórzy panienka,
Nikt na wschodzący księżyc nie patrzy,
Strzegą kudłate psy dwory—
Dłoni dziewczęcych oklask wciąż rzadszy,
Ząb czasu nadgryzł jawory.
Precz z tkliwą nutą! .. Z sercem ochoczem,
Wspomnieniem orlich lat wskrześnij—
Znasz różne pieśni!... Lecz o czem?
Gdzie znajdę przedmiot do pieśni?
Wiem; są pochyłe dworki i strzechy
I spora ludzi gromadka,
I stare cnoty i nowe grzechy,
I pacierz siwego dziadka;
I są marzenia w sercu dziewiczem,
I w chmurach skrzydło sokole—

A jednak śpiewać muszę o niczem—
I wraz lirniczą kląć dolę!
O słońcu śnić mi, kwiatach, o lesie,
Lub o tym zielonym gaju—
Gdzie echo piosnkę hen—hen w dal niesie,
Aż skąpie w falach ruczaju.
O lesie śpiewać... Ba! a któż zgadnie,
Jakie tam licho śpi w lesie—
Jakie tam echo w głębi wypadnie
I dokąd piosnkę zaniesie?
Wiesz-że co szumi wierzba przydrożna
Wśród puszcz ciemnego szałasu?
Zawołasz: kocham!... a głos: Nie można!
Z głębi odpowie ci lasu.
Ku tobie czarów świat się uśmiecha,
Ale błaganie twe próżne—
Nie wolno budzić leśnego echa,
Bo echo głosy ma różne.
Uchodź ztąd dziewczę, prędko, a prędko,
Nie wołaj śpiących ech w ciszy—
Nad brzegiem stawu siądź z złotą wędką,
Gdzie ucho szelest fal słyszy.
Nad tobą niebo jasne, pogodne.
Pod tobą głębie z kryształu—
Zarzucaj wędkę w te tonie wodne,
Pomału tylko—pomału!
Może tęczowa złapie się płotka...
Stój! niebezpieczne zachcenie—
Skąd wiesz, co wędkę twoją tam spotka,
Jakie ją schwyci stworzenie?
Może głowonóg legł tam na stronie,
Haczyk urazi go giętki—
Nie wolno, dziewczę, w milczące tonie
Zapuszczać długą nić wędki!
Hen, hen, daleko jest step zielony,
Bujne się trawy kołyszą—
Kurchanów łańcuch w dal rozciągniony
Wichrami rozmawia z ciszą.
Czuję jak zbiera krew w twoich żyłach,
Rumieńców widzę kolory...

Stój! Wiesz-że kto tam śpi w tych mogiłach,
Jakie z nich wyjdą upiory?
Darmo o grobu szepczesz nicości,
Masz do tęsknoty pierś zdolną—
Nie wolno trącać umarłych kości,
Zazierać w groby nie wolno!
Gdzież jest pieśń twoja?—ku innej stronie
Obróć swe kroki wraz ze mną.
Wzniesioną piersią wchłaniasz lip wonie
I drżysz rozkoszą tajemną...
O, wstrzymaj oddech... Lip gęste cienie
Nie będą tobie ochłodą—
One zabójcze miewają tchnienie,
Gdzie nie chcesz—tam cię zawiodą;
Uchodź od sennych drzew tych pogwarów,
Zabrzmieć pieśń może zdradziecka—
Ja znam te lipy!—szum ich konarów
Zatruł niejedną pierś dziecka.
Precz!—zdala od nich!—Istni pątnicy,
Przechodzim z sioła do sioła—
Przygasa zwolna ogień źrenicy,
Ku piersiom chylą się czoła.
Ach! szept modlitwy w ucho ci wpada,
Głos drżący w serce uderza—
Precz!—ty nie słuchaj pacierza dziada,
Nie znasz słów tego pacierza!
I po twych pieśniach!... Marna pociecha
Z rozbitych urn i puklerzy—
W stawach—potwory, w lesie—są echa,
W mogile krwawy trup leży.
Myśl twa nie spocznie w cieniach ogrojców,
Z pod mchów wypełza wąż długi,
Cicho szeptanej modlitwy ojców
Już nie wymówisz raz drugi,
Darmo twe serce rwie się i skacze,
Dłoń różne potrąca struny:
Wiatr—rzadko jęczy, deszcz rzewnie płacze,
Z chmur letnich biją pioruny.
Zostały jeszcze na tym padole
Kwiaty z promiennem obliczem.

Lecz powój—ściska, pierś róży—kole.
Nie!.. musisz śpiewać o niczem.

Przytoczyłem wiersz ten w całości dlatego, że jest ładnym, niezmiernie zręcznym i może służyć za arcywzór—wykręcania się sianem. W rzeczy samej żadna z przytoczonych racyj do śpiewania o niczem skłonić poety nie może, bo wszystkie są zmyślone.

Jak dawniej tak i teraz młodzi kochają się i widują, nie pod jaworem to na balu, na wizycie — przy tysiącznych sposobnościach. O dworkach i chatach, o lesie i polach, nikt śpiewać nie broni, echa nikt się nie lęka, a poeci mniej niż kto inny, owszem bardzo nawet go poszukują—i to jaknajbardziej rozgłośnego.

Zarzucać złotą wędkę dziewczętom nikt nie przeszkodzi, owszem pomaga i ojciec i matka, a już co ciotki, to z największą przyjemnością. Śpiewać o grobach i kurhanach któż zakazuje?

Drukarnia „Anczyca i Sp.“ gotowa ofiarować swe piękne czcionki i welinowy papier, cóż kiedy niema śpiewów o kurhanach, tylko poezye pana Tetmajera o Lesbijskich ogrodach i „Nad morzem“ p. Przybyszewskiego. Dlaczego dziewczę miałoby uciekać od szumu drzew lipowych, dlaczego pacierz dziada miałby być jakiś inny, nieznany, dociec nie można i racyi do tego nie widzę żadnej. Słowem żadna z kilku tych błyskotliwie wypowiedzianych przyczyn śpiewania „o niczem“ rzeczywistą przyczyną nie jest, prócz chyba osobistych okoliczności poety: „Może się serce życiem znużyło—I dusza w senność zapadła — Coś się urwało, coś się zamgliło—Mar dawnych pierzchły widziadła“.

Rzeczywiście w takim razie trudno śpiewać, ale też należało postawić inaczej kwestyę i powiedzieć:

„nie do śpiewu mi teraz bo...“ nie zaś utrzymywać, że niema o czem śpiewać — przedmiotów bowiem jest mnóstwo nieprzebrane. Pan Chmielowski tymczasem wziął żartobliwe strofki poety całkiem poważnie za prawdę i dobrodusznie opatrzył je takim komentarzem: „podaję nie drukowany wiersz jego (Kazimierza Glińskiego) pod znamiennym napisem: *Piosnka o niczem*, dla uprzytomnienia czytelnikom warunków, wśród których u nas poeci wogóle tworzą“. Doprawdy, jak na autora dziejów literatury i literackiego krytyka, trochę za wiele dobroduszności.

Poważniej sprawę traktuje Asnyk w odpowiedzi „poetów do publiczności“. Odpowiadają tedy oni na zarzuty, że rzeczywiście są niedołężnymi następcami wielkich poprzedników, ale winę składają na „wiek bez miłości“, którego są dziećmi i na społeczeństwo, którego są członkami.

Świat, wśród którego wzrośli, ma się wstydzić zapału i uniesień, „jego bezduszna, chłodna atmosfera“, od kolebki ściera barwę dziewiczą z poetycznego serca i „żadnej świętości marzeń nie przebacza“.

Byli dawniej wielcy poeci jak Homer, Szekspir, Goethe, ale dlatego byli wielkimi, że „serca słuchaczów mieli za piedestał“, a słuchacze ci byli do wielkich rzeczy usposobieni. Dzisiejsze zaś społeczeństwo skarłowaciało i spodlało: „Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki—Któryby porwał małoduszne zgraje“? Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie, ale już zabrakło wiary i tego płomienia, który ożywiał niegdyś mężów dawnych—„zbrakło pokolenia co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych“. Więc niema o czem śpiewać. Miłość swego społeczeństwa i swojej ziemi, „to przed-

miot zużyty i pogrzebany z poległem rycerstwem — Starannie w trumnie gwoździami przybity. . .— A nad nim klęczy postać jezuity — Co umarłego gorszy się kacerstwem—I lud poucza, że modna pobożność — Tę ziemską miłość uważa za zdrożność". „Nasze powagi widzą w tem zuchwałość—Która być może w straszne skutki płodną"... „Więc nie dziw, że nikt ręką swą nie sięga—Po ten skarb w lutni ukryty ojczystej". „Cóż więcej znaleźć?—Sława?—Tej nie mamy" —mamy tylko „rozum stanu".—„Cóż więc zostaje? Pieśni erotyczne?—Ale i dla tych braknie w świecie wzorów—Pogasły w piersiach ognie romantyczne...—A miłość cierpi suchoty chroniczne...—Nasze anioły i nasze kobiety—Są w sentymenta ubrane po kostki. — Lubią poezyę zajadać na wety...—Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki...—Prawdy w uczuciu.—Bo każda z wdziękiem norymberskiej lalki — W balowej sukni na wystawie stoi—I z pochyloną, rozmarzoną główką — Czeka na kupca co płaci gotówką.—A Romeowie nasi nowocześni—Są jak z żurnalu wycięte figurki—Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni — Że z nich zaledwie zostały tużurki. — Dla pieśni tam niema oparcia. — Tyle tam ziarna co w pustym orzechu".

„Trudno wymagać by na takiej roli — Wytrysła natchnień prawdziwość", więc też konkludują poeci, że lubo są niedołęgami, jednak nie oni temu winni, bo „Tacy poeci, jaką jest publiczność". Na razie, staje człowiek przerażony wobec takiej nawały oskarżeń i tak—pokornego tłómaczenia, ochłonąwszy jednak powoli z zadziwienia, odkrywa w apologii poetów różne „felery". Najpierwej więc uderza otwarte, zupełne przyznanie się, że nie są oni bynajmniej samodzielnymi, że sami przez się świecić czem nie mają, że z własnej

istoty nie zaczerpną treści poetycznej—nie, oni są tylko odbiciem społeczeństwa swego, bezpowietrznym i bezwodnym księżycem, pożyczanem święcącym światłem, echem odbijającem głos „publiczności". Tworzyć oni już nie mogą—tylko kopiują wzory istniejące, czyli innemi słowy: przestali być wielkimi mistrzami i twórcami, zostali poetami-fotografami.

Na usprawiedliwienie swoje przytaczają przykłady—niekoniecznie trafnie wybrane. Nie mówiąc o dawniejszych zauważę, że Goethe i Szyller zaczęli pisać w czasach najfatalniejszego upadku i senności Niemiec, bo ku końcowi XVIII wieku. A nasz Mickiewicz, czy znalazł gotowy piedestał w sercach swych słuchaczy? Bynajmniej. Jakie było nasze położenie ogólne i socyalne, wiadomo; nauki stały nizko i mało były rozpowszechnione, a co do poezyi, ta żyła przekładami i „sztambuchami" pełnemi słodkich madrygałów, suchych od i rozmaitych „Do...", na polskim zaś parnasie rozłożył się „Obóz klasyków", wywiesiwszy nudną, suchą i martwą chorągiew „Dobrego gustu". A jednak i Goethe z Szyllerem, i Mickiewicz z towarzyszami, znaleźli słuchaczy, znaleźli posłuch, uznanie i miłość, bo byli słońcami, nie księżycami, poetami nie-fotografami, bo mieli źródło poezyi w sobie i nie szukali jej we wzorach i modelach, bo wreszcie umieli usunąć warstwę zgniłą i zbutwiałą, by się dostać do zdrowego rdzenia swego społeczeństwa.

Tymczasem poeci Asnyka zdają się nie przypuszczać, że teraz pozostało w niem coś zdrowego i uczciwego i przytaczają szereg sofizmatów jeden od drugiego bardziej wykrętny. Narazie człowiek nie znający zajadłych kłótni galicyjskich, a specyalnie krakowskich, staje zdumiony i pyta, gdzie też Asnyk wi-

dział jezuitę albo kapucyna, klęczącego na owym grobie „przybitym gwoździami“, gorszącego się „tą zdrożną miłością“, a jeszcze więcej zdumiewa się, skąd w zwolennikach „Reformy“ i „Narodówki“ taka dziwna powolność dla jezuity, że nikt nie śmie „ręką swą sięgać po skarb ukryty w lutni ojczystej“ by jego nie zgorszyć?

Poetom wiele wolno, ale tak oczywiście drwić ze swych czytelników doprawdy nie godzi się. Przypuszczam, że żaden z konwentów krakowskich i lwowskich nie jest zbudowany tonami lutni p. Tetmajera i p. Przybyszewskiego, a jednak ci panowie o pozwolenie nie pytają, zkądże taka bojaźliwość gdy idzie o zaśpiewanie czegoś przyzwoitego i uczciwego? Jest to poprostu zwykły sposób rozumowania i walczenia tej partyi, która przywłaszczywszy sobie przywilej rozdawania patentów na patryotyzm, odbiera go, a natomiast daje patent na zdrajcę, każdemu kto ośmieli się innego być zdania niż oni; a więc i tym, którzy utrzymują, że prawa i porządek czynności ludzkich, a więc i miłości kraju, złożone są w przykazaniach Bożych, nie zaś w redakcyach pism radykalnych.

Dalej twierdzą poeci: „sławy nie mamy—wszyscyśmy niesławni“. Za pozwoleniem—o mówiących nie będę się sprzeczał—ale dzięki Bogu, nie brak nam ludzi mających dobrą sławę. O jaką zresztą sławę chodzi? Czy o wojenną?

Zapewne, nie mamy już skrzydlatych husarskich chorągwi, ale pod innemi chociaż znakami rodacy nasi zyskują dobrą sławę i najbardziej nawet niechętni to uznają. Dowodów i przykładów możnaby przytoczyć moc niezliczoną, wspomnę tylko choćby o znanym ata-

ku dwóch pułków poznańskich, posłanych na szańce, których niemcy (w wojnie francuzkiej) wziąć nie mogli, a oni wzięli. Czy to zresztą tylko na wojnie zyskuje się sławę? — mniej głośną może, ale nieraz pożyteczniejszą jest ta, która się zyskuje przy pracy, nauce, sztuce, a dzięki Bogu, nie brak nam ludzi uczciwie na różnych polach zyskujących sławę dobrą. Nie brak nam także ani szczerze wierzących i modlących się, ani młodzieńców mających nietylko „tużurek“, lecz i uczciwe serce pod nim; i panien, które się bynajmniej nie sprzedają więcej dającemu, lecz kochają poczciwie, jak Pan Bóg przykazał. Słowem, jeśli społeczeństwo nasze teraźniejsze porównywam z dawniejszem, znajduję większość jego wcale nie gorszą od dawniejszego. Może niejakich zalet pozbyło się ono, ale też i zapomniało wad licznych, a nauczyło się bardzo wiele.

Jakto, zapyta może czytelnik, zdziwiony takim optymizmem, czyżbyśmy byli tak doskonali? Czyżby nasi wieszcze tak się zupełnie pomylili? Nie, do doskonałości bardzo nam daleko, ale zdaje mi się, że poeci czarniej rzeczy widzieli, niż są, zbyt mało są pobłażliwymi i powiększyli zbytecznie własną doskonałość z jednej strony, ułomności bliźniego z drugiej. Kiedy zaś postawili tak zmniejszoną „publiczność“ przy tak bardzo powiększonych wieszczach, nic dziwnego, że biedaczka została szkaradnie zdegradowana i zdyfamowaną.

Trzeba im jednak przyznać, że malowidło ich nie jest zupełnie fantastycznem, — są rzeczywiście ludzie, którzy nigdy nie odwiedzają ani gotyckich, ani renesansowych świątyń i nic dziwnego, że chłodnemi się im wydają; są ludzie bez czci i sumienności, młodzież

bez krwi i skromności, kobiety oddające się więcej dającemu; jest cały świat czarny i szkaradny, ale to są szumowiny pływające po wierzchu naszego społeczeństwa, to jest ów prąd bezwyznaniowy, pseudo naukowy, pseudo postępowy i pseudo liberalny, o którym wspominałem nieraz. Z nim połączyli się wszyscy, którzy prawdy nie przyjmują, „albowiem uczynki ich złe są“ — hipokryci, próżniacy, marnotrawcy, rozpustnicy. Wszysto to ozdobiło się szychem postępu, blichtrem nauki, napełniło usta głośnymi frazesami i pływa po powierzchni narodu, zapełnia wielkie miasta, pcha się na pierwsze miejsca, rozpisuje się i ogłasza w modnych gazetach.

Na takiej roli, rzeczywiście „nie wytryśnie prawdziwych natchnień obfitość“—w tem poeci nasi mają zupełną słuszność. Mylą się jednak, że tę *swoją* publiczność, mają za całe społeczeństwo, mylą się, bo zawarli sojusz nie z całą publicznością, lecz tylko z ową nieszczęśliwą falangą; mylą się — bo przyznają „tacy poeci, jaką jest publiczność“—a oni powinni być lepsi i wyżsi, oni powinni trzymać z całym pniem zdrowym, nie ze zgniłemi jego gałęziami. W tem właśnie jest wina poetów, że uznają się za „dzieci wieku bez miłości“—kiedy powinni być jego wrogami, (o ile jest bez miłości), kiedy najpiękniejszem ich zadaniem powinno być właśnie rozbudzanie wiary i miłości.

Znowu więc powtórzę, że w sporze poetów z publicznością, bezwarunkowo winni poeci; Asnyk tego nie widział, bo niestety i jego porwał ów prąd nieszczęśliwy, a on go jeszcze nie rozumiał.

Na dowód, że przytoczone w utworach obydwóch poetów przyczyny jałowości współczesnej poezyi są

błahym wymysłem, pochodzącym z nieznajomości istotnego stanu rzeczy, przykład dwóch wielkich współczesnych poetów naszych, nie rymujących wprawdzie, niemniej jednak poetów artystów *di primo cartello*, mówię o Matejce i Sienkiewiczu. Żyli oni w tym samym czasie co Asnyk i p. Gliński, otaczało ich od kolebki to samo społeczeństwo, które Asnyk od czci i wiary obsądził, a jednak pomimo tego, żaden jezuita, ani dominikanin nie zabronił im tworzyć dzieł tchnących najprawdziwszą poezyą; znaleźli oni sławę i wiarę, i uczciwość, i miłość, a dlaczego? Bo byli rzeczywistymi poetami, nie poetami-fotografami; bo nie chodzili, żebrząc o promyk poezyi, ale jej światło i źródło mieli w sobie.

To jedna przyczyna; drugą było to, że umieli odgarnąć szumowiny i śmiecie społeczne, a dostali się do zdrowego rdzenia; oni nie płynęli z pseudo postępowym prądem i nie poili się jego zatrutemi wodami, lecz czerpali natchnienie z tego źródła, z którego pił i pije naród cały, ze źródła biorącego początek u stóp Chrystusowego Krzyża.

Cóż zostało poetom naszym, nieznajdującym ani treści do śpiewu, ani źródła natchnienia i młodości? To co zawsze pozostaje ludziom którzy młodość i siły stracili — sztuka, albo raczej sztuczki. P. Bełcikowski utrzymuje, że teraz żaden poeta nie odważyłby się i nie chciałby wiązać swych wierszy tak prostymi rymami jak Mickiewicz. Ma się rozumieć, to przecie całkiem naturalne. Czyż podstarzała elegantka, wyłysiały światowiec, odważyliby się stanąć przed ludźmi w takiej prostocie stroju, na jakiej poprzestawali, gdy pierwszą zdobiła krasa młodości, a drugi był dzielnym, tęgim młodzieńcem? Więc nasi poeci współcześni, idąc za

naturą rzeczy, udali się do sztuki. Zaczęli wyszukiwać tematów nowych a niezwykłych, nadrabiając w braku czego lepszego urokiem nowości, sensacyjnością, erudycią, niezwykłą formą. Na tę zwłaszcza formę zwrócono przedewszystkiem uwagę, urozmaicono ją i wydoskonalono znakomicie; niemając poetycznej treści, zwrócono całą uwagę na muzykę wyrazów.

Słowem zrobiono pod tym względem bardzo wiele, tak, że swoje maleńkie poezyjki i jeszcze mniejsze tematiki, śpiewacy nasi mogli powtarzać w bardzo poprawnych rymach—prawidłowych, harmonijnych, mających wiele zalet i jedną tylko wadę—że jak dwie krople wody podobne były do uczonych riturnelli kanarka. P. Chmielowski fakt ten niewesoły, acz powszechnie znany, sprawdził i zaznaczył, wytłomaczyć jednak nie potrafił. Nie dziwię się temu ani trochę—p. Chmielowski sam przecie należy i jest jednym z przewodników i pionierów tego prądu, który u nas wysuszył poezyę i wiele innych rzeczy.

Na postawione w tytule pytanie, jak umiałem, odpowiedziałem. Jeśli komu odpowiedź wyda się niezupełną, niech ją „w swem sercu dośpiewa i uzupełni". O powieść o dalszych losach naszej poezyi nie wchodzi w zakres obecnego studyum; zresztą każdy ją sobie sam dać może, jeśli zechce pamiętać o zasadach w pierwszych rozdziałach wyłożonych, a wie co i jak pisze się teraz. Z tego, co wiem o najnowszej poezyi naszej i jej koryfeuszach, wnoszę, że w dalszym ciągu kroczy ona szybko do ostatecznego upadku i zwyrodnienia w rozpuście i zmysłowości, do ulotnienia się i wyparowania w braku treści i jej bezmyślności, w dziwactwach dekadentyzmu, i będzie tak długo i ciągle, pokąd duch nowy nie wionie i nie wskrzesną ideały.

W jednej z małych, ale rzewnych piosenek Syrokomli, jaskółka uciekająca z opustoszałego kościoła powiada ludziom: Muszę lecieć choć się smucę — Muszę lecieć w obce strony — I nie pierwej do was wrócę—Aż znów na Mszę wezwą dzwony.— I do naszych poetów nie pierwej wróci natchnienie, aż usłuchają głosu Bożego: „nawróćcie się do mnie *z całego serca* waszego";—gdy rzeczywistą naukę połączą z żywą wiarą, wtenczas dopiero spełnią się słowa Asnyka:

Lecz błyśnie dzień, lecz błyśnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecia różową,
I z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas nowych sił
I znowu w niebo popłynie.
A ideału jasny kwiat
Z zbutwiałych obrany liści
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej.
I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte.
Co nieśmiertelne musi żyć
Choć zmienia kształty zużyte.

Tak, *co nieśmiertelne musi żyć*, a na tej ziemi jedna jest tylko, wśród co lat kilka zmieniających się fałszów, jedna tylko nieśmiertelna prawda, — prawda Chrystusowa. Jeśli się z nią poeci nasi złączą, ideał dla nich powróci; w przeciwnym razie będą coraz bardziej karłowacieli, pokąd nie zginą w błocie, albo nie wywietrzeją w płytkości. Na ich miejscu, godzi się spodziewać, powstaną inni, lepsi, i ci poznają, że jedna jest tylko droga do ideału—*per Crucem ad lucem.*

KONIEC.